33

GRZECHY KRÓLEWSKIE.

GRZECHY KRÓLEWSKIE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

WINCENTEGO RAPACKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁAD MAURYCEGO ORGELBRANDA.

1886.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Сентября 1885 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Bednarska 26.

KSIĘGA CZWARTA.

„Po nas niech świat się wali“ — wyrzekł król w chwili upadku i rozpaczy—i oto w istocie walił się. Rozpadała się w gruzy potęga Rzeczypospolitéj, dźwignięta niegdyś ramieniem wielkich mężów w narodzie. Padało wszystko, co świeciło dotąd cnotą, rozumem, wiarą, miłością — a zostawały zgręzy marne, pomiot lichy, który ni w myślach, ni w czynach, nie dorastał setnéj części onych kolosów. Powstawały zkądś, z ciemnych zakątów dusz ludzkich, zbrodnie i występki, o jakich nie słyszały dawne wieki—i rosło to wszystko bujnie, krzewiło się niby na gruncie umierzwionym ręką szatana.

Oh, roku straszny! pamiętać będą o tobie, najdalsze pokolenia. Dziadowie wnukom, wnukowie prawnukom opowiadać będą, jak pękały ogniwa onego łańcucha, co go niegdyś miłość narodów spoiła, a niecne ręce pychy i swywoli szatańskiéj porwały.

Ty roku będziesz stał, jak słup graniczny w przestrzeni czasów, odkąd zło, co ojczyznę naszę trapi się poczęło, i będą od ciebie ludzie po-

czynać rachubę klęsk i piekła — tak, jak po za tobą, wstecz będą wspominać czasy ubłogosławienia i szczęśliwości.

Ojczyzna nasza podniesiona powagą królów wielkich wzbudzająca cześć i postrach w sąsiadach, spadać będzie na żebraczkę, na służebnicę niecnych zabiegów a frymarków.

Wyrodni synowi sprzedawać ją będą, albo szarpać jéj wnętrzności, w chwili choroby i niemocy.

Ukraina płynęła we krwi. Świeciła łuną pożarów. Kto ją zażegł? Kto rozdmuchał z małéj iskierki ten wielki płomień? Kto uzuchwalił tę czerń? Kto dał miecz szalonemu w ręce? Król! król! wołano wszędzie. To królewskie dzieło! i urągano mu, przeklinano zmarłego, bo już na nic innego, jak na wymysły a przekleństwa ono plemię zdobyć się nie mogło.

Nie jednemu, robak w duszy wiercił i przypominał zbrodnie prywaty, ucisków, prześladowań, ale taki krzyczał najwięcéj, aby zagłuszyć sumienie.

Zawinił król, ale ileż zawinili ci, co mu okoniem stawali w jego drodze, co niszczyli i udaremniali wszystkie jego zamysły, co zagrzęźli w prywacie i wygodzie własnéj. nie chcieli ani szczypty uronić dla ogólnego dobra.

Niech Bóg najwyższy będzie sędzią naszym!

Ja — com patrzał na to wszystko, tyle tylko rzec mogę: gdyby zamysł dźwignięcia kozactwa przez turecką wojnę był dojrzał wcześniéj, kiedy

u niego zdrowie i siły były po temu, byłby go przywiódł z chwałą, ale przyszedł zapóźno. Choroba szarpała—a obojgu—bo i jéj, i fali ludzkiej złości i głupocie, jednemu podołać było trudno. Ustąpił w mniemaniu, że spełnia tę ofiarę dla syna, a on tylko uzuchwalił zło, a w kozactwie zażegł burzę, któréj mu już Bóg nie dozwolił przytłumić.

Wieść o śmierci królewskiéj rozchodziła się powoli. Z zacisznego Merecza, wśród odwiecznych puszcz i borów litewskich, kędy leżał trup jego, dostała się najprzód do Grodna—tam przebywała królowa chora ze swoim dworom.

Pierwszym, co przybieżał był Bzowski. Zjawił się już na samém świtaniu, w godzinę po śmierci królewskiéj.

Wpadł do izby, popatrzył odedrzwi na trupa, potém runął przy łożu, zawodząc płaczem, bo też nikogo boleśniéj nie dotykało to sieroctwo, jak jego właśnie.

Ledwieśmy go zdołali oderwać od zwłok. Panowie litewscy, których przybyło teraz kilku, mianowicie: Aleksander Radziwiłł marszałek wielki litewski, Tyszkiewicz, Sapieha, Tryzna podziwiali tę wielką boleść w młodzieńcu i pytali, kto on taki, a gdy im powiedziano, że to syn nieboszczyka okazywali dlań żal szczery i współczucie.

Wyprowadziłem go wreszcie z izby.

Począł rozpytywać. Opowiadałem mu jak

król kończył, a gdym mu powiedział, że ostatnia myśl jego była dla niego i że Bóg nie pozwolił mu jéj wyjawić, wpadł w rozpacz taką, żem był w trwodze, iż sobie życie odbierze.

— I mnie nie było przy nim! Mnie, który wszystką mą krew byłbym wysączył dlań do kropelki! który żyłem, myśląc o nim tylko na każdém miejscu i o każdéj dnia porze! Mnie tu nie było! Byłem tam, na usługach tych bezdusznych Francuzic. Ha! jakże nędznem, pogardy godném jestem stworzeniem, że zamiast jemu służyć, zdolen byłem tylko dworować nikczemnie, pawi ogon nosząc za temi gęśmi. To kara, kara niebios dla mnie, żem nie umiał poszanować miejsca przy jego boku, jakie mi los tak świetnie przeznaczył, i pychą moją nikczemną, zaraziłem serce. Oh, moje marzenia, moje sny złote — zdruzgotane, zdeptane, rozbite na wieki. Oh, mój królu, mój ojcze już nie posłyszysz o mnie, już nie zobaczysz tego syna, który sobie zawsze obiecywał, że dumą twoje serce napełniać będzie, że cię zmusi, abyś się nim szczycił przed światem! Że zetrze z siebie piętno urodzenia i przez cnoty dosięże głów najszczytniejszych. Oh, dolo moja okrutna! Co myślałem, com chciał czynić wielkiego i pięknego na świecie — było tylko dla niego... przez niego. Niech mnie cały świat potępi, mawiałem, niech wszyscy znienawidzą—mało dbam—byle on mną nie wzgardził.

— I miłował cię zawsze.

— A zkądże wiesz, że to, co ci chciał powiedzieć do mnie skierowane było? Zkąd wiesz o tém Krzysztofie?

— Odgadłem to mój bracie. Są chwile takie. które więcéj mówią, niż słowa. Owo położenie dłoni jego na mojéj głowie, to nagroda za to, czém byłem dla ciebie—bo nie wiesz—nie mówiłem ci nigdy, że wielekroć rozmawiał ze mną o tobie i wiedział, żeśmy przyjaciółmi byli. Owo więc: „powiedz mu“ — było dla ciebie i zamiast rozpaczać, możesz być dumnym z tego.

— Rozpaczać nie przestanę do końca życia mojego, a dumnym będę wtenczas, kiedy się godnym stanę jego pamięci.

— Dobrze mój Szymonie. Opłakiwać go będziem razem przez całe życie, a teraz myślmy o żywych i o sobie. Masz dokument na starostwo urzędowskie?

— Nie mam.

— A na ekonomią Falęcicką?

— Nie mam.

— Toż nic nie masz—mój bracie.

— Mniejsza o to. Szczodrobliwość łask jego brałem tylko zawsze, jako dowód jego miłości i pamięci a nie nagrodę moich zasług dla niego, które w moich oczach nie miały żadnéj ceny. Bo i cóż to ja zrobiłem dotychczas, co by godne było nagrody? Nic. Toż najnędzniejszy pachołek tyleżby zrobić potrafił. Niech mi odbiorą to wszyst-

ko. nie dbam o to. Nie ja fortunę, ale fortuna gonić mnie będzie ze swoim rogiem obfitym.

— A twojaż matka?

— Ma swoje Jurkowice.

— A narzeczona?

— Weźmie mnie takim, jakim jestem.

— Daj Boże.

— Nie mów mi o tem wszystkiem człowieku, jeżeli Boga kochasz. Czyż to chwila po temu? Co mnie dziś obchodzić może mamona świata tego? Mówmy raczéj o sprawach wielkich, które się rozgrywać będą. Oh, będą niewątpliwie. On tam, z poza grobu błogosławić im będzie, bo to jego dzieło.

— To? to dzieło szatańskie! Czyś nie słyszał, że Chmielnicki Tatarów w pomoc wezwał?

— Niech będzie—Tatarów wygnamy, gdy nam się staną niepotrzebni, a panom rogów przytrzem i kozaczyzna wolnem rycerstwem stanie.

— I któż tego dokona?

— Chmielnicki. To człek wielki, choć niepozorny taki.

— Mówisz mi rzeczy, którychbem pojąć niezdolny. Że panowie nasi zawinili, depcząc kozaków, to prawda; że udaremniali wszystkie królewskie wielkie chęci — tośmy widzieli; ależ ci panowie toć także krew nasza, to przewodnicy, to stróżowie naszych praw—i gdy oni ginąć będą, będziemy i my ginąć razem z niemi, boć nie przejdziem na stronę Chmielnickiego przeciw nim.

A wreszcie gdzie granica? kto ją przeprowadzi. odkąd się pan zaczyna? Myśmy tacy panowie, jak i oni. Czyż szlachcic na zagrodzie, nie równy wojewodzie? Czyż nie ma takich samych praw i wolności? Nie podnosisz głosu na sejmie razem z wojewodą lub kasztelanem? a gdy przyjdą wici, aby iść przeciw Kozakom i Tatarom, czyż nie pójdzie razem z Koniecpolskim i Wiśniowieckim?

— Myśmy panami, jak oni! Równość szlachecka! Przestarzałe to już rzeczy mój bracie. Tak może bywało za Jagiellonów. Dziś są panowie i słudzy. Dziś jest oligarchija i jéj jurgieltnicy. Dziś są królewięta, jak powiada Chmielnicki i tłum głupi, który tam idzie, gdzie oni mu rozkażą.

Dziwnie mi brzmiały w uszach jego słowa, ale dziwniejsze i słowa, i czyny czekały mnie jeszcze w przyszłości.

Tymczasem z Ukrainy nadchodziły coraz straszliwsze wieści. Chmielnicki ukradł Barabaszeńce przywileje królewskie na hetmaństwo, i sam się hetmanem ogłosił a Barabasza zabił. O Ossolińskim kanclerzu i Lubowidzkim, którzy wyjechali od kilku miesięcy, nie było słychać—gadano, że zabici od Kozaków.

Królowa ze swoim dworem, dopiero na trzeci dzień przywlekła się do Merecza. Smutno nam było patrzeć na te twarze obojętne, na których nic, krom zwyczajnéj ciekawości czytać nie mo-

głeś. które śmierć królewska obchodziła o tyle tylko, o ile ona na ich byt wpływać mogła. Na królowéj zamiast jakiegoś żalu odbiło się rozdrażnienie i złość jakaś. Łajała marszałka, łajała sługi i cały swój fraucymer, że się nie miała gdzie pomieścić.

Była ona dziś królową bez korony, zostawiona na łasce Rzeczypospolitéj, która sama jeszcze nie wiedziała, co z nią pocznie. Wracać do Francyi, jéj się nie śmiało, a Bogu tylko wiadomo, jakiego króla Polsce dadzą losy.

Mieścina dotąd licha, nabrała gwaru i życia. Poczęli się coraz gęściéj zjeżdżać panowie Litwa. Sług i koni nie było gdzie pomieścić. Jęczały dzwony bez ustanku, roznosząc dźwięki do najdalszych puszcz litewskich. Płakały bory, lasy i lud biedny, który napływał z okolicy całéj, żałując dobrego pana, co zawsze o doli jego pamiętał.

Starostwo stało zdala na wzgórku, ciche, opuszczone, bo jego dostojne państwo zabawiało się w Warszawie.

Wspomniałem dawne niegdyś czasy i gorżkom się zadumał. W tym samym Mereczu, gdzie bywał tak szczęśliwy, gdzie jego każdy przyjazd, święcił się radością, gdzie zrzuciwszy ciężar korony, oddawał się uciechom nie zbyt godziwym, ale gdzie otarł tyle łez niedoli ludzkiéj — w tym samym Mereczu, biednemu królowi umrzéć przyszło. Ja zaś, co się w nim urodziłem, począłem

go przeklinać i dziś z śmiercią królewską, nigdy do niego nie wracać i dotrzymałem słowa. Wieś moję dziedziczną Szczucin mały vulgo Szczucinek, w powiecie Lidzkim, będącą w dzierżawie, sprzedałem i postanowiłem gdzieindziéj obrać sobie siedzibę.

Nadeszły wreszcie listy z Korony od prymasa. Kazano nam ciało w kondukcie pogrzebowym przeprowadzić do Grodna.

Szły tłumy ludzi, których szereg na pół mili blizko długi, postępował smutnie lasami za trumną królewską — a one lasy śmiały się zielenią i szczebiotem ptactwa. Niekiedy zwierz spłoszony, przesunął się zdala a widząc, że go nikt nie ściga, popatrzał zdziwiony na te tłumy w milczeniu takiém idące. Dnie bywały piękne a nawet dzisiejszy parny i gorący, zapowiadał burzę blizką.

Na pół drogi spotkał nas orszak orężnych mężów na koniach i zagrodził nam pochód. Jeden z nich jadący na czele wstrzymał kondukt, zsiadł z konia a za nim reszta towarzyszy — przyklękli przed zwłokami, odmówiwszy krótkie requiem. Potém powstawszy ten, co ich prowadził, przemówił głosem wielkim:

— Ty w trumnie Władysławie a naród ginie. Nie ma Polska króla, nie ma hetmanów, nie ma wojska. Zginęło wszystko, albo poszło w jassyr

pod Korsuniem. Czy ty to słyszysz królu? Bóg nas opuścił, za nasze nieprawości wielkie. Ginie Polska wczoraj jeszcze szczęśliwa, gdy jéj świeciło słońce twojego panowania. I czemuś nam zmarł tak prędko? Jedno twoje skinienie, słowo jedno byłoby powstrzymało pożar, który nas chłonie. Bóg tak chciał, niech będzie imię Jego pochwalone. Módl się za nas do ojca przedwiecznego w niebiosach, bośmy zgrzeszyli Jemu i tobie zgrzeszyli królu!

Potém jak gdyby nim co wstrząsło gwałtownie, rozdarł na sobie odzież i z wzburzeniem wielkiém mówił:

— Niech tysiące przekleństw trafi tych, co uzbroili bratobójcze ręce. Niech nasienie ich zaginie wiecznie. Niech przepadną! Biorę oto garść ziemi w usta, jako prawdą jest to, co wygłaszam.

Mówił, jak gdyby pijany rozpaczą. Zdało nam się, że trup w trumnie się obruszył na te gromy z ust jego.

Był to pan Strzemeski, jadący z hufcem ochotnika na Ukrainę. W Białym stoku dowiedział się o śmierci królewskiej i jechał do Merecza, pożegnać się z umarłym, nie przeczuwając, że się z nim zobaczy niedługo na innym świecie.

Gdy ukończył, zerwała się burza dnia skwarnego. Wicher zadął gwałtowny, łamiąc i wywracając drzewa tak, że jedno z nich padło na trumnę. Ozwały się pioruny. Cały tłum przypadł

na kolana, zawodząc hymn: Święty Boże! Jęczało wszystko: ludzie, drzewa, wicher, gromy. Kapela godna iście królewskiego pogrzebu.

Przeleciała wreszcie po nad naszemi głowy, ale czekała nas druga równie straszna w wnętrzach ludzkich, bo w miarę gdyśmy się posuwali ku Grodnu, byliśmy widzami rzeczy niepojętych.

Tłumy wozów, pieszych, konnych to do miasta, to od miasta — gońce pędzący w rożne strony z wieśćmi, od których nam się włosy jeżyły na głowie.

W mieście rozruch większy jeszcze.

Owdzie jakiś szlachcic w podartej odzieży, zbroczony krwią... W kilku dniach setki mil przebył, opowiada klęski nasze. Hetman wielki Potocki i polny Kalinowski, Odrzywolski, Denhof, Bieganowski, Sieniawski, Uliński, Bałaban, Chmielecki w jassyrze. Zginęła cała dragonija nasza. Kozactwo regestrowe, hufce pańskie — przeszło wszystko do wroga.

Miasta i wsie w płomieniach.

Wszystka szlachta ucieka. Opustoszały Połonne, Zasław, Korzec.

Chmiela liczono na 60,000.

Ordy z Tuchaj-bejem na 70,000.

W dobrach księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, zbiegło od pługa 15,000.

W dobrach Kalinowskiego 12,000.

Zamek Nesterwar, gdzie się schroniła szlachta z bogactwami, zrabowany i w pień wycięty.

Wszystko, co żyje podało tył, a chłopi poddani śmieją się i idą do wojsk kozackich, chłopskich lub rozbójniczych.

Strach i rozpacz ludzi tak wielkie, że nie zważają na orszak pogrzebu królewskiego i nie zdejmują czapek.

Zastaliśmy w mieście Ossolińskiego, złożonego chorobą. Wracał z Ukrainy z smutnemi wieści. Gdy się dowiedział o śmierci królewskiéj, stracił władzę w rękach i w nogach—martwym wniesiono go do domu.

Złorzeczenia, przekleństwa pamięci króla.

Płacz matek, sióstr, żon, krewnych i powinowatych.

Wszystkie listy i uniwersały prymasa, zaczynały się od słów: Zginęliśmy!

Zginęliśmy, powtarzały wszystkie usta.

W Białocerkwi rozsiadł się Chmiel zwycięzca z Tuchaj-bejem, bratem swoim najmilejszym i pisał do króla pokorne listy, nie wiedząc jeszcze o jego śmierci. Słał posłów i żądał układów.

Tymczasem książe Jeremiasz Wiśniowiecki, Palejem przezwan, wbijał na pal lud ruski i palił z jednéj, a Krzywonos obcinał ręce i mordował z drugiéj strony. Wśród nich uwijał się Kisiel wojewoda Bracławski, z oliwną gałązką zgody.

Niestałoby tu Jeremiaszowego lamentu, ażeby wypowiedziéć wszystko — a był to dopiero początek.

Rozlokowani w zamku grodzieńskiem, wygląda-

liśmy niecierpliwie chwili, gdy nas nowy rozkaz prymasa do Warszawy powoła.

Chcieliśmy uciec przed tą rozpaczą, co nam ciągle do oczu i do uszu się ciskała. Z początku ona to odpowiadała temu żalowi, co nam zalewał duszę, aleć późniéj stała nam się nieznośną tak, że zawrót głowy się nas imał.

Odprawiwszy solennne modły przy zwłokach króla, wyruszyliśmy nareszcie z niemi do Warszawy.

Tym gościńcem, któryśmy przebiegali tylekroć z ukochanym panem naszym, weseli, szczęśliwi — przy radosnych wiwatach uszczęśliwionego ludu — wlekliśmy się dziś zrozpaczeni i przybici wśród nieznośnego skwaru i posuchy, po piaskach, spotykając znajome twarze niegdyś nam się śmiejące.

Francuzki patrzały zdumione na ten żal głęboki, co go lud cały odczuwał. U nich to: *Le Roi est mort, vive le Roi!*— a nam umierał ojciec i dobroczyńca. Trzeba im to było długo tłumaczyć, ale i tak nie pojęły. Dla nich to było po prostu zmianą, jak gdyby jednéj liberyi na drugą, dla nas stratą, któréj dość opłakiwać nie mogliśmy. Upływały nieraz lata całe a naród płakał po dobrych królach swoich i gorące modły słał do niebios. Dla nas także śmierć królewska była plagą straszną bezkrólewia, i straszniejszą jeszcze elekcyjnych zabiegów — a dopieroż dzisiejsza oświecona pożogą rebelii kozackiej.

Zaczęliśmy też chłodnąć w swych afektach do tych srok malowanych, które nie umiały poszanować boleści naszéj.

Bzowski jechał przy swojéj bogdance ponury i przybity — na jéj szczebiot odpowiadał półgębkiem, albo i nic wcale.

W klasztorze w Supraślu przyszło zanocować. Dostała nam się taż sama cela z Bzowskim, co przed trzema laty. Taka sama noc była księżycowa. Gdyśmy weszli, znaleźliśmy wszystko, jak było ongi. Popatrzyliśmy na siebie, bo to nam przypomniało dni szczęśliwe. Jam się spłakał. Bzowski stanął na środku izby i długo myślał. Nareszcie zbliżył się do okna, otworzył je na roścież. Blask księżyca oblał nas srebrzystém światłem, a on rzekł, patrząc w niebo:

— Nie darmo nas tu losy razem przyniosły. To tam, w gwiazdach było napisane. Pamiętasz rozmowę naszę?

— Mógłbym ci ją przypomnieć co do słowa.

— Pamiętasz ten poranek, gdyśmy w około klasztoru ujrzeli chłopstwo biedne, ze skargami do króla.

— Jakżebym mógł to zapomnieć?

— A to jego uradowanie, gdym mu podał spis owych zażaleń. Pocałował mnie w głowę, popatrzał zdziwiony, żem tak dobrze w myślach mu czytał i wyrzekł: Dobreś mi śniadanie zgotował synku. Te słowa brzmią mi dotąd w uszach, a ten pocałunek czuję jeszcze na czole.

Nigdy już nie byłem taki szczęśliwy, jak wówczas, bom całą miłość jego posiadał.

— Tak klęski ludu—toć było co go najwięcej bolało i zawsze im z pomocą spieszył.

— Otóż ja chcę być spadkobiercą jego wielkiego ducha — ja chcę dalej prowadzić jego dzieło.

— Ty?

— Tak, ja będę walczył za nędzę i niewolę maluczkich. Jak? nie wiem jeszcze—ale ci przysięgam, że życie moje dla tego poświęcę. I to będzie jedyny, wielki cel mojego życia.

Słuchałem tego, jak się słucha wielu rzeczy, co to brzmią pięknie, ale nie mają rzetelnej podstawy—jak to mówią: jednem uchem.

Chodził długo po izbie — niekiedy wybuchał głośnym śmiechem goryczy — to znowu wykrzykiwał do siebie i przytakiwał, jak gdyby własnym myślom. Zadzwoniono w kościele na pacierze za dusze zmarłe — ukląkłem — a on wciąż chodził i myślał i rozmawiał z sobą — wreszcie stanowszy przedemną i wziąwszy mnie za ręce, wyrzekł uroczystym głosem:

— Słuchaj Krzysztofie — kiedy pamiętasz rozmowę naszę lat temu trzy w tej celi; to pamiętasz, com ci mówił o moich marzeniach sławy i wielkości. Czuję, że Bóg mi wyznaczył niepoślednią drogę na świecie, bo inaczej pocóżbym o tem myślał ciągle, pocóżbym cierpiał te wieczne pragnienie za czémś nieokreśloném, niepochwyt-

nem. Czemu bym nie miał zadowolnić się tém, co mi dały losy na równi z innymi? Wszakżem już wszystkiego zakosztował, co człowiekowi ślepa fortuna dać może. Wszakże Bóg nie poskąpił mi daru, ujmowania sobie serc ludzkich— mógłbym posiąść i dobra, i zaszczyty—mógłbym dumnie nosić głowę i pomiatać niższymi, jak to robią inni — a jednakże w głębi duszy, czułem zawsze pogardę dla tych ziemskich darów i rozkoszy, bo we mnie palił się płomień, którego niczém zgasić nie mogłem—płomień miłości wielkiéj, poświęcenia dla dobra wszystkich. Słuchaj —nazwij to czém chcesz—szaleństwem, obłędem, chęcią błyszczenia próżną i rozgłosu—ale dałbym się przybić na krzyżu, po trzykroć dla zdobycia, jakiéjś prawdy ludzkiéj, aniżeli używać wszystkich bogactw i rozkoszy, jakie tylko ziemia dać może. Dotąd jednak w duszy méj, nie było tego światła, co to jasno prowadzi do portu, do któregobym dążył — teraz tu, w tym klasztorze, kiedy mi stanęły w myśli wszystkie obrazy minionéj przeszłości, kiedy widzę jasno, czego to chciał dokonać ten człowiek wielki, co nam odszedł tak niespodzianie—dziś wiem, gdzie moja droga, pójdę nią choćby po stosach trupów i krwi strugach.

Pierwszy to raz strach jakiś mną owiał przed tym człowiekiem, jak gdyby przeczucie jakiejś wielkiéj winy, którą miał spełnić — i w tejże saméj chwili, przyszedł mi na myśl szkaplerz, który

mu zawiesił niegdyś Soboniewski, z onym Dawidowém przekleństwem—spytałem go téż:

— Słuchaj Szymonie, nosisz ty on szkaplerz na sobie, co ci go dał pustelnik z grodziskiéj groty?

— Oto jest! Zkąd ci to przyszło? Lękasz się o mnie? Nie obawiaj się—zdrajcą nigdy nie będę. Służby moje ojczyźnie tylko poświęcę — a służyć jéj będę tak, jak jéj nikt dotąd nie służył. Nie tylko siłą ramienia mego, ale wszystkiemi władzami méj duszy i serca. Poświęcę jéj wszystkie dni moje i uciechy i rozkosze młodości. Wszystko, wszystko to, co ludzie na tym świecie mianem szczęścia zowią, aż do zaparcia się... aż do...

Wtém coś strasznego się w nim stało — stanął, jak wryty, wykrzyknął przeraźliwie, oczy wlepił w jeden punkt izby, włosy mu się dębem podniosły na głowie; rozumiałem, że wielkiéj choroby dostał.

— Patrz tam... widzisz?

— Co? Kogo, nieszczęsny?

— Król! król! o Boże! on to! Dlaczegóż taką groźną ta twarz, niegdyś tak dobrotliwa dla mnie. O Boże w niebiesiech—on mi grozi... On zda się napominać...

Drżał, jak w febrze — potém upadł zemglony prawie. Zapaliłem światło, bośmy dotąd przy jasnym blasku księżyca siedzieli w izbie — oblałem go zimną wodą—przyszedł do siebie, lecz był słaby i bezwładny.

Nie śmiałem go pytać, co się z nim działo, bo sądziłem, że zapomniał, że to chwilowy obłęd — a on do mnie:

— Tu był. Widziałem go, jak ciebie widzę. Oh Boże! znać zgrzeszyłem ciężko przeciw niemu. Pójdź Krzysztofie do kościoła—przepędzim resztę nocy na modlitwie przy jego trumnie.

W Okuniowie czekał nas prymas z całém duchowieństwem, królewiczami i gronem senatorów — zkąd uroczyście przy ćmie mnogiego ludu posunęliśmy ku Warszawie.

Ujrzeliśmy ją po staremu, jak gdyby tu nigdy nic nie zaszło. Mury stały te same, spokojne i milczące. Nie raz nawet zdawało się człowiekowi, że wszystko to snem było, boć tyle na raz gromów waliło—i nie dziwota żadna, można było pomieszania rozumu dostać, jak się to stało właśnie z panem Trzebuchowskim, kollegą naszym, którego melancholia straszna zmogła tak, że chodził z kąta do kąta i pytał się: rychło król wstanie, nosząc na ręku pendent ze szpadą i pudełko od orderu złotego runa, w które króla codzień rano ubierał. Nie śmiano biedakowi tego wziąść z ręku, ani mu tłumaczyć i wyprowadzać z błędu. Obłąkanie jego było spokojne. Na twarzy dziwny uśmiech a pod oczyma dwie bruzdy niby od łez, które musiały potokiem płynąć. Szczęśliwszy on był, ani-

żeli my wszyscy z naszą przytomnością. co nam ustawicznie nędzę naszę stawiała przed oczy.

Bywały jednak takie chwile zapomnienia, w których patrzyliśmy na drzwi. czy się w nich nie ukaże postać królewska i nie przemówi do nas z dobrocią. jak to bywało:

— Na łowy nam pora mości panowie.

Ale król leżał na marach w kaplicy zamkowéj. gdzie odbywały się dzień i noc egzekwie i gdzieśmy pełnili honorową służbę.

Ochłodły serca nieco po onéj korsuńskiéj burzy. Natura ludzka przywyknie tak do złego, jak i do dobrego a ci, co przed nieszczęściem źli byli, będą i w niém i po niém, bo to już tak na tym bożym świecie bywało przed wieki i będzie do skończenia świata.

Znaleźliśmy panów senatorów dobréj fantazyi. Ściągnął ich prymas na naradę przed konwokacyjnym sejmem a płakał staruszek sam za wszystkich rzewnemi łzami i zaklinał, aby ratować ginącą ojczyznę — ale niestety nie miał wymowy Skargi—a i czasy były już nie te.

Ci, których włości ucierpiały okrutnie od rebelii kozaczéj, ci uderzyli w lament i z ofiarnością wielką spieszyli dla wojska. Ci zasię, co bezpieczni siedząc w Koronie, przysłuchywali się tylko wieściom o owych upałach — ci z flegmą a dumą pańską, ważyli wszystko lekko i pogardliwie te sprawy traktowali, uważając je, jako

zwykłą rebeliją. którą garstka wojska przytłumi—i ztąd zaraz utworzyły się dwie partye.

Na naradzie stanął on głośny wybór trzech regimentarzy do wojska: księcia Zasławskiego. Koniecpolskiego i Ostroroga — których naród przezwał na urągowisko *pierzyną*, *dzieciną* i *łaciną* — a wybrano ich na przekór księciu Jeremijaszowi Wiśniowieckiemu. któremu należała się buława po hetmanach, będących w niewoli—ale dać gwałtownikowi hetmaństwo, jest to dać nagi miecz szalonemu. powiedział Ossoliński.

Pierwszy z nich, *pierzyna*, książe Dominik Zasławski, pan niezmiernych włości na Ukrainie—wróg księcia Jeremijasza—wygodniś i rozkoszniś, wszystko sobie z Paryża sprowadzał. Ubierał się z francuzka—łakotniś i smakosz wielki. Minę miął całkiem zniewieściałą a rozumienia o sobie wielkiego. Gięło się wszystko przed nim. dla jego bogactw i pańskiej prezencyi.

Drugi *dziecina* Koniecpolski — młodzieniaszek, co mu zaledwie wąs się puszczał. Z wielkiego ojca swego wziął mir w narodzie, ale mu kolan nie dorósł. Srogi prześladowca kozaków a zwłaszcza Chmielnickiego, nad którym się ongi znęcał straszliwie.

Trzeci *łacina*, podczaszy koronny Ostroróg, mąż swadę wielka na sejmach. ale nie w boju. I tacy to mieli ratować Polskę. Jak też ją ratowali. o tém niżej się powie.

Uwijali się ludzie nowi, nowej miary, nowych

nazwisk. nowego kroju i w czynach i w sukniach. które teraz na gwałt zrzucać zaczęto i stroić się błazeńską formą, co przystawała raczej podwikom, nie mężom od żelaza. Pełno było wstążek i cudacznych dodatków. Peruki piętrzyły się na łbach. jak wieże. Chciano niemi przykryć lichotę.

Do takich należał Imć Pan Hieronim Radziejowski, starosta łęczycki. nielubiany ongi przez króla nieboszczyka, który jak gdyby przeczuwał w nim to zło, co kiedyś miało tyle nieszczęść przynieść i ludziom, i Rzeczypospolitej.

Mimo to dla jego wielkiéj biegłości i bystrości umysłu a strzeżenia tajemnic polityki, używał go król do najtajniejszych missyj — jak owo poselstwo do kozaków i nakłanianie ich do wojny z Turcyą—ale gdy się przekonał, że pan Radziejowski na sejmie onym pamiętnym. miasto bronić królewskiego projektu, przerzucił się na stronę panów i szlachty. aby zyskać ich popularność i gardłował srodze za tem, co wczoraj jeszcze potępił — znienawidził go tak. że patrzeć na niego nie chciał — a on też w jednej chwili front zmienił, bo tegoż samego dnia zaraz wykrzyknął na sejmie—że do żadnej innej sprawy wprzód nie przystąpi, dopóki sprawa królowej uregulowaną nie będzie—ztąd postradawszy króla. pozyskał sobie zaraz królowę. Człek przewrotny i chytry a zły z gruntu. Trzeba było się zdumiewać nad jego obrotami.

Dworak z dziada pradziada—wyssał on z mlekiem fortele i przebiegłość. bo i pan ojciec i pani matka. urośli w fortunę zabiegami i intryżkami. Miał drugą żonę Wiśniowiecką, którą odbił Denhofowi, poróżniwszy ich pierw ze sobą. Podwikarz—nie przebierał w kobietach, ale byle fartuszek—brał a potém unieszczęśliwiał—ztąd processów, skarg, lamentów nań było pełno.

Już pierwsze jego wystąpienie publiczne było skandalem — bo oto obrany posłem, gdy wszedł do izby, wystąpił przeciw niemu pewien szlachcic ze skargą. że mu córkę zniesławił i żądał. aby go z sejmu rugowano, ale wymową swoją a bezczelnością potrafił wmówić we wszystkich, że ojciec ten *mente captus* i miasto jego pokrzywdzonego wyprowadzonego z sejmu. Umiał wmówić w ludzi to, co chciał. Potrafił być groźnym, srogim i znów słodkim. a miłym i uprzejmym.

Człek nie dużego wzrostu, ale dobréj tuszy — z wielką peruką na wielkiéj głowie, krótkiéj szyi, cery rumianéj, oczu błyszczących a niespokojnych, nosa orlego. Nad dużemi ustami nosił wąs rzadki. czarny podkręcony w górę i kępką włosów pod dolną wargą. Gdy szedł. kiwał się na obie strony.

Wszędzie go teraz było pełno. Po śmierci młodego Ossolińskiego, objął urząd krajczego przy królowéj. która dlań stała się tak wylaną. tak oddaną ze wszystkiem, iż nic bez niego nie stanowiła. Dostało mu się także wielkorządztwo żup

wielickich a w niedalekiéj przyszłości, inne czekały go synekury, które jak zaszczytnie wyzyskał, będziemy widzieli.

Królowa w srogich tarapatach swoich, uczepiła się tego wcielonego dyabła i za jego to namową, jęła sobie kaptować stronników w panach senatorach, a kaptowanie to odbywało się w jego ohydny sposób, bo oto łapano ich na piękne oczy fraucymeru. Potrafił on przemówić do próżności Francuzek i jął im dowodzić, że każdéj z nich śmiały się mitry książęce, a nie jakieś małżeństwa z chudopachołkami w niższéj służbie dworskiéj — że powinny rozwinąć wszystkie swoje wdzięki i powaby, aby łowić sobie w panach palladynów a królowéj stronników. Zdumieni też zostaliśmy wielce, gdy nas przyjęto niby natrętów jakich, co nieproszeni wciskają się do gniazd cudzych. Francuzki patrzyły na nas z góry i ledwie raczyły bąknąć słowo jakieś.

Bzowski traktowany przedtém, jako mąż prawie, obaczył swoją de la Mariniere, wdzięczącą się do Sieniawskiego, a że to nie umiał kryć pod korzec tego, co mu w duszy kipiało, przyszło do starcia z butnym pankiem, a Radziejowskiemu dostało się nie bardzo miłe przezwisko rufiana.

— Królowa—powiada—ma ochotę żywém mięsem handlować—takiego procederu nie było jeszcze w zamku warszawskim.

Zawrzało srogo przeciw niemu wszystko, co się dzierżyło złéj strony, ale że to ważniejsze spra-

wy leżały teraz na karku, zaniechano zemsty i odłożono ją do innéj pory.

Pewnego poranku podczas konwokacyjnego sejmu stanęli przed trumną królewską, czteréj ludzie w dziwnych strojach z polska, tatarska po kozacku odzianych — pokornéj postawy, drżący. Poklękli przed królewską trumną, przeżegnali się wschodnim obyczajem i długie odprawiali modły — a modły to były z serca głębokiego płynące przerywane od czasu do czasu łkaniem i przypadaniem twarzą ku ziemi.

Nareszcie jeden z nich najstarszy wiekiem powstał, zbliżył się do trumny popatrzył się na twarz królewską, znów przypadł czołem ku ziemi, potém oderwał z niéj kawałek aksamitu i rzekł, zbliżając się do towarzyszy:

— Fiodor! Powiesz mołojcom naszym, żeśmy odprawiali codzienne modły u zwłok króla Władysława, że oto z żalu ledwie na nogach ustać możemy. Powiedz, żem widział twarz pańską, dobrotliwą, tak jak ongi nad Dnieprem, kiedy nam opiekę przyrzekał.

— Słucham bat'ku—rzekł tamten.

— Weź, zanieś ten strzępek z królewskiéj trumny,—mówił daléj, łkając.—Niech go zawieszą u Matki Bożéj pieczerskiéj—to relikwia kozacza.

— Słucham bat'ku.

— Nic my dobrego ztąd nie wyniesiem, krom

tych łez a żalu wielkiego. Z panami niéma zgody i nie będzie nigdy — poniewierają nami gorzéj psów. Co dziś przyrzekną, to jutro zabiorą. Będą gryźli teraz nowego króla, jak tamtego zagryźli, a będzie nim Jan Kazimierz wyzuwita ich służka.

— Wy tu długo bat'ku?—spytał ten, co go Fiodorem zwano.

— Dopóki nam listów nie wręczą. Ty jedź, bo tam Chmiel zębami zgrzyta, niespokojny o nasze głowy. Powiedz wszystko, coś widział. Oj, zapłacze kozaczyzna, nie będzie już drugiego Władysława, a krew chrześcijańska daléj lać się będzie.

— Dobry pan—odezwali się wszyscy.

— Sześć koron mogło spocząć na jego głowie, a nie takich malowanych, jak polska. Rycerz, jakiego od Batorego nie widziano, prochem martwym. Hej pożyłby on jeszcze, gdyby mu pany syna jedynego nie zabili.

— Proklatyje, — odezwali się znowu.

Ubysz zerwał się i chciał przyskoczyć do Kozaków oburzony, aleśmy go powstrzymali i daléj słuchaliśmy, nie przerywając téj ich mowy. Oni też zdawali się na nas nie zważać wcale, jak gdyby nas nie było całkiem. Starzec wciąż prawił, wspominając im dawne czasy, a pamiętał dużo.

— Hej, bywałem ja tu za Zygmunta z listami do królewicza. W téj sali bywało, a nie tak smutno, jak dzisiaj. Pany jeszcze drżeli przed

majestatem królewskim. Ten, co dziś prochem, był młodzieńcem urodziwym — poklepał mnie po ramieniu: „A wierną bądź rycerska dziatwo, na Turka pójdziemy. Czajki nasze u minaretów zaświecą.“ Gdyby rok jeszcze pożył!..—i ryknął płaczem takim, żeśmy mu mimowoli zawtórzyli — potém starzec wciąż jakby marzył:

— Dziarski był młodzian. Oko czarne iskrzy się a włos długi połyskliwy na ramiona mu spadał. Kiedy skinie, to świat na kolana przed nim, tyle animuszu pańskiego, a gdy dosiadł konia i z wiatrem stepowym poleciał, to Michał Archanioł z płomienistym mieczem — i bujał po stepie, jak orzeł i serce kozaków rosło z radości, kiedy patrzyło na takiego pana. Zda się wzrósł na wolności stepie.

Wszedł Bzowski. Starzec zadumany patrzał w przestrzeń, jak gdyby przywoływał dawne mary, co mu się uwijały po głowie. Na raz się zerwał i żegnając, wykrzyknął:

— Mikołaju cudotwórco—to on!

— On kto?

— Królewicz—pan miłościwy.

— Bat'ku wy chory.

— Precz! wiem przecie, że umarł ale tu żywy jego obraz. I wszedł w chwili, gdy przeszłość cała przed oczy mi nabiegła. To zrządzenie boże być musi. Tak patrzał i takie mądre a pańskie miał oblicze.

— Znaliście młodym ojca mego? — rzekł Bzowski.

— Waszego ojca—więc wy...

— Jam syn królewski.

— Wy królewicz? Prawda! Ono tak być musi... i głos, i gesta nieboszczyka.

— A wy z Zaporoża od Chmielnickiego posły?

— Tak! Więc czém ty, kiedyś królewskim synem? Jam słyszał o jednym tylko Zygmuncie, po którym król płakał długo i w grób poszedł. Tobie nie święci się korona... Ty nieprawy... ale ty krew jego własna... pozwól staremu do nóg twoich...

— Co nazywasz nieprawem starcze? Że mojéj matki pop z królewskiemi nie związał? Ale jéj przysiągł miłość dozgonną w obliczu Boga, i téj miłości jam synem. Rodzę się nie z politycznego aliansu, ale z przyrody prawa. I pocoście wy tu przyszli? Żeby obelg połknąć tysiące, albo głowy tu swoje zostawić? Tam wasz protektor i obrońca, na marach. A łaska panów w chłopy was obrócić każe. Skończona wolność kozacza.

— Już my ją szablą wywalczyli — a dziś słuchać musicie naszych warunków.

— Powiedz to któremu z królewiąt naszych. Dopóki jednéj szlacheckiéj głowy w Polsce, wyście tylko pijanym motłochem. Dziś traktować z wami będą, a jutro was bić, bo chamom niedotrzymuje się słowa. Rzeczpospolita nigdy was

nie uzna za braci swoich. Trzeba króla — był jeden i już drugiego nie będzie.

— Święta prawda, odezwali się chórem.

— On ukochał w was rycerskiego ducha i chciał podnieść. aż do siebie. On wchodził do nizkich waszych chat chłopskich i ocierał łzy niedoli. a gnębicieli waszych karcił. On obdzielał was swoim królewskim chlebem, jeśli mu chciwość pańska zostawiła pruszynę—tak, że nieraz—o hańbo — brak uczuć się dawał w kuchni królewskiéj. Patrzcie na fortuny Kazanowskich. Radziejowskich. Mniszchów, Paców!.. Urośli na chudobie króla Polskiego.

Wszedłem między nich. bo mowa ta fatalną przybierała barwę i tylko patrzéć, rychło się kto z onych wymienionych nie zjawi — ale nie gadać było w téj chwili do rozumu.

— Mówisz a z oczu ogień tryska i mądre słowa twoje—rzekł starzec z uwielbieniem a tamci schylali się do nóg jego i bili pokorne pokłony.— Tyś nam druhem młodzieńcze. Gdzieś był dotychczas. żeśmy cię nie widzieli? Ty czujesz całą krzywdę braci naszych. Czém ty jesteś?

— Mniéj, niż niczém.

— Ty. który królewskiego ducha masz w sobie?

— Zamknięta mi droga. bo przekleństwo bękarctwa mnie przygniata.

— Aleś ty mąż! Znamiona szlachetności i krwi wielkiéj w duszy ci tętnią. Pójdź tam, gdzie osobista zasługa i dzielne czyny, klejnotem szla-

chectwa świecą.—Potém podsunąwszy się, dodał ciszéj—pójdź pod Kozaków chorągiew.

— Do siczy waszéj ja nie pójdę—bo wy zdrajcy z poganami zbratani. Wasz Chmiel, mimo że człek rycerski zhańbił się wiecznie, biorąc w pomoc wroga świętéj wiary naszéj. Dla tego dzieło jego zmarnieje, bo się sprzeniewierzył sprawie świętéj. Ja chcę ojczyźnie mojéj służyć. A służyć jéj chcę, nie szczędząc życia i téj krwi, która mi w żyłach płynie. Jam wchłonął w siebie całą myśl ojca mego. Ja jestem spadkobiercą téj myśli i spełnić ją chcę, albo zginąć.

Zaczęli się schodzić panowie, udający się na sessyą sejmową—odciągnąłem go prawie gwałtem od onych assaułów, bom się bał wybuchów jeszcze groźniejszych z jego strony.

Burzyło się w nim, bo wszędzie teraz spotykał coś takiego, co dumę jego targało. Królowa nie wzywała go już do siebie i zamianowała sekretarzem z ramienia Radziejowskiego Włocha, Pinocego. Nie dochodziła go pensya od marszałka. Patrzano nań obojętnie, albo usuwano się od niego. Człeka mniéj krewkiego, mogło to oburzyć i niecierpliwić a nie dopieroż jego. Jednak te wszystkie szpilki, któremi go kłuto, nie przechodziły miary, nie śmiano się nań targnąć jeszcze. Czekano pogrzebu króla a potém otwarcia jego testamentu.

Parę tygodni wystarczyło, ażeby zatrzéć w umysłach ludzkich tę grozę Kozackich rebelii.

Zapomniano o hetmanach w Jassyrze, zapomniano o płonących miastach i wsiach, o krwi, o tułactwie — a pamiętano tylko o swych godnościach, o swéj pysze, o bucie niepomiernéj.

Kozackich posłów traktowano po staremu, jak nie ludzi. Kazano im wyczekiwać pod drzwiami całemi dniami, całemi tygodniami.

Na pokorne listy Chmielnickiego, że z Tatarami zerwał, że ci już powrócili do Krymu, że prosi przebaczenia i upomina się o prawa przynależne, odpowiedziano z urąganiem i lekceważeniem. Wyznaczono komissyą, która miała rozpatrywać ich żądania dalsze—a dziś? Dziś powiedziano do nich: jeżeli żałować będziecie i zadosyć uczynić zechcecie, nie od tego Rzeczpospolita, aby wam przebaczyć miała. Odpowiedź zaś całéj Rzeczypospolitéj była taka: abyście o hersztach swywolnych kup pilne staranie mieli i tych przed panów komissarzy naszych stawiali. A ile to zeszło czasu na naradzie, jaki tytuł położyć na liście do Kozaków. Obawiali się panowie, ubliżenia swéj godności zbyt szczytną intytulacyą; więc im położono napis, jak ongi król kładł, pisząc do nich: Starszemu attamanowi, assaułom, pułkownikom, setnikom i wszystkiemu wojsku zaporożskiemu. O żadnym „mościwym“ panie ni wzmianki.

To było wszystko, co zrobiono dla ugaszenia pożogi.

Drżący i pobledli posłowie. odebrawszy takie listy, ruszyli z niemi w powrót z przydanym im za przystawa Mikołajem Wolskim. Za nimi w ślad komissya z Kisielem na czele — ale cóż, wolność w Polsce, jak kto chce—gdy Kisiel z komisarzami godził — książe Jeremi palił i na pal wbijał. Wyrżnął własne miasteczko Niemirów, za porozumienie z Kozactwem. Krzywonos znów zniszczył Pohrebiszcze, majątek Wiśniowieckich. Jeremi świdrami wydłubywał oczy popom; Krzywonos mordował i męczył szlachtę, księży i żydów. Kisiela, że chciał godzić, nazwał Wiśniowiecki zdrajcą i pisał do Senatu, że się trupem położy, zanim na zgodę przystanie.

Tymczasem Regimentarz pierzyna Zasławski obesłał sejm hucznym listem, w którym to cuda na papierze wypisał. Jak pogromi niesforne Kozactwo, hersztów powiąże bez pardonu, bez przebaczenia, bo takim s..... synom niedochowuje się wiary — Tatarów zbije na miazgę i wypędzi na czarne morze, Ukrainę uspokoi na wieczne czasy i w karbach utrzyma takich, że tam już bodaj mysz nie piśnie — a o układach z psiarstwem niema co myśléć.

— Cóż to za rycerz znamienity.—mówiono sobie... No, to my tu czapkami zarzucim tę hołotę... Strachem samym imienia pańskiego ją zabijem.

Koniecpolski znów, dziecina, wykrzykiwał ju-

nacko, że niech tylko rycerstwo nasze zobaczą w całéj wspaniałości, uciekać będą i umierać ze strachu—a Ostroróg łacina wygłaszał cycerońskie mowy.

Przezorniejsi jednak nie dowierzali trochę tym pańskim animuszom i kołatali, aby tym trzem Regimentarzom, przydać jeszcze przynamiéj ze 30-tu komissarzy w pomoc — czém dobili sprawę do reszty, bo się utworzyła istna Babel rozumów i rządziochów.

Między owych trzydziestu komissarzy, wlazł pan Hieronim Radziejowski, wybrany z Wielkopolski.

Wtém gruchnęła wieść o zburzeniu i wyrżnięciu Połonnego. Chmiel rósł w potęgę okrutną, wszystka czerń chłopska garnęła się ku niemu. Zaniechano tedy układów a zaczęto się krzątać około zbierania zaciągów — ale jak to one się zbierały, miły Boże!... Ponieważ było powiedziane, aby szumnie a dwornie wystąpić, więc siaki taki nie jak na wojnę, ale jak gdyby w tany się wybierał — a że przy tańcu dobrze zjeść i wypić nie wadzi, więc tedy o grzesznem cielsku zapomnieć nie trzeba. Szły tedy tabory kuchni i specyałów pańskich, srebra i one stołowe zastawy przepyszne po pradziadach--szły wygódki wszelakie i pierzyny a piernaty — szły namioty wspaniałe—szły delje i aksamity a hatłasy—szły rzędy na konie od srebra i od złota — broń przeróżnego kształtu i oprawy bogatéj—wszystko to,

czém oczy napaść i olśnić można. Nie jeden chudzina. nie miawszy się czém na podręczu przystroić, zadłużył się, aby mu krawiec sowitą ferezyą sztyftował.

I znów doleciała druga klęska o wzięciu Baru. Cały Wołyń w ogniu! — wołano z przerażeniem. Nic to. Niech sobie—róbmy swoje. Czapkami ich zarzucim.

I fundowano się w one czapki, przypinając do nich kity i drogie kamienie.

Pacholików do posługi, kucharzy, kredencerzy, paziów, trefnisiów, muzykantów, lizołapów i wszelkiéj hołoty więcéj było, jak zaciągowych żołnierzy. Nawet książki i bibliotekarzy brano z sobą.

Równie szumnie, jak wszyscy a szumniéj od niektórych wystąpił pan Radziejowski. Poczt jego służby kapał od srebra. Wyniósł on to tam wszystko, co ojczaszek długiém dworowaniem nazbierał a dla synka nagotował.

Pochód jego przez Warszawę rozpoczęła muzyka strojna w szaty z barwą herbową — a choć pod karą dużą zabroniono wszelkich muzyk dla żałoby królewskiéj — nic to — Radziejowskiemu uszło. Każdy rozdziawił gębę i patrzał. Za muzyką postępowali łucznicy, daléj kiryśnicy—więc drabanci—więc kopijnicy—więc dragonia na koniach siwych jednéj maści, ubrana w tureckie czerwone rzędy. Daléj powóz suty jegomości. daléj powóz paradny rydwan jako dla

zwycięzcy. dalej laufry, dalej paziowie i dworzanie. Marszałek jechał w kolasie odkrytej—przy nim kapelan. dalej podczaszy pański, szatny. kuchmistrz, kalwakator, łowczy. sekretarz. krajczy — dalej komornicy i przyjaciele pańskiego domu — znów jurgieltnicy, znów Kozacy srebrni. zwani tak od litego srebra na pasach. znów Węgrzy na konikach sekielach. Dalej szły wozy. telegi, kolebki, dalej ładowne skarbniki z kuchnią, spiżarnią, sprzętami a zamykała to wszystko piechota.

Kozacy mieli się zlęknąć tego wszystkiego i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Posuwano się temi taborami zwolna pod Konstantynów, gdzie już stał Regimentarz pierzyna, z garstką wojsk koronnych.

Gdy tak buńczuczno, hucznie, srogo a strzępiasto i pierzasto panowie i bracia szlachta na Kozaków idzie, do Warszawy ciągną a ciągną tułacze, wyzuci z mienia i chudoby. Najwięcej między niemi starców, dzieci i niewiast.

Zjechał tego tabor duży — cały na Ujazdów Kommenderowała nimi i prowadziła ich niewiasta księżna Czetwertyńska, o której to dziwne dziwy prawiono.

Byli oni zamknięci w Nesterwarze, obronnym zamku a schroniła się do nich okoliczna szlachta i żydzi. Chmiel z całą energią pod zamek postąpił i dobywać go począł. Broniło się to, dopóki ducha stało i ammunicyi, a że ducha było w nich

siła, niech posłuży za przykład czyn pana Modlibowskiego. godzien pamięci wieków potomnych. Gdy otoczony zgrają Kozactwa nie miał kuli. aby nabić muszkiet. wybił sobie ząb trzonowy i tym zębem zabił pułkownika Kozackiego. W końcu jednak chudziny poddać się musieli. Przyrzekł im Chmiel na słowo. że ich zostawi przy życiu. Zamek obsadzono załogą saméj czerni, a on poszedł daléj, ale jak się to zaczęło napijać, tak i wycięli pomału wszystkich. Czetwertyńskiemu własny poddany chłop uciął głowę a jéjmości dowódzca czerni Ostap położył warunek: albo go zaślubi. albo téż pójdzie za mężem. Przystała biedna i weszła w kajdany chłopskie — ale niedługo dała się cieszyć sobą pijanicy i obmierzłemu chłopu—bo oto jak druga Judyt, ścięła nocą łeb kozackiemu Hołofernesowi i uciekła z obozu, zabrawszy wszystkie niewiasty, z któremi się już umówiła poprzednio.

Chodziliśmy na Ujazdów patrzeć się, jak na miraculum na oną niewiastę rycerskiego serca. Wszystko. co żyło w Warszawie, ofiarowało jéj schronienie; jedni przez drugich się uganiali, ażeby ją ugościć ze względu i na krew tak znakomitą i na cnoty jéj, ale odrzuciła wszelką pomoc, mówiąc: „Dla tychem się oddała i wierną im będę, dopóki im gniazda nie powrócą.“ Takie to niewiasty bywały u nas w tych czasach. Alboż to jedna Czetwertyńska!.. powie się o nich więcéj w swojem miejscu.

Zaopatrywano tedy ową mizeryą we wszystko. Królowa dzień w dzień odwiedzała ich i ze stołu swego nasełała żywności. Panie senatorowe i wszystkie żony dostojników naszych i szlachty a bawiło ich w Warszawie temi czasy dosyć, wślad za królową poszły i ubierały a karmiły na wyścigi. Nie jedna z nich miała lepiej, niż ongi w domu własnym.

Na Ujazdów szły processye a w processyach tych znalazła się Jadwiżka z Kostusiem i starostą — za nimi Orzełek niby marszałek i dwóch drabów, niby srebrnych kozaków. Pomimo naszych trosk i smutków. widząc tę kalwakatę. parsknęliśmy śmiechem takim, że go tam chyba w niebie było słychać.

Pani starościna w czerni cała. Pan Wypyski przybrany, niby żałobny herold. Kostuś z przepychem niby po książęcemu w płaszczu gronostajowym—wyglądał, jak infant. Kołatał on temi czasy o łaskę do królowej, ale łaska jakoś nie przychodziła.

Ziemba frant pokłonił się im w pas i z wdzięczną a filuterną miną, którąśmy znali w nim doskonale, odezwał się:

— Ot personifikacya litości i dobroci wszelakiej zjawia się w dostojnem gronie dostojności waszej. Ci wszyscy nędznicy, już samym widokiem ich dostojnego oblicza więcej się zapewne, niżeli chlebem nasycą. bo powiedziane jest: Nie tylko chlebem żyjesz.

Zmarszczyła się trochę starościna, zżymnął Konstanty, tylko starosta uradowany poklepał go po ramieniu.

— Mój mościwy panie Ziembo, tego... zawsześ łaskaw na nasz dom ten... nie omijaj go że go... bo ci... ten... radzi jesteśmy.

— Tam, gdzie rozum wielki błyszczy dostojności waszéj, obok cnót onych ewangelistycznych, jakiemi znów jejmość przezacna słynie — gdzie w dostojnym jedynaku tyle rycerskich a kawalersko-dwornych objawia się przymiotów — tam mówię, w domu takim... tego... ten... to... — i zaczął przedrzeźniać skonfundowanego już tą razą starostę, który pobladł trochę i swoje wyłupiaste oczy obrócił na jejmość i Konstantego, jakby ich zapytywał: co z nim zrobić—lecz ci odwrócili się i poszli daléj, a starosta napuszony odrzekł, jąkając się coraz bardziéj:

— Jeszcze waść... mościwy panie... tego... ten... kiedyś... to... za przygryzki... tego... dobrze oberwiesz.

— Czyżbym dostąpił tego splendoru naprawdę, żeby miłość wasza raczył popróbować karabeli swojéj na mojéj demeszce.

Mówił to pół seryo, pół drwiąco a jedno oko mu drgało, jak to bywało u niego w wesołéj chwili.

— Ale zkądże znowu tego... ten... ja nie myślałem,—odparł starosta zaambarasowany.

— A no tom źle zrozumiał miłość waszą, gdy

o jakiemś oberwaniu tego... ten... była... tego... mowa.

Takiéj komedyi, jak życie moje nie pamiętam —śmieliśmy się jak utrapieni.

— A no była tego... — rzekł znowu zaperzony starosta.—Gdy waść tego... nie przestaniesz ten... urągać.

— Urągać ja dostojności waszéj. która tego... tak dalece ten... napełnia mnie to... rewerencyą.

— Do miljon tego...—wrzasnął starosta rozjędyczony coraz więcéj i już niepanujący nad sobą —a w takich chwilach stawał się strasznym i nic go uhamować nie mogło.

— Satis! — rzekł Ziemba znów poważnie. — Chciałem też widzieć, czy w téj bryle mięsa i krwi się kropla znajdzie.

— A no znajdzie się tego... do kroćset paraluszy—i nie tylko kropla. ale struga cała na usługi waszmości. Proszę cię panie Scipio i was panie Żabicki bądźcież świadkami, jak tu uszy obetnę temu mospankowi. Zejdźmyż, jeśliście łaskawi na stronę, gdzie ludzie się nie kręcą.

— Ale panie starosto. — zaczęliśmy go mitygować.

— Satis! ja teraz powiem—i blady z początku poczerwieniał, jak wiśnia — wszystko się w nim trzęsło i nie ugasić tego ognia, co się w nim pomału rozpalił.

— A niechże was wszyscy dyabli wezmą. wy niegodziwa dworska psiarnio, — prawił daléj, a

Ziemba patrzał tylko w niego. jak w tęczę, jak gdyby podziwiał oną metamorfozę.

— Jestem człek spokojny, że nikomu wody nie zamącę a ta bestya mnie ciągle gryzie. Daléj, proszę z sobą, bo wstyd będzie, jak tu na rynku dostojnéj krwi utoczę jego dostojnéj osobie.

Nie było rady. Szliśmy do lasu. Ziemba dziwnie zamyślony i stroskany, bo nie spodziewał się takiego obrotu. Tamci zdziwieni—ja tylko jeden znając starostę, wiedziałem, że na sucho się to nie skończy, ale porwany śmiechem wraz z drugimi, nie chciałem przerywać téj krotochwili.

Gdyśmy stanęli, Ziemba nachmurzył się i rzecze:

— Słuchajno mościwy starosto—jakże to jedno z drugiem pogodzić. Czoło zda się u waści wytarte i honor szlachecki gdzieś schowany w kieszeni nie bardzo czystéj spódnicy—a przecie jest i godność, i animusz kawalerski.

— A waści dyabli do tego. Niech każdy idzie swoją drogą, jak umie i może. Kto mi zarzuca nieuczciwość, powiem, że potwarca i łeb mu zmiotę z karku. Daléj!

— Ha!—odsapnął Ziemba.

Żabicki i Skowroński chcieli zaprotestować, ale Ziemba się nie zgodził.

Stanęli po kawalersku. Złożyli się pięknie. Pan Wypyski ciągle wrzał i radby mu był przylepić jaką pamiątkę, ale trafił na gracza, co to

jak smyczkiem na skrzypcach pociągał — płatnął go téż po łapie dobrze, ale nieszkodliwie.

Przystąpiliśmy zaraz do obydwóch i nie dopuścili do więcéj.

Ziemba go przeprosił. Przyjął to z góry i jak gdyby z pańska i zaraz się zaciął, bo już go złość minęła.

— Niechże... tego... będzie między nami ten... zgoda... i wzajemna tego... rewerencya.

Jedyném złém, co siedziało w tym człowieku, była ona niegodna żądza błyszczenia i zaszczytów... dla téj stawał się głupim... i brudnym...

Była Niedziela. Po sumie u Dominikanów posunęliśmy we trzech ja, Żabicki i Bzowski na obiad do dworku wdowy.

Przebywało się tu temi czasy dosyć często, boć tu człek znalazł to, czego już na dworze naszym nie stało: szczerości, uczciwości i dobrego serca. Tuśmy gawędzili o lepszych czasach a nie tak dawnych jeszcze i tu snuło się marzenia o tém, co będzie.

Co będzie z nami w tém osieroceniu naszém?

Zbliżała się elekcya nowego króla, zbliżał się pogrzeb, potém otwarcie testamentu. One to trzy rzeczy miały rozstrzygnąć losy nasze.

Bzowskiego nie obchodziło to nic wcale. Gdyśmy go zagadnęli z ostrożna: co zamyśla — odpowiedział nam dziwnie:

— Spytajcie o to losów, co się tam gdzieś w górze, w urnie przeznaczeń dla mnie plączą. Co ja myślę? Przestrachby was zdjął, gdybyście o tém wiedzieć mogli tak, jak nieraz i mnie samego bierze.

Matka nakłaniała go, aby szedł do wojska. Rozśmiał się na to.

— A pod czyją chorągiew?

— Wybieraj.

— Tylko pod chorągwią Władysława IV-go służyć mogłem i służę jeszcze, dopóki jéj nie skruszą na jego grobie—a potém pójdę w służbę własną, aby wprowadzić w świat to, czego on nie dokończył.

Była to jego zwykła piosnka, której nie pojmowaliśmy całkiem a nawet po cichu między sobą podśmiewali.

— Ot, duma mu w głowie przewraca — mówił Żabicki.

— Prócz dumy, jest w tym człowieku coś więcéj jeszcze—dorzucił Ziemba—szyderstwo wieczne ze wszystkiego i ze wszystkich, nawet z Boga.

A jam widział, że ani jedni ani drudzy nie mówili prawdy. Była duma szlachetna, co go parła do rzeczy wielkich, którym mógł podołać, bo go Pan Bóg uposażył bogato a szyderstwo było dla złych i głupich. Jak zaś się kajał i modlił Bogu w chwilach ciężkich, tośmy widzieli. Ale to wszystko u ludzi idzie wedle tego, jak tam komu interes albo skłonność jakaś podszepnie — tak i

o drugich sądzi. Żabicki. że był chudopachołek i rymopis rozumienia o sobie wielkiego—nie mógł się jakoś dobić do niczego a zazdrościł wszystkim, więc w Bzowskim widział tylko dumę niepomierną; Ziemba zaś chciał być sam jeden tylko dowcipnym i ciętym w języku — gdy mu Bzowski parę razy odciął się dobrze. już ci i gniew na niego.

Temi czasy był on smutny i surowy—z rzadka się u niego uśmiech zjawił. za to goryczy i szyderstwa nie skąpił. Od czasu spotkania z onemi kozackiemi posły. których w taki podziw i uwielbienie wprawił, chodził ponury i zamyślony głęboko, potém zaczął pilnie uczęszczać na sessye sejmu Konwokacyjnego i przysłuchywać obradom.

Było co słyszéć i podziwiać, gdy wrócił do domu i jął słowo w słowo opowiadać te językowe szermierki ze swojemi kommentarzami, w których znów obok żartu i szyderstwa tyle prawdy się kryło, tyle rozumu. że nie jeden głęboki polityk mógł iść do niego w służby.

— Żaden naród,—mówił on,—nie ma tyle dziecinnej pychy, co polski — miodem pochlebstwa. można od niego bodaj ojczyznę wyszachrować. Oto wśród największego ognia rozpraw nad kozacką rebeliją. gdy rada co najrychlejszego ratunku i mądrego postanowienia tak jest drogą, że każda chwila na zgubę i szwank nas stawia— dają znać, że poseł Francuzki pan de Brezy, pro-

wadzi z sobą hrabiego d'Arpayon z orderem Ś-go Ducha, który ten przywiózł dla nieboszczyka króla. Następują ceremonije przyjęcia, które się wloką przez dni parę. Trwają długie przemowy panów senatorów, na które wreszcie Francuz odpowiada suto naszpikowawszy pochlebstwami, bo od słów: „Serenissima Respublica“ zacząwszy, a kończąc na takich: iż w tém zgromadzeniu tak wielu widzi królów, jak wielu obywatelów—ztąd tém większa ma być żałość po królu, który nad takimi obywatelami panował.“ Tu trzeba było widzieć dopiero naszych królików — każdy urósł nie już na króla, ale na półtora króla. Zaczęto się wysadzać na takie głupstwa, o jakich jeszcze mury sejmowe nie słyszały. A o co głównie chodziło Francuzowi: o to, aby wytargować na nich oprawę królowéj, o któréj w tych czasach srogich ani słyszéć nie chcieli... i wytargował. To czego nie chcieli zrobić na prośby króla Władysława, zrobili na jeden umizg Francuza. To, co wielkiemu królowi stało się źródłem goryczy, to kpiąc z nich w duszy, wydarł im zręcznie jeden dworak subtelny. Niech was grom spali! Połechtani tak mile długi czas uspokoić się nie mogli, dopiero nowe wieści krwawe z Ukrainy otrzeźwiły ich nieco.

Ta nienawiść rosła w nim i zakorzeniała się straszliwie—gorzkie téż były jéj owoce.

Panna de la Mariniere lubo podbechtywana na wszystkie strony, dotąd mu była wierną, choć nie-

raz gorzkie musiała znosić wyrzuty dla jego zgryźliwości.

Wracając tedy do tego, com powiedział na początku acapite, że to w oną pamiętną Niedzielę się zdarzyło. Gdy tak siedzimy, gawędzimy a i popłakujemy trochę, gdy każdy o swojéj przyszłości prawi, gdy Żabicki chciał by uwiesić się przy nowym królu, a ja odpocząć na jakiéjś wioszczynie w dobrém sąsiedztwie — gdy i mnie, i Żabickiego Bzowska namawia w Sandomierskie, abyśmy jakoś blisko siebie byli wszyscy; zajeżdża przed ganek kolasa, a w niéj kto? Państwo starostwo mereckie.

— A to co za komedya? — zerwał się Bzowski.

— Gość w dom, Bóg w dom — odpowiedziała matka. Przyjąć ich trzeba i wyszła naprzeciw.

— Małpa z niedźwiedziem—a no zabawimy się trochę w naszych kłopotach.

— Powiedz sroka z osłem — dorzucił Żabicki.

— Co ja to nie wiem, do czegobym ich przyrównał—odrzekłem.—O pani Jadwiżce mam już ustaloną moję opinią, ale co do pana Wypyskiego, to tam widzę tyle sprzeczności i dziwactw...

— A i ja—rzekł Bzowski.—Wiesz, co by tego kloca do równowagi jakiéjś przywieść mogło?

— A mówże, zmiłuj się!

— Oto, gdyby mu kto tę frygę gdzie utopił.

W progu ukazała się starościna z mężem, prowadzeni przez Bzowską.

Nie widziałem jeszcze nigdy razem tych dwóch kobiet. Jadwiżka robiła starania częste, aby się do niéj zbliżyć, ale dumna pani odtrącała ją od siebie. Dziwne a niespodziewane te odwiedziny nie były tu pożądane— jednak mogłem im się teraz przypatrzeć i porównywać.

W Bzowskiej widać było przedewszystkiem szlachetne pochodzenie. Prezencyą miała pańską, co podniesione jeszcze pięknością jéj, lubo teraz postarzałą trochę, czyniło z niéj osobę tak dostojną i poszanowania godną, że mimowoli schylałeś przed nią głowę. Potrafiła ona jedném spojrzeniem spokojném onieśmielić człowieka tak, że język w trąbkę zwinąć musiał. Oszczercy też bali się jéj i nie zaczepili nigdy.

Jadwiżka zaś, mimo swéj niby ogłady i dowcipu, wyglądała przy niéj na służącą do ubierania jejmości. Stawała się ona wtedy tylko ujmującą, gdy jak bachantka z kieliszkiem w ręku podejmowała króla — po za tém była tylko sprytném, ale całkiem pospolitém stworzeniem.

— Sługa pana starosty — rzekła ona, witając Bzowskiego miłym uśmiechem.—Witam uprzejmie waszmość panów — przerywamy wam miłą zabawę.

Starosta nieśmiało się pokłonił, potém podał każdemu rękę — chrząknął i już się zabierał do wypowiedzenia jakiegoś tego... ten... to... ale zac-

na jego połowica ucięła. jak siekierą. mówiąc sama i nie dając mu przyjść do słowa:

— Przebaczyć raczcie. Sprowadza nas tu najprzód chęć złożenia submissyi naszéj przezacnéj pani rotmistrzowéj (nie wiem zkąd wygrzebała ten tytuł, którem się Bzowska nigdy nie nazywała) a potém wspólna nasza dola. o któréj pomówić byśmy chcieli.

— Jakaż to wspólna dola? — zapytał Bzowski.

Pokręciła się na stołku i popatrzyła na mnie i Żabickiego, jakbyśmy jéj zawadzali. Ale my ciekawi tych odwiedzin, nie chcieli tego zrozumiéć.

— Pomówimy o niéj inną razą, bo są sprawy dość delikatne... — i znów nas obrzuciła wzrokiem.

— Proszę mówić wszystko. To są przyjaciele nasi, dla których nie mamy skrytości— odpowiedziała Bzowska.

— W takim razie wypowiem otwarcie, co nam już od dawna na sercu leży. Jeszcze za nieboszczyka króla. chciałam gorąco. abyśmy w zgodzie pracowali nad wspólném szczęściem naszych dzieci.

— Jakich dzieci?—przerwał Bzowski.

— To niechże będzie naszych synów, kiedy panu staroście ten wyraz się nie zdaje.

— Mnie się i więcéj wyrazów u waszmość pani nie zdaje. Gdy mówisz naszych, to niby kogo masz na myśli?

— A no jużci mego Kostusia i waćpana.

— A więc z góry muszę waćpanią przeprosić, aby mnie ze swoim Kostusiem stawiać nie raczyła.

— Otóż to tak zawsze— odrzekła — dwóch się kłóci a trzeci z tego skorzysta.

— Kto się kłóci? Z kim?—zapytał Bzowski— Pani Kostuś jest niegodziwiec, któryby już dawno legł z mojej ręki, gdyby nie wzgląd na świętą osobę króla—ale dziś niech się strzeże, bo już ten wzgląd ustał.

— Zgrzeszył przeciwko wam — prawda — ale dlaczego zgrzeszył, boście go zawsze kopali nogami panie starosto, boście go uznawali nie jak brata, ale ostatniego z ludzi.

— Słyszycie to waćpanowie? Nie — na taką bezczelną obelgę, odpowiedzieć nie warto.

— Szymonie — odezwała się Bzowska, hamując go.

— Na cóż tego... ten... dawne tego... sprawy wspominać.

— Raz przynajmniej odezwałeś się w porę — rzekła jejmość—na co dawne rzeczy wywłóczyć.

— Więc proszę mówić o nowych, tylko syna swego do nich nie mięszać, jeśli łaska — zakonkludował Bzowski.

— A no to w takim razie do niczego nie przyjdziem, bo to właśnie o niego i o was idzie panie starosto.

— Przestań proszę — rzekła surowo pani Bzo-

wska—racz pani starościna wyłożyć jaśniéj myśl swoję.

— Wykładam ją — chcąc jednak jaśniéj ją wyłożyć, muszę choć na chwilę powrócić do niemiłéj panu staroście materyi. Otóż nie cofnę mego, gdy powiem, że waszéj winy było trochę, dużo jego a najwięcéj tych, którzy zarzewie między was rzucali i rzucać będą, dopóki na rozum nie weźmiecie. Czemuż dziś, gdy ze śmiercią królewską, grożą wam jednakie losy, nie macie się wspólnie wziąść za ręce i nie dać wrogom swoim tryumfować nad wami? Do was pani zwracam się, jako do matki, która pewnie równie, jak i ja nieraz bezsenne nocy trawisz, troszcząc się o swego jedynaka. Czy wy wiecie, jakie nieszczęścia nam grożą. A jeżeli nieboszczyk przepomniał w swoim testamencie o naszych dzieciach—to co wtedy będzie? Obdarował was starostwem urzędowskiem, ekonomią falęcicką—ależ to wszystko niepewne. Któż zaręczy, że wam jéj nie odbiorą? Mój Kostuś nie ma i tego. Gdy będziecie się trzymać za ręce w miłości i w zgodzie, muszą pomyśléć o was—gdy będziecie rozdwojeni i w utarczce, zguba was czeka, bo oni waszę niezgodę, na swoję korzyść wyzyskają.

W Bzowskim wrzało — już chciał się rzucić ze srogą reprymandą, ale wzrok matki trzymał go przykutym na miejscu.

— Racye, które wmość pani starościna raczyła tu postawić, są tak rozumne, że nic im i przyga-

nić nie można. Nie mówiąc już o interessie wspólnym, ale o miłości braterskiéj, któréj przestrzegałam zawsze, należy im być w zgodzie i téj zgody syn mój jako posłuszny matce pilnował zawsze, gdyby jéj syn wmość pani czy sam, czy poduszczony, nie zepsuł. Nie chcę tego poruszać, co było, aleć jeżeli na przyszłość w obec tych nieszczęść, które im grożą znów, mój syn poda mu rękę do zgody, a Konstanty okaże się znów tém, czém był — to któż zaręczyć może, czy go już tą razą, nie dosięże słuszna zemsta Szymona. Racz wpani to rozważyć. Jeżeli masz taką władzę nad synem i przyrzekniesz, że będzie posłusznym — mój syn poda mu swoję rękę.

— Nigdy matko!

— To zobaczymy. Cóż wpani na to?

— Przysięgnę wam na rany Chrystusa—a gdyby nie dotrzymał, niech go mściwa wasza ręka zmiecie—nie upomnę się o niego wcale.

I zapłakała szczerze.

— Panie starosto! wiem — macie mu ciężkie bardzo ciężkie zarzuty, ale przysięgam wam na Boga, że w tém połowę tylko jego winy. Niech powie mąż, ile w tém dziecku jest dobrego, choć tyle zuchwalstwa na pozór i złości.

— Ale tak... tego... ten... Ustąpcie tą razą... panie tego...

Musieliśmy się dobrze trzymać, żeby się nie rozśmiać i nie zepsuć téj poważnéj sceny, bo mó-

wił to bestya wbrew przekonaniu. Zalał mu ten Kostuś nieraz gorącego sadła.

— Oszczędź sobie wpani tego płaczu — rzekła Bzowska — syn mój raz jeszcze spełni tę ofiarę... ale niechże zobaczy żal i skruchę z przeciwnéj strony.

— Jasiu!—kiwnęła nań i coś szepnęła do ucha. Jaś wybiegł i za chwilę powrócił z Kostusiem.

Nie spostrzegliśmy go z początku, bo przyczajony siedział w kącie kolasy, czekając na rezultat rozmowy.

Wszedł on ze łbem spuszczonym i potknął się zaraz w progu, zataczając trochę. Był pijanym.

— Przeproś! — wykrzyknęła groźnie matka — a jeżeli nie dotrzymasz, pomsta cię nie minie — pamiętaj!

Przypadł do nóg Bzowskiéj, Bzowskiego za kolana objął — potém popatrzał nań z podełba. Bzowski pod wpływem wzroku matki, podał mu rękę ze wstrętem i tak znów stanęła między nimi słomiana zgoda.

Na dworze tymczasem zapanowała cisza i wyczekiwanie a cisza to była, jakby ona przed burzą jakąś wielką, że i trudno w niéj człowiekowi oddychać.

Chodzono po kątach, szeptano, radzono, aż też padł grom a z gromów najstraszniejszy.

———

Hańba! Sromota wieczna! Jak Polska stoi długo, takiéj jeszcze nie było. Uciekli. Tył podali haniebnie! Uciekli przed widmem, przed marą tatarskiéj ordy. Uciekli wszyscy—regimentarze, komissarze, wojewodowie, kasztelani — wielcy, mali — chorążowie, pułkownicy i wojsko całe. Uciekli, zostawiając wszystkie skarby, które z sobą przywieźli. Uciekli, choć ich nikt nie gonił.

Pod Piławcami stała się ona hańba okrutna, co będzie jak wieczny rumieniec wstydu na twarzy rzeczypospolitéj.

Pierwszy, co dał do niéj hasło, niech przeklęty będzie po wiek wieków!..

Tajemnie, pod osłoną nocy dwaj niegodni cześci Zasławski pierzyna z Radziejowskim, uknuli ten haniebny spisek a ostatni z nich chcąc pociągnąć wszystkich na swoich chorągwiach, napisał: *Fugite*.

I pociągnęli za sobą Ostroroga z Koniecpolskim, trzech wojewodów—Kijowskiego, podolskiego z brzesko-kujawskim—kilkunastu starostów między tymi: generalnego krakowskiego sądeckiego, wieluńskiego, sokalskiego, kowieńskiego, rożańskiego, rogozińskiego, czerskiego, warszawskiego a za nimi wszystkich.

Wygodni regimentarze pojechali naprzód. Obóz nasz przeszło 200,000 ludzi liczący, w najhaniebniejszą poszedł rozsypkę, zostawiając na łup nieprzyjacielowi niezmierne kosztowności w srebrach, złocie, drogich szatach, broni i sprzętach.

Ciągnęli tam ze Lwowa dwa tygodnie, uciekali do Lwowa dwa dni niecałe — to mi się nazywa *fugas*.

W całej potrzebie zginęło 300 ludzi.

Popłoch i trwoga ogarnęły Polskę całą.

Królowa chciała wyjeżdżać zaraz do Torunia Gadano, że lada dzień stanie Chmielnicki z Tatarami w Warszawie.

Gwar, rwetes, przekleństwa, odgróżki a wśród tego ładowano wozy i uciekano ku północy—byle jak najdalej, byle jak najprędzej.

Ten, co przyniósł do Warszawy te wieści, szlachcic Siemiątkowski z Mazowsza, pokazał się tylko na zamku, wybełkotał wszystko jednym tchem i zniknął, jak gdyby pod ziemię zapadł. Szukano go wszędzie, jak szpilki, pytano, badano... aż też i zaczęło coraz gęściej nadciągać szlachty. A jak to wszystko wyglądało! Zbłocone, odarte, pochmurne — nie śmieli spojrzeć w oczy otwarcie, choć najmniej zawinili.

W miarę, jak ich przybywało, przybyło i rozmiarów onej hańby, przybyło i klęsk coraz więcej. Latały listy z rozproszonego obozu, który się zamknął we Lwowie. W listach tych całą winę zwalono na pierzynę, łacinę i dziecinę.

Nadjechał pan Niewiarowski. Był on jednym z tych, co pierwsi zaraz po zamianowaniu regimentarzy pospieszyli pod komendę pierzyny do Konstantynowa; a że był człek ludzki i rozmowny, bo gadał wiele i pięknie, więceśmy go wzię-

li między siebie i już na krok nie puściliśmy, dopóki nam całej owej infamii nie powie.

Ale gdzie to z nim dogadać się można było.

— Czego chcecie — wrzeszczał.—Czyście poszaleli? Co ja mam opowiadać? Jakem zmykał z innymi? Niech opowiedzą ci, którzy dali komendę taką. Żołnierzowi wstyd i srom. Bodaj mnie była strzałą tatarska prześwidrowała na wylot. Bodajem był nogę złamał wpierw, nim ją w strzemię włożyłem, idąc pod taką komendę. Ojciec mój ś. p. okrył się chwałą pod Chocimem, a że było dwóch Piotrów Niewiarowskich w Drochickiém, więc go zwano Chocimczykiem, mnie zaś Piławczykim nazywać będą. Jestem Piławczyk — to znaczy: zając, skurczydusza, nędznik, pierzyna, gnojek, ciura. Ot tobie komenda!.. wygrzebali tych trzech kpów i kazali im bitwę stoczyć, jakby to kapłona rozebrać.

— Niech ich wszyscy dyabli wezmą — rzekł zniecierpliwiony Żabicki—opowiedzcież nam oto, jak się stało, że kwiat naszego rycerstwa poniósł srom taki. Toć to nie do wiary.

— Jak? Tak się stać musiało, nie inaczej. Gdym dojeżdżał do Lwowa, już mnie złe przeczucie trapiło. Bo to nie na wojnę, ale na sejm albo uroczystość jakąś szło wszystko.

Zgromadzili się zaciężni w Glinianach, ztąd pociągnęli pod Konstantynów i tam ogromnym razem stanęliśmy obozem. Wiśniowiecki tylko stał osobno pod Czołkańskim kamieniem, zagniewany

na wszystkich. Tyszkiewicz poczciwa dusza jął ich jednać, no i po długich, długich perswazyach pojednał przecie. Przybliżył się do nas Wiśniowiecki. pogodzili się z Zasławskim i najlepsza zapanowała otucha.

Dopieroż się rozpoczęły bankiety a wywczasy. jak gdyby za najlepszych lat. Panegiryki się posypały ex re owego skojarzenia się dwóch potentatów, co dotychczas byli w rozterce. Zapomnieliśmy wśród tego o kozakach—ale doświadczeńsi, smutno jednak potrząsali głowami. Bo jakże tu się spodziewać czegoś dobrego po takiej expedycyi? 34,000 tysiące było rycerstwa strojno, butno—a wozów i sług przeszło 200,000.

Chmielnicki stał na południe od Konstantynowa w Pilawcach—powiadają, że siły jego ani równać się mogły z naszemi. Porwaliśmy języka; powiada, że się cofa. Ha! wykrzyknęli — ucieka bestya! ucieka—nie mówiliśmy? Czapkami ich zarzucim. Tymczasem Chmiel nie chciał bitwy rozpocząć, dopóki orda nie nadciągnie a zasłaniały go bagna i moczary.

Zbliżyliśmy się o dwie mile i postanowiliśmy zdobyć on kurnik piławiecki — a staliśmy w haniebnem miejscu. Jednak rozpoczęły się harce dosyć pięknie — siła tego i padło i wzięło się ich dosyć. Dochodziły nas wieści, że czerń zamyśla wydać Chmielnickiego. Aż tu wieczorem przybywa Tuchaj-bej w 40,000 ordy. Chmiel ze stu

dział bić każe. Brzmi hałła Tatarskie. Podjazdy pierzchają.

Zbiera się rada wojenna. Wiśniowiecki woła bić, drudzy taborem się usuwać, a Zasławski komunikiem dążyć do Konstantynowa i tam się oszańcować. I pojechali bestye owym komunikiem i nie oparli się, aż we Lwowie a my za niemi jak stado gęsi marnych, na wstyd pokoleniom zostawiwszy wszystkie wozy z oném bogactwem, cośmy przywieźli. Jeden tylko pan Arciszewski został przy armacie i tego mieli Tatarzy rozsiekać.

Oto i wszystko. Dajcie mi pokój. Niech przyjdą inni i więcéj wam powiedzą—jam niemy. Nie będę gadał więcéj, choćby mnie w smole smażyć miano. Gadać o tém—to człowiek, jak gdyby żywe mięso skrobał na sobie. Cicho! sza. Jesteśmy kpy takie, jakich nie było jeszcze. Ot król nieboszczyk, panie świeć nad jego duszą, w trumnie się przewrócić musiał.

Zacisnął czapkę na ucho, głowę zwiesił i pobiegł, jakby się wstydził sam przed sobą.

Nie długo czekaliśmy na więcéj języków, szły kurryery, szły listy a z niemi trwoga coraz większa. Szły nawet wiersze i paszkwile szpetne na panów regimentarzy i starszyznę a ze wszystkich najwięcéj obiegał wiersz młodego Kochowskiego podsędkowicza sandomierskiego, którego ojciec był sekretarzem króla nieboszczyka.

Oto jego sens:

Jako od wieków Polska tu usiadła,
Na nią takowa obelga nie padła.
Bo pocoście wy do obozu przyszli,
Znać dla bankietów, biesiad, dobréj myśli:
Poranek gnuśny, a wieczór pijany.
Także to kozak będzie zwojowany?
Szańców nie sypią, nie ćwiczą piechoty,
W pole na mustrę nie wynijdą roty,
To kunszt harcować pod wieczór wesoły
I Chmielnickiego wojować za stoły.

We Lwowie okrzyknięto hetmanem księcia Wiśniowieckiego, ale im umknął przed Chmielnickim cichaczem do Zamościa.

Mieszczanie chudzięta wydobyli wszystko z pod duszy i złożyli panom kommisarzom—zebrało się tego siła. Wzięli pouciekali. Najwięcéj się obłowił Radziejowski niecnota. Chciał on na nich powetować to, co zostawił pod Pilawcami. Srogi lament podniesiono potém na niego, ale chyba u pana Boga satysfakcya będzie daną.

Tymczasem Chmiel rozpoczął oblężenie Lwowa i wieści słał po Polsce, że do Warszawy zawita.

Zamieszanie, bezład, bezprawie, złodziejstwa, rabunki, morderstwa i wszelkie szkarady, co się chowały dawniéj w cieniu, jakby tylko czekały onéj pory, ażeby się po całym kraju rozlać potokiem. Sprawiedliwość zda się sama przestraszona schowała się gdzieś w kąt najciemniejszy i za-

kryła głowę pierzyną, bo oto co dzień usłyszałeś coś takiego, co ci jelita poruszyło. Hultajstwo wyłaziło z pod ziemi—kradło, rozbijało...

Między innemi któżby się tego spodziewał: zamordowano Jadwiżkę starościnę merecką. Znaleziono ją na schodach, nad ranem, w własnym domu bez życia z straszną raną w piersiach. Sprawcą był prawdopodobnie Orzełek, bo frunął wraz z jéj skarbami i ani dopytać się o niego, ani gonić i śledzić nie było komu.

Starosta téj nocy spał, jak zabity. Kostuś był na hulance.

Wpadli obaj do marszałka, żebrząc sprawiedliwości. Pan Opaliński starzec już zniedołężniały, ofuknął ich, żeby sami ścigali złoczyńcę, a milicyi miejskiéj ani drabantów tknąć nie można, bo któż wie, co jeszcze nas czeka. I słusznie: któż wie, co jeszcze nas czeka!... Garstka załogi i dwóch starców, prymas i marszałek—oto wszystko, co miała wówczas Warszawa. Niechby się pojawił jakiś pułk kozacki w mieście, a niewiem coby się z nami stało. Wziąłby nas bez naboju.

I tak skończyła marny swój żywot, ona nieszczęsna kobieta, co lat tyle umiała trzymać w więzach króla. Przeżyła go zaledwie o pięć miesięcy. Zeszła w téj zawierusze strasznéj niepomszczona, zapomniana, bez pogrzebu, bez rozgłosu, bez przygotowań wszelakich.

Skryte sądy twoje o panie.

Szlachta i panowie na elekcyą do Warszawy. a za nimi Chmielnicki pod Zamość.

Po złupieniu srogiem Lwowa. spaleniu przedmieść i okrucieństwach. których się Tatarstwo dopuszczało. nie szczędząc nawet szyzmatyckiej cerkwi Ś-go Jura. po wyciśnięciu okrutnych sum okupu z biednych mieszczan—stanął pod Zamościem i zapowiedział groźnie. że się nie ruszy. dopóki nowego króla Polska nie będzie miała. bo z panami traktować już nie będzie: Ne ma szczo howoryty!...

Z pieśnią obelżywą poczynającą się od słów „Strach Boży bije łachy,“ opasała ta mnoga ćma fortecę Zamościa. zagrażając Warszawie — a szli wielkim tłumem jeńców zagarnionych w niewolę, okrążeni stadami nieprzeliczonemi koni a bydła rogatego — przyległe pola na mil ośm okrywając.

Zdawało się, że mając taki nóż na gardle. pójdą obrady szybko a gorąco. i że pominięte będą te staroświeckie formy. co tyle drogiego czasu nam zabierały; ale gdzie tam—nie chciano ani na krok od nich odstąpić, wołając głośno: Raczej nam Chmielnickiego ujrzeć w Warszawie, aniżeli ustąpić tego. co nam ojcowie wiekami przekazali.

Zaczęto się więc ściągać wedle drogiego zwyczaju pomału i to nie wszyscy, bo większość panów senatorów wyładowawszy swój dobytek. uciekła do Gdańska.

Nareszcie 6 Października rozpoczęło się wiecowanie pod Wolą.

Dwa okrutne obozy: Jeden pod Zamościem, drugi pod Warszawą. Jeden zabierał się do złupienia nagromadzonych skarbów w zamojskiej fortecy, drugi do obioru nowego króla. Tam panował ład, porządek i posłuszeństwo — tu się kłócono.

Marszałkiem obrany został Wojski Mozyrski, Obuchowicz, mąż wielkiego rozsądku i zadziwiającéj wymowy.

Dwie partye stanęły do walki: Wiśniowiecki okrzyknięty we Lwowie forsą Radziejowskiego, który się przerzucił teraz na jego stronę, hetmanem postanowił przeprowadzić elekcyą królewicza Karola. Ossoliński zaś z Kisielem stali przy Janie Kazimierzu.

Było tedy dwóch elektów, których losy ważyły się, aż do ostatniéj chwili—ale trzecim najsilniejszym był Chmiel, któremu gdyby się zachciało korony polskiéj, mógł po nią przyjść i wziąść ją sobie, a niktby nie ważył się dziś marnego wyrzec słowa. Wolał jednak rozkazywać z pod Zamościa. Powiadają, że późniéj miał żałować tego.

Sknera księżyna wbił sobie koronę w głowę nie żartem, a ona passya tak silnie nim owładła, że przemogła nawet jego chciwość, bo oto w swéj Jabłonnie, kazał zastawiać stoły z kosztem i przepychem wielkim i karmił a poił szlachtę na za-

bój. Jeździło tam bractwo ciągle, jak na odpust. Droga do Jabłonny roiła się tłumem wozów, konnych i pieszych.

— Najadłeś się w Jabłonnie?

— A najadłem.

— A napiłeś dobrze?

— Ale jak!

— Cóż? dasz za nim kreskę?

— A no dałbym, żebyśmy tylko od jedzenia wybierać mieli króla.

— Ofiaruje się iść na wojnę.

— Spiewać miserere. Bóg zapłać.

Takie rozmowy się słyszało. Jedli, pili a potém drwili w żywe oczy.

Urosła nawet piosneczka, którą temi czasy spiewano:

Uderzono w wszystkie dzwony,
Dobry będzie król z Jabłony —
A teraz mówią chłopięta
Lepszy będzie z Nieporęta.

Królewicz Karol jednak nie tracił nadziei.

Obietnicą wystawienia wojska, na które chciał łożyć wielkie summy, pozyskał panów ukrainnych, jak Zarębę biskupa kijowskiego, Sanguszkę wojewodę wileńskiego, Tyszkiewicza i wszystkich nieprzyjaciół Ossolińskiego, a była tego ich ćma wielka.

I znów między braćmi zawrzała sroga walka, a walka to była na śmierć i życie.

Łapano stronników Karola do Nieporętu, gdzie siedział Jan Kazimierz otoczony Jezuitami. oddany nabożeństwu; ale mimo to ugaszczający szczodrze panów i szlachtę, poparty przez królowę. francuzkiego posła, który ich swatał, Ossolińskiego i Kisiela.

Mieliśmy Karolistów i Kazimierczyków.

Psiarnia Jana Kazimierza rozlała się szeroko. Nie było winiarni, nie było szynku. zajazdu, gdzieby ich nie było.

Tam to dopiero można było usłyszéć przedziwne historye.

— Pokażcie mi takiego pana—prawił pan Sulerzycki z oną łapą obciętą przez Bzowskiego — co to w każdym stanie wypróbowanéj mąż cnoty. Jak wojak, to już wojak całą duszą — co to on dokazywał z Francuzami, kiedy był w wojsku cesarskiém—jak ksiądz jezuita. to już taki, że zdumiewał pokorą wszystkich—jak znów książe kościoła, to powagą wielką i mądrością dziwił.

— Tać też to u niego niestałość charakteru — dorzucono tam gdzieś z kupy.

— Niestałość, niestałość—to animusz rycerski, ale nie niestałość. Dajcie mu tylko co do roboty, niech bije Kozaków i Tatarów a zobaczycie wtenczas niestałość.

Owdzie znów pan Trzciński cięty już dobrze, płacze i rozczula wszystkich podtatusiałych ojców, wynosząc nabożeństwo jego:

— Niech się udławię tym oto kieliszkiem—mó-

wi. szlochając—jeżeli kiedy był pan w Polsce pobożniejszy i świętszych obyczai nad niego. Toż to u nas jak dzień długi nabożeństwo i owe przystojne a budujące czytanie żywotów świętych... to znów...

— A nocą latanie za podwikami. Znamy takich świętych, — przerwał mu któryś.

— Co to nocą. nocą i w biały dzień zwierzyną się nie gardzi. A mało to tego powpadało na jego rożen.

— Bójcie się Boga!—woła znów pan Rokossowski. co siedział w kupie jurnych rębaczów a uszyma strzygł na wszystkie strony.—Bójcie się Boga—czyż to już wzbroniono grzesznemu człowiekowi kosztować darów Bożych? Czyż to królewskie ciało ulepione z innej gliny, a krew nie taka czerwona, jak nasza — a toć uderzmy się w piersi i stary młody, wiele to my na sumieniu dźwigamy.

— I prawda, i prawda— gruchnęli jego towarzysze.

— Bzdurzysz aść—rzekł pan Gorczyński. Wojski Nowogrodzki, sławny ze skromności a wiary małżeńskiéj, bo gdy mu zalecono, aby wiarę złamał żonie, że inaczéj umrze: To umrę—odpowiedział, a wiary nie złamię—i umarł.

Ten tedy Wojski powstał srogo na rozwiązłość królewicza, wyliczając jak z książki, wszystkie jego sprawki. Zdziwiliśmy się niezmiernie jego pamięci osobliwéj i świadomości rzeczy. Króle-

wicz wyszedł z tych opałów czarny, jak sadze — a uwierzono w to tem więcej, że człowiek, który to mówił, był nieposzlakowanej poczciwości.

Wszczęła się dysputa sroga. Ci za winy, a tamci za zalety, gwałtem brali oną rozwiązłość tak, że oburzali wszystkich na siebie i już doszło na ostre—aż też i powstał pan Winnicki, cześnik rawski i dobił go swojemi argumentami.

— A pamiętacie to panowie jego pogardę dla narodu polskiego. Toć jego słowa, że Polakiem się brzydzi, że każdy u niego człowiek, tylko nie Polak. Było to jeszcze za życia królowej Austryaczki, nim do zakonu jezuitów wstąpił, podczas podatkowego sejmu.

— Prawda, prawda—zawołano chórem.

— A niech go wszyscy dyabli wezmą!

— Piękny mi król, co pogardza narodem, któremu ma panować.

Zrobił się gwar i pogróżki posypały. Szczekacze umilkli i wynieśli się chyłkiem gdzieindziej kaptować, bo tu już niebezpiecznie było włazić do ognia.

Ten zły, ten niedobry, a króla gwałtem trzeba.

Szlachta radziła, panowie radzili.

Tatarzy palili, już tylko dwie mile od Sandomierza.

W sali sejmowej stanął Brzozowski, kurryer zabłocony z ładownicą i pasem od bandoletu, donosząc, że Kozacy Brześcia litewskiego i Kobrynia

już dosięgli, że chłopi około Brześcia kosy nabijają.

Nic to nie pomogło. Jedni wołali: Obrona! a potem elekcya—drudzy krzyczeli: Elekcya, a potem obrona!...

Szły więc obrady nad obroną.

Wybrano wreszcie hetmanem księcia Wiśniowieckiego, ale że hetmani jeszcze obaj żyjący w niewoli, nazwano go regentem.

Nad wymyśleniem tego tytułu, radzono dzień cały.

Przyszła kolej na wojsko. Senatorowie przyciśnięci wołaniem szlachty, aby się deklarowali, ile który przystawi ludzi własnym kosztem, zaczęli się kurczyć i wzdychać na ciężkie czasy — obiecywali wreszcie po 100 po 150 ludzi.

Petrykowski podkomorzy rożański oburzony do żywego skąpstwem wykrzyknął.

— Ładujcie wozy i szkuty, zostawiajcie nas na mięsne jatki, ale przysięgam: zbierzemy się z bracią i będziem was zabijać!

A pan Sarbiewski brat poety dodał:

— Albo nasi uciekli, albo Kozacy? Ja sądzę, że Kozacy, bo ich się nie boimy i nie myślemy ich oddalić.

Nadjechali regimentarze i kommisarze a między nimi Radziejowski.

Rzucono się na nich z obelgami i złorzeczeniami.

— Co chcecie od nas, wszak straciliśmy wszystko.

— I wstyd razem—dodano z boku.

A na to Albrecht Radziwiłł:

— Z chłopów zdarto, do chłopów wróciło.

Za Radziejowskim, posypało się ze Lwowa mnóstwo skarg i zażaleń do sejmu, że złupił miasto, osobliwie Grajewska kołatała, prosząc sprawiedliwości, bo ją zubożył do szczętu.

Pochwycono skwapliwie, aby się zemścić nad tym dyabłem — i kłócono się znów po staremu a potém sądzono, jak za dobrych czasów.

Wtém przychodzi wiadomość przez Michałowskiego, stolnika rożańskiego, że Chmielnicki w 40,000 komunika idzie wprost na Warszawę, gdzie w Środę lub we Czwartek spodziewać się go można.

Przystąpiono do elekcyi.

Wtedy niecny Radziejowski powstaje i woła, że nie pozwoli na elekcyą, dopóki skarga wdowy uchyloną i zdjętą z niego nie będzie.

Zdjęto skargę i wdowę oddalono.

Rozpoczęły się posłuchania posłów kandydatów.

Stanął biskup kijowski w poselstwie od królewicza Karola i jął wyliczać jego przymioty, podnosił jego zasługę w wysłaniu na tę wojnę swoim kosztem 900 ludu ognistego. Gdy atoli dla większego téj ofiary podniesienia dodał, że książe chce sam na czele wojska wyruszyć przeciw nieprzy-

jacielowi i albo zwyciężyć lub zginąć—rozśmieli się wszyscy.

Od królewicza Jana Kazimierza, sprawiał poselstwo Tyszkiewicz biskup żmudzki, zachwalając jego osobistą waleczność. Zwracał uwagę, że będąc dziedzicznym królem szwedzkim, łatwiej pokój ze Szwecyą doprowadzi do skutku, zrzekając się swego tytułu, i że zrzecze się także ekonomij swoich, rozdając je potrzebnym.

Argumenta przypadły do smaku.

Chciano przystąpić do głosowania.

Staruszek prymas począł spiewać „veni creator„.

Wtem prywata panów pruskich przerwała tak szczęśliwie ku końcowi zbliżające się dzieło.

Prymas w pół słowa urwał.

— Czego chcecie?

— Aby wakanse rozdawane były tylko obywatelom naszej prowincyi.

— Będą.

— Veni creator...

— Niech nam kanclerz ustąpi praw swoich do starostwa puckiego.

— Dobrze.

— Veni creator...

— Hola, jeszcze nie koniec!

— Cóż jeszcze?

— Gdzie pewność. Niech nam to da na piśmie.

Dano. Staruszek musiał powstać i zbliżył się ku nim drżący z onym papierem, który wychwycili

mu z rąk — wtedy Brohocki, chorąży sochaczewski zawołał:

— Ksiądz arcybiskup Maciéj się zowie, nie Wojciech. Panowie pruscy nie zabijajcie go!

Śmiech powstał wielki z owego konceptu tak, że ledwie go Leszczyński zażegnał i do powagi w tak uroczystéj chwili nakłonił.

Odspiewano wreszcie Veni-creator, lecz godzina była późna i na jutro odłożono głosowanie.

Otworzono królewski testament.

Wbrew prawu i zwyczajowi postąpiono.

Ale kto w tych czasach miał być stróżem praw a sprawiedliwości! Pod pozorem różnych racyj łamano je—a racyj tych było teraz tak pełno.

O Bzowskim nie było wzmianki.

Kostuś miał w dożywocie Bieliny na Księztwie raciborskiém.

Wszyscy dworzanie i wierne sługi uposażeni hojnie.

Mnie dostał się dożywociem folwark w ekonomii koprzywnickiéj w sandomierskiém i kilkanaście sztuk z szatni pańskiéj.

O nikim nie przepomniało królewskie serce, bo nawet odźwierni, woźnice, stajenni, lutniści, łowczy i wszelka podła służba, opatrzeni zostali, co daj panie Boże.

Czemuż o tym jednym zapomniał.

Czy zapomniał? Wszak miał mu zgotować żywot godny zazdrości.

Śmierć to, śmierć okrutna pokrzyżowała losy biednego królewskiego pacholęcia.

I jakże to je pokrzyżowała straszliwie!...

Ogołocono go też zaraz i odarto ze wszystkiego. Odjęto mu starostwo urzędowskie, matce odebrano Falęcice, zdegradowano z sekretarstwa. z służby dworskiéj, nieledwie ze czci.

Pamiętny to był dzień.

Oczekiwano wieści z Woli. Ważyły się jeszcze losy Karola i Jana Kazimierza. Królowa niespokojna kazała sobie dać znać o skutkach wotowania. Było umówionêm między nią a kanclerzem, że trzy strzały armatnie na Lesznie miały jéj obwieścić Karola królem polskim—zaś cztery Jana Kazimierza.

Było to rankiem, obok téj saméj sali, gdzie się odbyło ono spotkanie Bzowskiego z Kozakami, obok kaplicy, w któréj stały zwłoki królewskie.

Zaraz po mszy świętéj wszedł Bzowski blady. milczący i kląkł przy trumnie. modląc się żarliwie, jak gdyby w téj modlitwie chciał utopić wszystkie bole i rozpacze. co nim szarpały

Patrzyliśmy nań smutnie a jednakowe myśli chodziły nam po głowie.

— Co się z nim stanie? Wrogów tyle. Zda się, że wszystkie i dawne, i nowe zawiści powyłaziły teraz. ażeby go rozszarpać. Co z nim będzie?

Z komnat bocznych weszli: Platemberg, Ryl-

ski, Zawadzki, Ubysz. Pac, Oświęcim i jeszcze kilku.

Wszyscy dobréj myśli i fantazyi, jak gdyby w dniach szczęśliwości i pokoju.

— No to i koniec dzisiaj niepewnościom, mimo to powiem, że szybko nam jakoś zbiegło bezkrólewie—rzekł Platemberg.

— Bo Kozacy nam na karku—dołożył Rylski —gdyby nie Chmiel. jeszczebyśmy się trochę pokłócili.

— To i dobrze, bom ja już zjadł resztki fortuny — powiada Platemberg.—Samotrycze dyabeł wziął, jak swoje. Zamek czorsztyński w arendzie u Żyda—już nie mam co sprzedać, chyba relikwiarzyk po matce.

— To tak, jak ja—mówi Rylski.

A na to Pac:

— Powiadasz, że już nic nie masz do sprzedania? Wszakżeś starostą czorsztyńskim, sprzedaj swój stołek sądowy.

Zawtórzyli śmiechem wszyscy, a ten dalej prawi:

— Żyd ci dobrze zapłaci i będzie sądził sprawy z obu regestrów. Teraz się sprzedaje wszystko. Jam sprzedał prawo ojcostwa bękartowi Jadwiżki i za to jeszcze w dodatku mam syna.

Tak było w istocie. Wymogli panowie na Kostusiu, że się zrzekł swego nazwiska de Waza a Pac przyjął go do herbu i do nazwania, kazawszy sobie za to dobrze zapłacić.

— Nic już po nieboszczyku wziąść nie można. Kazanowscy rozdrapali resztę. użala się znów Platemberg.

Aż też i Żabicki się podniósł i mówi mu:

— Wstyd wam tak narzekać panie koniuszy. Czy to was nie dochodzi pensya od marszałka?

— Ty bratku, który się żywisz bibułą i lichą polewką u pani Marcinowéj. a za zabawę ci starczy tuzin koszlawych rymów, to dobrze. ale nie my.

Połknął chudy pachołek pigułkę i zamilkł. A wtém Rylski:

— Cierpliwości—posypią się królewszczyzny.

— Zobaczymy Karol. czy Jan Kazimierz.

— Obaj oni kutwy — rzekł Zawadzki — jednak wolę Jana Kazimierza — lubi niewiasty a gdzie one, tam i fortuna z rogiem obfitości się wlecze.

I gdy tak rozprawiają a nam uszy więdną od téj sprosnéj gawędy, wchodzi między nich Bzowski blady, z pałającym wzrokiem, wzburzony.

— Ostrożnie szlachetna młodzi—rzecze — bo ten tam w trumnie słucha waszéj budującéj rozmowy.

— A to zkąd waść się tu wziąłeś, jegomość panie bękarcie — krzyknął Platemberg.—Waści się zdaje. że tu jeszcze dawny porządek panuje. gdzieś mógł bezkarnie jadać przy jednym stole z nami i pić z jednego kielicha, a potém przymawiać szlachetnie urodzonym? Dosyć! Wiedz-że

teraz mój kochanku, że miejsce twoje w czeladni a do każdego z nas tylko z ukłonem głębokim mówić wolno.

Bzowski się powstrzymywał, choć kipiało w nim wszystko.

— Czy téj św... naprawdę rogi urosły? — rzekł zwolna.

— Mamże płazem szabli wypoliczkować tego nędznika!—porwał się Platemberg.

— Zaraz, wprzód cię stemplem moim naznaczę nierogaczu—i posunął ku niemu ze szpadą.

— Szymonie, daj rozumowi przystęp — rzekłem.

— Rozumowi? — dla niego tylko kułak argumentem. Baczność panicze! Doświadczyliście już nieraz, czém bywa moja ręka. Ktokolwiek jam dziś dla was, pamiętajcie, żem trzodę zwierząt taką, zawsze na wodzy trzymać umiał.

Struchleli prawie wszyscy, a Pac postąpił do Platemberga.

— Daj pokój — jeszcze kaptury nie ustały — chcesz zrobić burdę?

— A bierz go dyabli — rzecze—ale czegóż się ten królewski bękart mięsza!

— Puść go, jego godzina już wybiła.

A wtém wystrzały armatnie nas doleciały.

— Ot mamy nowego pana!—krzyknęli—i w tejże chwili wpadł do komnaty Zięba, licząc:

— Cicho! dwa, trzy... cztery! Skończone interregnum. Vivat Joannes Casimirus Rex! A wa-

ście tu liczycie głośno, ile téż to ochłapów z pańskiego stołu wam się dostanie? Krzyczcież victoria, bo wspaniały, dobry król wam się dostał— drzéć się da.

— Głupio błaznujesz—rzekł Platemberg.

Ale ten wpadł już w swój ferwor i przycinał na wszystkie strony.

Poklepał Platemberga po brzuchu.

— Oh, ty beczko Danaid nienapełniona nigdy, połknąłbyś województwo kijowskie i byłbyś głodny.

— Zdrówem i mam dobry żołądek — mruknął.

A ten żołądek rozrastał się u niego coraz bardziéj.

Zostawił Platemberga, a zabrał się do Paca.

— A ty przemyślny francie, będziesz łakotki wynajdywał panu, za które sobie każesz dobrze zapłacić.

Odwrócił się doń tyłem—a ten znów wpadł na Żabickiego:

— A ty chudopachole, co klecisz rymy ex re wszystkich głupstw, jakie się na świecie płodzą— dzierż się szabli, bo pamiętaj: „Błogo temu przy dworze, komu doma pług orze.“

I tak objechał wszystkich.

Wtém spostrzegł Bzowskiego.

— Z waścią bieda panie filozofiie, panem być nie możesz, a sługą być nie zechcesz. Zostań błaznem, mądrze gadać potrafisz.

— Tyś już nim został. Idźże swoją koleją i

patrz, gdzie się z komina kurzy. Mnie zostaw— bo mimo błazeńskich dzwonków twoich, mógłbyś się czego u siebie nie domacać.

Cały fraucymer wszedł do komnaty.

Pierwsza de la Mariniere pobiegła do Ziemby.

— Jaki król Monsieur Ziemba?

— Kto królem, chcesz powiedzieć piękna de la Mariniere; pan, który trzyma miary pół trzecia łokcia szląskiego — ma dwoje nóg, dwie ręce, dwoje oczu a nos pośrodku, i t. p. rzeczy. Jest zdrów, silny i dużo poradzi. Życzę wam szczęścia.

I wybiegł prędko z izby.

Langeron wyszczebiotała:

— Je ne conprends pas. Ja tak malo po polska umie.

Serce mi zabiło i postąpiłem ku Francuzce.

— Jan Kazimierz nadobna Żeni—mówię.

— Brawo! Ce sera un roi sublime.

A wtém Bzowski postąpił ku swéj dawnéj bogdance. Wszystkich oczy zwróciły się na niego.

— Dzień dobry, piękna de la Mariniere.

— Dzień dobry—rzekła kwaśno.

— Czemuż odwracasz tę anielską główkę? Wiem, że już nie mam prawa do tego ślicznego grymasiku... i téj małéj rączki już uścisnąć nie mogę. Jestem bankrutem—ależ na piękny kwiatek i żebrak spojrzeć musi. Więc już wszystko skończone między nami?

A uśmiechał się zjadliwie.

— Monsieur wie dobrze.

— Inaczéj przemawiałaś.

— Zmienili się czasy... Monsieur Bzowski jest dziś niczem.

Zmierzyła go spojrzeniem i poszła ku oknu.

— Ha! ha! ha! ha!—zaśmiał się szatańskim głosem—ta przynajmniéj szczera. Tak? dziękuję ci chłodna handlarko. Oh, odpłacę ja wam w dziesięćkroć!

Postąpiłem ku niemu i jąłem mitygować.

— Nieobawiaj się—rzecze— choć piekło czuję w piersiach... ale się trzymam na wodzy. Wyjść tak jednak ztąd nie mogę. Trzeba się z nimi pożegnać.

— Hola!—krzyknął, występując na środek sali.—Prześwietne grono dworu Ich królewskiéj mości—ja niegdyś z téjże barwy, pożegnać się z wami pragnę.

Nastała cisza i wszyscy zwrócili się ku niemu.

— Od płci nadobnéj pocznę i od téj, co niegdyś gorącym afektem uszczęśliwiała najniższego ze sług swoich. Bądź-że mi zdrowa, ty córo Francyi piękna — będziesz zawracała wygolone czupryny panów naszych, jakeś moję tumaniła, kiedy łaska królewska, jak piękna suknia świeciła mi na barkach. Niedawno jeszcze omdlewałaś mi w objęciu, płonęłaś żarem ognia, usta paliły się jak rubiny a zęby szczękały z lubieżności. Dziś chłód zimny mi dajesz? Więc to wszystko było kłamstwem—albo raczéj towarem wystawionym

na sprzedaż. Życzę ci szczęścia w téj jeździe. Rachować dobrze potrafisz, ale pamiętaj, że te głupie serca ludzkie, zmącą ci twoje plany — ty kuglarko! Nadobna Lascaris, de Lusse, Langeron. Gordon—patrzcie w nią—to mistrzyni w dworaków sztuce.

Śmiech tylko odpowiedział na tę jego mowę.

Żabicki szepnął:

— Przyjdzie i na was kolej.

— Ja idę do marszałka — rzekł Rylski — nie możnaż mu pozwolić tyle.

A Bzowski już z dziwnym spokojom dalej mówił:

— Do was teraz słów parę. Niedawno jeszcze błyszczałem dla was. jak motyl wszystkiemi kolorami tęczy — dym pochlebstwa wonny dusił mnie. bożyszczem wam byłem a łask królewskich szafarzem. Ty z méj dłoni. masz Kawęczyn — rzekł do Platemberga. Jam ci dał starostwo międzyrzeckie — do Zawadzkiego. Dla ojca twego wyprosiłem kasztelanją sieradzką.—do Ubysza. Brat twój wyżebrał u mnie starostwo żaboklickie—do Paca—a dziś jesteście tyle nikczemni. że niewdzięczności waszéj nawet płaszczykiem obojętności przykryć nie potraficie. ale pogardę nagą i głośną mi dajecie. Nędzni! rzucacie mi w oczy nie moję przewinę, ale tych, którzy mnie poczęli. Karmicie mnie jadem złości za grzech. którego nie popełniłem. Ale wiedźcie, że nie złorzeczę losom za to, czém jestem— złorzeczę im tylko za

to. żem was wszystkich poznać musiał. bo wy zmuszacie mnie przeklinać rodzaj ludzki i między zwierząt dzikich skryć się gromadę. Nic ztąd nie biorę. Patrzcie! Oto dowody łaski królewskiej — tu zrzucił z siebie na ziemię łańcuch kosztowny, spinki i pierścionki. Tamtym, aż się oczy zaiskrzyły.

— Dosyć mi dał z siebie, bo krew i ducha swego. Bogatszym jestem od was wszystkich, choć liczycie ziemię i zamki a klejnotem naddziadów się stroicie. Wychodzę ztąd, unosząc cześć nieskażoną męża i wiem, że ten mi z góry błogosławi.

I wyszedł, jak prawdziwy syn królewski, a nieboszczyk pewnie w tej chwili go błogosławił.

— Głupi półmędrek — rzekł pierwszy Ubysz. schylając się po one świecidła, które rzucił. Niechże złoto do złota pójdzie, jak tam w Habdankach stoi.

— Pańska krew—rzekł Żabicki.

— Chamskie to są racye, niegodne dworskiego człeka—dorzucił Platemberg.

Francuzka zaś wyrzuciła tyle tylko:

— Cest un fou!

Wstyd mi było za siebie i za nich. Uczułem w tej chwili pogardę i obrzydzenie prawie.

Wpadł marszałek Kazanowski z laską. za nim Ziemba, który dziwnie w nowym dworze rozgospodarowywać się umiał. Poznaliśmy, że to nie

wszystko złoto, co się świéci na człowieku. Dla chleba, umiał zmienić pana, jak koszulę.

— Gdzież on!—rzekł z furyą Kazanowski.

— Kto?

— No ten liszaj królewski, co śmie szlacheckiéj młodzi przyganiać. Kijmi oćwiczyć każę niecnotę.

— Tu przy trupie królewskim?— rzekłem już oburzony do żywego.

— Zanadto mu brykać pozwalał. Oto skutki! Ale się to skończyć musi.

Taka to nienawiść kipiała w sercu tego człowieka, dla biednego królewskiego syna.

Pobiegliśmy z Żabickim do dworku a pędziliśmy tak szybko, żeśmy dogonili Bzowskiego już przed samym domem. Szedł on z dobrą miną, jak gdyby nic nie zaszło, a nawet piosneczkę nucił sobie pod nosem.

— No, dobra nasza! — krzyknął Żabicki. tak źle nie jest.

— A co ma być? — odrzekł, witając się z nami z ową serdeczną swobodą, jak to było u niego zawsze i czém tak umiał zjednywać sobie ludzi.

— Żabicki myślał, że się już zamartwisz— rzekłem.

— Ja? a to czém? Byłem przygotowany oddawna na to mój bracie. Dobrze się stało, jak jest. Wszystko się składa mądrze na tym bożym

świecie. Nie winienem nic ludziom, krom życia, to też je dla nich poniosę chętnie. Tak w gwiazdach było napisane. Temu, który ma być dziedzicem naszych najdroższych wierzeń, niezapisuje się lichego folwarku lub wioski, dla takiego ma się przy śmierci ostatnie słowo pożegnania — nic więcéj.

Już wpadał na swój tor. szczęściem, żeśmy weszli do domu i na inną materyą skierowali rozmowę.

Tu zastaliśmy znów panią Bzowska, zamyśloną ponuro i prawie bezmowną—przyjęto nas wprawdzie jak zwykle z ochotą i gościnnie, ale też i na tém się skończyło.

Wdowa powitawszy nas, zadysponowała słudze traktament, potém wysunęła się do alkierza i nie pokazała się więcej.

— Biedna moja matka— rzekł Bzowski — leży jéj na sercu ta mamona. z któréj mnie ograbili. Nie mogę jéj wyperswadować, że ona dla mnie niczém. Że dla mnie potrzeba tak mało do szczęścia i do życia tak mało. Wczoraj, gdy doleciały wieści, że mi wzięto wszystko—wybiegła z domu jak szalona, poszedłem w jéj tropy. Była u marszałka Kazanowskiego. Co tam wskórała, nie wiem, ale wróciła zła strasznie, ponura i milcząca. Obawiam się o nią—gotowa spełnić coś rozpaczliwego. Taka już jéj natura, że jak raz co poweźmie. postawić na swojém musi.

— Nie zrodzi sowa sokoła—rzekłem a Żabicki mi zawtórował i uśmieliśmy się.

— Cóż chcecie—rzekł Bzowski wesoło — jam jéj synem i chlubię się z tego. Natury nasze tak podobne do siebie, że boje się. iż w przyszłości będziemy musieli staczać walki, bo jedno drugiemu nie ustąpi.

— A ustąpić musi—rzekł Żabicki.

— Jak w czém. Są sprawy w życiu ludzkiém, dla których się wszystko rzuci na szalę.

— No, no, tylko nie miłość matki — rzekłem. Ale co tam o sprawach nie bywałych gwarzyć mamy. Myśmy tu przyszli do ciebie, aby pogadać o naszéj doli. Obydwaj, jak nas tu widzisz z Żabickim rzucamy dworską służbę, bo już takiego pana nie będzie, jak był święty nasz nieboszczyk; a potém po dzisiejszéj awanturze, gdzie to na jaw wyszły wszystkie zdrożności szpetne u tych ludzi, wcale ochota nie zbiera, aby z nimi dłużéj żywot prowadzić. To, co mam z szczodrobliwości królewskiéj, do życia mi wystarczy. a dołożywszy do tego fortunkę po ojcu, mogę żyć dostatnio a nawet pańsko. Żabicki z uzbieranym groszem, kręci się za jakimś folwarkiem, a że moje Trzykozy a wasze Jurkowice nie daleko siebie, chciałby wleźć w środek, a jak się nie da, to choćby i z brzegu którego z nas usiąść tak, żebyśmy wszyscy trzéj byli w kupie. Cóż ty na to Szymonie?

— A z serca mogę tylko przyklasnąć waszemu

projektowi. Matko! pójdźże tu posłyszeć, co Krzysztof uplanował—ale matka nie wyszła.

Pobiegł do alkierza. tam rozmawiali coś z sobą a myśmy tylko usłyszeli te słowa:

— Zostaw wszystkie plany, jeszcze ich robić nie pora. Tak się skończyć nie może.

Zdziwiły nas trochę te jéj słowa. Pan Bóg-że ją wie, co ona tam ma w myśli — a tymczasem chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie i obrócić rozmowę na tor inny. rzekłem:

— Powiedźcie też, co się dzieje z Imć panem Wypyskim. Nie widziałem go od owéj chwili, kiedy przybiegł z Kostusiem do marszałka, prosząc sprawiedliwości.

— Jak kamień w wodę—rzekł Żabicki — nikt go nie widział.

— Pognał za mordercą swéj Jadwiżki.

— Ukartowane i uplanowane było to wszystko arcy mądrze, w chwili największego popłochu. kiedy każdy tylko myślał o sobie i swojém bezpieczeństwie.

— Źle z oczu patrzało temu hultajowi.

— I jak myślicie — rzekłem — czy to on jeden dokonał téj zbrodni — czy miał ze sobą wspólników?

— A któż go wie?

— Otóż ja wiem, że miał. Byłem w ratuszu, gdzie z toku śledztwa pokazało się, że ów porucznik Niemiec palce w tém moczył, bo i on również zniknął.

— Cóż na to pan Wypyski?

— Musiało w nim zakipić i zapomniał pewnie o ten... tego... to...

— Nie widziałem go, ale myślę, że tak było. Jednak dziwne to sprawy. Ten Kostuś taki obojętny i ospały, jak zawsze. Swęda się przy dworze, jak gdyby nigdy nic — w duszy może i kontent z tego, że już nie będzie miał nad sobą strażnika swoich czynów. Dziwne, dziwne sprawy.

— Ale przecie o nich dowiemy się czegoś jeszcze.

Z Kostusia i Jadwiżki, zeszliśmy na nowego króla.

Znaliśmy go wszyscy dobrze i smutne wróżyli panowanie—a jak się one wróżby sprawdziły, to widzimy dzisiaj.

Śmieli się z królewicza Karola, że mnisich obyczai, że sknera, że twardego serca, że nieprzyjemnego oblicza i wiele mu różnych brzydkich wad wytykano, ale tamten był człekiem, jak to mówią z jednego kawałka, a na tego składało się cząstek rozmaitych mnóztwo—i kolejno był tem, znowu owem—jak tam wiatr zawiał, albo jego zmienna natura mu kazała. Żołnierz tylko był z niego dobry co prawda, jak się niżej zobaczy.

Gdyby nie Chmiel, możebyśmy mieli innego króla, ale jego to wola przeważyła, że obrano Jana Kazimierza. I ktoby to był powiedział jeszcze przed kilku miesiącami!.. Widzę go w onej gospodzie, kiedy mu łeb skaleczył konwią pa-

chołek—ot tak sobie Kozak, jak wszyscy—potém u nóg króla, kiedy żalem porwany, potrafił litość poruszyć w nas wszystkich. Tu już stał on człowiekiem cale wyższym, ale żeby doszedł do tego, czém dziś jest?... Ha, czasem Bóg za narzędzie sobie obiera takich i srogo nimi doświadcza.

Lubo upływały nam chwile szybko na téj gawędzie, bo to dzisiaj było materyi tyle, że niewiadomo od czego zacząć, boć przeżyliśmy lata całe przez te półroku — a ile jeszcze ich przeżyć będzie trzeba — to przecież mierziło nas to zamknięcie się gospodyni. Bzowski ustawicznie na drzwi alkierza patrzał, a i my téż tém trochę skonfundowani zabierali się do odejścia markotni, że nasze życzliwe chęci przyjęto nie tak, jakeśmy tuszyli sobie. Wtém drzwi się otwierają i wchodzi do izby postać niewielka, chuda, z niskim ukłonem, a przemawia dziwnie melodyjnym i słodkim głosem:

— Pochwalony niech będzie Pan Nasz Jezus Chrystus.

— Po wiek wieków—odpowiedzieliśmy.

Po tém nowém powitaniu, które teraz zaczynało wchodzić w zwyczaj poznaliśmy jezuitę.

Był to on ojciec Tyrawski, co szczury umiał wyganiać, a którego poznałem u Jadwiżki. Był on dziś jednym z kapelanów królewskich.

— Czy zastałem jejmość panią Bzowskę?

— Jest w domu, ale niedomaga trochę i widzieć

się z nikim nie może. Jam jej synem. jeżeli raczycie wynienić cel waszego przybycia. mogę...

— Darujcie mi łaskawie. samą jejmość panią widzieć pragnę, bo jej tylko powiedzieć mogę. z czem przychodzę.

I gdy się Bzowski zawachał, czy ma uprzedzić matkę o tej dziwnej wizycie, już drzwi alkierza się otwarły i osoba duchowna po za niemi znikła.

A stało się to tak nagle jakoś i tajemniczo. żeśmy się nawet dobrze przyjrzeć nie mogli temu przybyszowi — spoglądaliśmy też po sobie zdumieni—a Bzowski rzekł:

— Matka coś zamyśla i przeczuwam. że zamyśla coś niedobrego przedemną w tajemnicy. Ten czarny jegomość, który szczury wyganiać umie, nienapróżno tu przyszedł i nie za szczurami pewnie. Włażą oni teraz wszędzie Jezuickie rządy się zaczynają.

I nie mylił się.

Co zaś Bzowska uplanowała. zobaczymy to rychło.

Nowy król odbył uroczysty wjazd do Warszawy. Pierwszy jego krok był skierowany do zamku, gdzie stały jeszcze zwłoki nieboszczyka.

Z rana. była godzina jedenasta, gdy dworzanin stojący na służbie u podwoi oznajmił marszałkowi:

— Jego królewska mość, król Jan Kazimierz,

z braterskim afektem przychodzi do zwłok nieboszczyka króla Władysława.

Zebraliśmy się wszyscy na oną installacyą nowego króla. Był to ostatni nasz dzień. Odtąd każdy z nas albo zostać, albo iść z Panem Bogiem miał w świat szeroki.

Staliśmy smutni i przygnębieni. Żal było opuszczać tych murów, gdzie tyle pięknych dni człek przeżył, ale gdy pomyślał, że one już nie wrócą, jak nie wrócić tych fal, co je tam szara Wisła pod zamkiem toczy, gdy się zastanowił, jakie to teraz rządy przyjdą, jacy to teraz ludzie obsiadać będą królewskie uszy—tak znów ochota brała wylecić co prędzéj.

Drzwi otwarto na roścież i weszli najprzód dwaj marszałkowie wielcy, koronny i litewski, daléj dwaj miecznicy wielcy, daléj dwaj chorążowie, daléj podkomorzowie a za nimi nowy król Jan Kazimierz w gronie senatorów koronnych i litewskich, dworzan swoich i paziów.

I gdy cała ta ciżba weszła do sali, postąpiła ku kaplicy, wślad za nimi wpadła Bzowska z synem, który ją trzymał mocno za rękę i nie chciał wpuścić.

Ciarki mnie przeszły po skórze, bo nigdy jeszcze nie widziałem jéj taką. Suknie jéj były w nieładzie, włos rozpuszczony — jak gdyby na pół obłąkana lub pijana.

Co to tu z tego będzie, pomyślałem.

— Puść mnie synu—wrzasnęła.

— Matko—rzekł Bzowski — przez miłość dla tego, który tam trupem martwym. On się poruszy ze zgrozy. Matko nie czyń tego!

— To dla ciebie niewdzięczny.

— Ja niczego nie żądam. Niedawno tu podeptałem nogami te błyskotki, a teraz ty matko chcesz żebrać dla mnie? Oh, matko u nóg się twoich kładę. Patrz, mam zdrowe i silne ręce, pracować będę jak najemnik, aby życie utrzymać. Ale przez Boga, nie poniżaj swéj godności.

— Zabrali nam wszystko! Folwark mi został lichy. Tyś niestworzony za pługiem chodzić. synu. Ja im nie oddam tego, jak Bóg w niebie. Do nóg padnę Jana Kazimierza. on braterską wolę poszanować musi.

— Nie poszanuje.

— Zobaczysz, pozwól mi działać chłopcze. Tu zaczekam, a po wyjściu z kaplicy prosić go będę.

Co raz więcéj ludzi zaczęło się przysłuchywać téj scenie a między innymi Kostuś pyszny, wystrojony, z zadartą głową i szyderskim uśmiechem rzecze:

— Czego ta hołota przyszła się kłócić tutaj?

Bzowski popatrzał nań tak, że struchlał i wsunął się w ciżbę sług i dworzan.

Przypadł ku niéj z prośbami.

— Matko, tak-że to mało honor swój cenisz, aby go wystawiać na drwiny i szydercze przymówki tych ludzi!.. Ja ze wstydu pod ziemię się schowam.

A ona z uporem swoim i zaciekłością:

— Dużo już zniosłam i zniosę jeszcze dla ciebie.

— Jeżeli to uczynisz matko, to ci przysięgam tu, wobec trupa, że nigdy nie tknę téj wyżebranéj spuścizny — raczéj z tego okna na bruk się rzucę.

— O ty głowo wichrowata, tyś nie poznał jeszcze, co bieda!

— Wszystko zniosę, prócz hańby. Przysięgam ci na Boga, na cnotę, na honor mój, że będę szczęśliwy przy tobie—to, co mamy, wyżywi nas oboje a ja pracą więcéj jeszcze przysporzę.

— Upominam się o to, co mi prawnie przynależy—rzekła z dziwnym uporem. — Król Władysław mi to darował, dla czego nam wydarli niegodni!

— Matko, jakiémże to prawem zasłaniać się będziesz przed nimi? Pomyśl, że jedno słowo ubliżające twéj cześci, gotowe tu trupem położyć syna twego, bo ja przecie uchybić ci nie dam. I pomyśl, na co narazić się możesz!

— Bądź spokojny i u mnie język ostry.

Żal nas brał, patrząc na tortury tego człowieka, ale nikt z nas nie śmiał przemówić do téj kobiety, jakby ze stali. Ot, do czego ślepa miłość matki doprowadzić może.

— Boże! — wrzasnął już z rozpaczą całą. — Wszak widzisz, że czynię wszystko, co w mocy

ludzkiéj czynić można. A więc matko wręcz ci oświadczam, że tu wobec wszystkich odrzucę to, co ty u nich wyprosisz.

— Ty niegodziwy! — wybuchła z całą furyą.— Do matki to twojéj mówisz? Czemuż cię nie udusiłam raczéj, aniżeli krwią wykarmiła moją i wypielęgnowałam na to, czém dzisiaj jesteś. Synu niegodny, jam dla ciebie znosiła wstyd i upokorzenie ludzkie. Dziś drżę o przyszłość twoję, bo cię wyhodowałam na pana a nie na sługę — a ty moim planom w drodze stajesz i zamiast miłości, niegodną bronią walczysz? Oh synu!

Padł jéj do nóg, całując ręce.

— Przebacz mi! Wszystko zawdzięczam tobie, prawda. Ale czemuż nie możesz pojąć, że mnie upokorzenie twoje wstydem rumieni, o matko? Czemuż nie chcesz zawierzyć dziecku twojemu? Oddal się ztąd a potém zrobisz, co zechcesz. O to cię tylko błagam matko.

— Zostań, już nadchodzą.

Był to marszałek Kazanowski, którego z ciżby wywołał Kostuś niecnota.

Przyskoczył do wdowy, pieniąc się ze złości.

— Tyś tu kobieto? Czyś zapomniała, że twój rachunek już skończony?

— Zmazałeś go swoim bluźnierczym językiem, ale są jeszcze uczciwi, którzy méj krzywdy niedopuszczą.

— Będziesz jéj szukać po sejmikach lub try-

bunałach, ale tu w senatorskim kole, obelg nie rzucaj, boć głowa zleci z karku.

— Niech zleci, nie cenię jéj wyżéj nad hańbę, którą dziś znosić muszę — ale nim spadnie moja głowa, nie dam wydrzéć dziecku królewskiemu kęsa chleba, aby wasze szkatuły wypełnić.

— Niegodna kobieto przestań! Jadłaś chleb wraz z bękartem twoim, kosztem drugich zasłużeńszych, którzy go nie mieli.

— I ja tego słuchać muszę—rzekł Bzowski.

— Dziś żebraczą weź torbę — mówił daléj Kazanowski.—Pamiętasz, kiedym ci radził, abyś syna swego uczyła pokory i sromu — ty ufna w łaskę królewską, pogardąś mnie obrzuciła—uczyłaś go nienawidziéć tego, co czcić powinien. Wówczas przyrzekłem ci zemstę i widzisz dotrzymałem słowa.

— Zemsta wasza bezsilna panie Kazanowski—rzekł Bzowski.

— Precz!—krzyknął, zapominając się prawie.

Powstrzymano go, bo król wychodził z kaplicy.

Wyglądał majestatycznie. Na twarzy malowało się jakby zadowolenie z osiągniętych a tak gorąco pragnionych życzeń.

— Dziwnie piękne oblicze nieboszczyka—rzekł do idącego obok niego Radziejowskiego.

— Jakby się uśmiechał do w. kr. mości i błogosławił bratu—odpowiedział pochlebca.

— Niech za nami prosi przedwiecznego o mi-

sericordią, i będzie nam protektorem a orędownikiem w tém utrapieniu ojczyzny.

Wtém Bzowska wyrwała się z rąk synowi i stanęła przed królem.

— Najjaśniejszy panie—zawołała.

— Kto jest ta pani?

— Bzowską się zowię, z Sandomierskiéj szlachty ród wywodzę.

— Aha, jéjmość pani Bzowska — rzekł, jakby sobie coś przypominał.—Czegóż żądacie?

— Zabrano mi dobra, nadane przez króla nieboszczyka, dla jego krwi własnéj. Nie poszanowano woli królewskiéj. Sprawiedliwości żądam panie! Niech pierwszy dzień królowania twego, słońce dobroci oświeci.

— Ustąp wpani! — krzyknął marszałek Kazanowski—dobra te, posiadałaś wraz z synem twoim bezprawnie—nie masz na nich żadnego dokumentu, a w testamencie królewskim niéma o was wzmianki.

— Dobra te, to własność moja i nikt do nich nie ma prawa, chyba po śmierci mojéj.

Potém jakby zbierając siły, poczęła krzyczéć oburzona:

— Wstyd wam o szlachto polska, ty królów niżéj sług swoich stawiasz!... Odbierasz im nawet to, co lichy żebrak mieć może—pamięć wdzięczności!...

— Na Boga przestań pani!—rzekł król zalterowany już trochę—na progu moich rządów, zbyt

gorzką mi prawdę dajesz. Jeżeli bezprawnie ci wydarto, wróconem będzie.

— Bezprawnie królu panie. oto wydarto kobiecie, którą on kochał, całe jej mienie. Za życia pił od was gorycz bezprzestannie, bądźcież dlań po śmierci lepsi. Niech z po za grobu wam nie złorzeczy.

Obruszyło to wszystkich. a pan Radziejowski rzekł zjadliwie:

— Wasani za drogo płacić każesz. Rzeczpospolita nie może brać takich ciężarów.

Ale trafiła kosa. Usłyszał to, czego się nie spodzewał, bo z całą furyą na niego spadła:

— A ileż to ciężarów ty dźwigasz na sumieniu oszczerco, zdzierco, łupieżco cudzego mienia, gwałtowniku plugawy? Ileż to ran ta Rzeczpospolita od ciebie nosi? Ileż to pokrzywdzonych woła sprawiedliwości na ciebie. Toć gdyby prawa w tej Polsce szanowane były. winieneś nie raz. ale tysiąc dać plugawą głowę na ofiarę.

Skręcił się. jak wąż chytry dworak. i schował się po za króla. Panowie byli kontenci, bo któż lubił tego dyabła?.. a król rzecze:

— Uśmierz żal twój pani. Tak — przez pamięć brata. dobra zwrócone być muszą.

Ale zacietrzewienie i złość ich doszła do tego. że nawet królowi przycięli:

— To niemożebne—rzekł Kazanowski — konstytucyą sejmu elekcyjnego już dobrami temi rozporządzono.

Król się zżymnął. ale wnet pohamował.

— Na Boga! toż ja rumienić się tu muszę przed wami. Mamże pierwszéj téj prośbie a z natury swéj tak delikatnéj i słusznéj odmówić? Nie — z mego stołu wynagrodzodzę waćpanią.

— O panie. tyś dobry—rzekła Bzowska—za to téż oni umęczą ciebie.

Kazanowski chcąc już przerwać tę scenę okropną, cały drżący i zapieniony prawie, zapomniał się tak. że króla za rękę chwycił, mówiąc:

— Tam królewska wdowa oczekuje w. król. mości.

Król popatrzał nań chmurnie, potém na Bzowską i wyrzekł:

— Dziwna kobieta.

Bzowski stał opodal. ukrywszy twarz w dłoniach.

Gdy król wyszedł. Kazanowski cały w passyi zwrócił się do niéj.

— Precz, bo laskę moję zdruzgoczę na tobie kobieto.

— Od kataś jéj pożyczył marszałku — rzuciła mu wściekle Bzowska.

— Hola drabanci—krzyknął!

A wtém Platemberg potrącił ją tak silnie, że się potoczyła do ściany.

— Idź-że już czarownico!

Bzowski rzucił się nań nieprzytomny prawie, ale go powstrzymano.

— Nikczemny! Matkę moję potrącasz i ja nie mam gromu, żeby ciebie zdruzgotać.

— Wyrzucić ją za bramę! — krzyknął Radziejowski.

— Waż się, a oczy na téj podłodze zbierać będziesz—wykrzyknęła Bzowska.

Dochodziło do ostateczności: aż przecie jeden rozsądny i obojętny z panów, kasztelan rawski, odprowadził marszałka i Radziejowskiego, mówiąc:

— Zostawić ją radzę.

— Bierz czarci opętaną — rzekł Kazanowski i podążył za królem a za nim reszta runęła z sali.

— Tak, tak, uciekaj nikczemniku—wykrzykiwała jeszcze.—Widzisz Szymonie, uląkł się głosu prawdy ten pomiot plugawy. Ha, zemściłam się, odpłaciłam im za krzywdy moje. Ty płaczesz dziecko?

— Pójdźmy matko.

— Płaczesz méj krzywdy?

— Płaczę nad nicością moją o matko!

Otoczyliśmy ich kołem, bo żal nas zdjął srogi —aż tu zbliża się doń człowiek, co stał we framudze okna, niemym świadkiem całéj téj sceny. Był to Hrehory Bołdar, niegdyś skromny i nieśmiały assauła, dziś dumny i hardy poseł Chmielnickiego przybyły na elekcyą w zamian za zakładnika pana Miastowskiego — przystąpił do Bzowskiego, wziął go za rękę i szepnął—tak jednak.

że ja stojąc po drugiéj stronie słyszałem dobrze:
— Zemsta, zemsta im!

KSIĘGA PIĄTA.

Wsi spokojna, wsi wesoła,
Który głos twéj chwale zdoła!

Spiewał jeszcze nasz pan Jan Czarnoleski, a i ja ją też sławię z głębi mojego serca.

Zda mi się, żem przeniesiony z jakiego utrapionego młyna, co to na proch przerabia wszystko i cnoty i zbrodnie ludzkie... i wszystkie żale i rozpacze... i uciechy, i gniewy... i oną całą szarpaninę, co życiem się nazywa... A co wtém zgrzytu, wrzasku, jęku, płaczu, śmiechu szalonego i szyderstwa.

Tu cisza taka, jak gdyby ten świat nasz mały deskami zabił.

Las szumi, do około osypany białym szronem śniegu—czasem się tylko wrona zerwie i zakracze—czasem podwórzowy kurta zaszczeka, albo ryk bydła ozwie przy studni.

Nie tak to łatwo jednak człekowi zrzucić z głowy ciężar wspomnień, nie tak to łatwo wymazać z pamięci to, co się przeżyło tak niedawno jeszcze, bo oto w ciszy nocnéj one wszystkie obrazy i postacie zjawiają się we snach, w potwornych kształtach i dręczą—osiadają niby zmora na pier-

siach—zrywa się człek na równe nogi i krzyżem świętym ich odpędza, ale nic to niepomaga, wracają natrętne z większą jeszcze siłą i potwornością.

Po każdym takim śnie byłem chory i jakby z krzyża zdjęty. Schudłem tak, że ubranie wisiało na mnie, jak na patyku.

Pewnéj nocy śnił mi się król nieboszczyk. Widziałem go w całéj potędze majestatu, groźnym straszliwie. Wszyscy panowie i szlachta drżący, przelękli stali przed jego tronem, a on wielkim głosem, od którego mury zamku drżały, mówił:

— Zachłyśnięci wolnością i swywolą, zdało wam się, że archaniołami jesteście i deptaliście po sercach ludu, a potém jak szakale piliście jego krew. Gdym ojcowskim głosem przemawiał do was i nawoływał do cnoty i miłości, zakrzyczeliście w niebogłosy, że do absolutum zmierzam. Gdym chciał w was zbudzić uspionego ducha i miecz naddziadów, co od Batorego czasów leżał w pyle topić we krwi niewiernych, wy gnuśni ulękliście się mojéj myśli i całą falangą wytrąciliście go z méj ręki. I przyszło zło i ugięliście przed nim harde niegdyś głowy i pohańbiliście imię Polski na wieki. Gdzież są owi tyranowie, co z wolności uczynili narzędzie hańby i niewoli? Tu przed sąd mój niech stawają!

I widziałem, jak dumne niegdyś głowy Wiśniowieckich, Potockich, Koniecpolskich, Zasławskich,

Kalinowskich, Radziejowskich korzyły się w prochu przed jego gniewem strasznym.

— Ukarz nas panie—rzekli drżący — ale bądź sprawiedliwym!

Wtém król skinął na sługi, otwarły się podwoje i wszedł niemi Chmielnicki.

Był pognębiony. Padł kornie do nóg królewskich, ucałował kraj szaty jego i oblewał łzami.

— Nie karz mnie królu wielki, bo ja nie przeciw tobie podniosłem oręż, nie przeciw tobie pobratałem się z pogany, ale przeciw wrogom, co nam praw ludzkich odmawiali — i oto zdeptałem ich tak, jak oni nas deptali... i oto stanąłem na wyżynie, gdzie nie bywał dotąd żaden z Zaporożskich hetmanów i nie będzie po wieki... Jednak całą mą wielkość i potęgę u nóg twoich składam, ona mi nie dała szczęścia i nie da nigdy..... W pośród największych moich tryumfów, robak jadł serce... zalewałem go trunkiem... i stawałem się okrutnikiem i krew niewinna płynęła w Ukrainie... Oh, czemuż mi losy nie dały tych dostać w moje ręce!—Tu się odwrócił ku panom i cała wściekłość i buta w nim zakipiała. — Byłbym ich powiązał w łyka i przywiódł przed twój trybunał a Ukraina byłaby wolna i szczęśliwa. Dziś jam twoim niewolnikiem... wracam ci ten oręż, którym mnie obdarzyłeś w chwili...

I tu jakiś straszny zamęt powstał. Wszyscy ci podsądni, wybuchnęli piekielnym śmiechem. Chmielnicki stał się pijanym i okrutnym... Wszyst-

ko poczęło się męszać i znikać w nieładzie wielkim... i rozpływać, niby cienie powietrzne. Jeden tylko król został na tronie, ale blady. schorowany... takim, jakim go widziałem w Mereczu przed zgonem. kiedy wołał do zbliżającéj się śmierci: „I teraz maż ona przyjść... teraz właśnie. kiedy wybiła godzina walki za cześć, za swobodę człowieka przeciw...“

Innéj znów nocy widziałem Bzowskiego z chorągwią, na któréj było wypisane „Zemsta.“ Pędził na czele jakichś okropnych postaci po skałach i górach po nad przepaściami. Stanął nad jedną z nich i pułk jego stanął cały— a wtém pustelnik z Grodziskiéj groty zjawił się w obłokach i zepchnął go na dno przepaści wraz z całą jego jazdą.

Daléj znów widziałem Jadwiżkę z przebitą piersią, a nad nią stał Kostuś z swoim ohydnym i szyderczym uśmiechem, a Orzełek ładował wory złotem pchane na wóz i uciekali obaj, dopóki się nie zjawił pan Wypyski groźny, ponury i nie śmieszny, ale jakiś inny, odmienny.

To znowu, nowy król Jan Kazimierz stawał przedemną umęczony. z koroną cierniową na głowie, na tronie odartym z purpury, łachmanami okryty — a w około niego zgliszcza spalonych gmachów i trupów stosy.

Nie przeczuwałem wówczas. że owe sny okropne były przepowiednią jakichś wielkich nieszczęść.

których miałem być świadkiem i po części uczestnikiem.

Pojechałem do Koprzywnicy, méj parafii i kazałem odprawiać solenne msze za dusze zmarłe, i znów wracałem do moich Trzykozów gospodarzyć w ciszy i spokoju.

I tak dnie przy pracy płynęły mi przyjemnie, ale gdy przyszły one długie zimowe noce i znów te mary straszliwe, to choć z duszą uciekać na krańce świata.

Miałem przy sobie wyrostka Dederkę Stanisława, był to krewny méj matki, sierota. Chowałem go na moim chlebie; najprzód w Szczuczynie, gdziem mu trzymał nauczyciela, potém oddałem go do nowéj szkoły pijarskiéj w Warszawie, założonéj przez kochanego naszego króla, gwoli stawieniu emulacyi jezuickim, których już było za dużo. Chłopak był tępy w nauce — wciąż tylko wzdychał za wsią i polowaniem, które lubił okrutnie. Ulitowałem się nad nim i wziąłem z sobą, aby mi dozorował. Sypialiśmy razem w jednéj izbie, to na drugi dzień naopowiadać się nie mógł, jak ja to krzyczałem a gadałem w nocy różne dziwy. Powtórzył mi nawet imię, które często wspominałem.

— Wujaszku — powiada — coś ta panna Żeni musiała wujowi gorącego sadła za skórę zalać, kiedy o niéj a o niéj wciąż się marzy.

Zburczałem wyrostka, bo czułem, żem się zarumienił méj słabości. potém pomyślawszy, przeko-

nałem się, że życie samotne takie spokoju mi dać nie może. Zapragnąłem go zbyt gwałtownie po owych opałach strasznych. Z początku było mi błogo, niby ciepła kąpiel po utrudzeniu wielkiém, ale później, natura wilka wyciągnęła z lasu i zatęskniłem do ludzi.

I gdy tak patrzę zamyślony na płatki śniegu, migające przed oczyma, zajeżdżają przed ganek sanki a w nich Bzowski z Żabickim.

— Cóż to? chcesz, żeby nas tęsknica zabiła za tobą?—rzekł Bzowski.—Miało być dwa tygodnie a tu już czwarty się kończy. Przecież nie myślisz się zagrzebać wtym śniegu?

— Myślałem — ale nie tak to łatwo zedrzéć ze skóry i wygnać z duszy to, czém się żyło lat tyle —rzekłem uradowany, witając ich serdecznie. — Nimeście weszli, myślałem o was.

— No, to Bogu chwała—rzekł Żabicki. — Dasz nam jeść i pić, a potém zabierzemy cię z sobą do Jurkowic, zkąd pewno kijem cię nie wypędzi, tak jak mnie.

— Matka mi się zamartwić chciała. To tak— powiada — to taka przyjaźń wasza? Cóżeś mu złego zrobił, że się tu nie pokazuje? Czy już gardzi nami, jak tamci? Jedź i nie pokazuj mi się bez Scypiona! Przyjechałem i nie odjadę bez ciebie— albo jak nie chcesz, to tu zostanę.

— Choćbym was rad gościł tu całą duszą, ale gwoli pani Bzowskiéj nie mogę. Dam wam jeść

i pić, zostawię dyspozycyą siostrzeńcowi i bierzcie mnie, jak swego.

— Vivat Krzysiu! Zawsześ ten sam dobry, poczciwy przyjaciel i towarzysz.

Przy kielichu zapłonęły nam głowy i serca i daléjże gawęda o ludziach, daléjże snuć plany na przyszłość.

— Słuchajcie—rzekłem — trzeba nam tu obejrzéć się po bliższych i po dalszych sąsiadach, zbadać grunt, jaki nam się dostał, ...i dopieroż panom braciom pokazać, żeśmy to nie pod piecem siedzieli.

Najbliższy mój sąsiad imć pan skarbnik Gromiński, już tu parę razy przysełał ekonoma, niby w interessie sąsiedzkim a na wywiady na prawdę. Wiedzą, kto jesteśmy, i że się trzymamy razem. Słyszałem już takie nawet gadanie: „Czy to ci dworscy wyjadacze, nie myślą nas respektować po sąsiedzku? Czy tu przyjechali po to tylko, żeby flaki płukać serwatką po dworskich frykasach?“ A najzaciętszym jest właśnie ów skarbnik, wyrocznia w powiecie. Ma się za strasznie mądrego. Trzeba więc tego mądralę w kozi róg zapędzić. Ja rozpocznę wstępne kroki, a wy mi pomożecie.

Żabickiemu, aż się oczy iskrzyły. Bzowski niby słuchał, ale o czém inném myślał, a w końcu rzekł:

— Nie tentuje mnie wcale to bractwo. Poznałem ja ich dobrze. Cóż robić z takimi, jak imć

pan Żernicki i cała jego kompanja, co nam dwór spalili? Czy myślisz, że zapomnieli dawnych nałogów?

— Bierz ich dyabli—rzekłem—nie wszyscy dyszą jednako.

— Wszyscy. Pijaństwo, głupota i srogie rozumienie o sobie — oto masz naszych sąsiadów. Może się gdzieś znajdzie wyjątek, ale ze świécą szukać go trzeba.

— No no, poznasz to zmienisz swój sąd.

— Wątpię—rzekł sucho — a teraz jechać nam pora, jeżeli mamy być przed nocą w Jurkowicach.

— To i daléj w imię Boże!

I tak pożegnałem na długo moję nową siedzibę.

Zanim stanę w Jurkowicach, wypada mi opowiedzieć. co się z nami działo po onym utrapionym dniu installacyi królewskiéj.

Pani Bzowska, jak gdyby nigdy nic, owszem zda się ukrzepiona na siłach i dobréj myśli, wróciła z zamku do swego dworku. Stała się okrutnie tkliwą i wylaną dla syna, którego omal na ręku nosić była chciała. On zasię znów pochmurny i milczący a zamyślony, i jakby zadumany jeszcze owemi słowami, które mu Kozak w uszy szepnął: „Zemsta im!"

Jednak po paru dniach, schował to wszystko gdzieś w sobie i już o dworze wzmianki nie było,

a natomiast zaczęliśmy się gotować do podróży.

Związani w trójkę z Żabickim, już na krok nie odstępowaliśmy od siebie. Bzowska na nas wymogła, żeśmy na te parę dni przed wyjazdem, sprowadzili się do ich domu.

Podróż nasza miała się odbyć na Kraków, gdzie po pogrzebie królewskim, na który dzień 15 Stycznia wyznaczono, mieliśmy się udać w Sandomierskie. Oni do Jurkowic, a ja do swéj nowéj włości Trzykozy.

I jak uradziliśmy, tak się stało. Wyprawiłem najprzód mego siostrzeńca Dederkę, do onych Trzykozów, aby się tam w mojém imieniu zainstallował i czekał na mój powrót.

Bzowski za nic w świecie nie chciał przystać, abyśmy jechali ciżbą wraz z konduktem pogrzebowym, ale naglił, aby jak najprędzéj zpakowawszy się, naprzód wyruszyć.

Po okrutnéj burzy i gorączce, zda się, że pokój nam zawitał. Chmiel zaraz po obiorze króla odstąpił od Zamościa i posunął do Kijowa. Wysłano za nim kommisarzy i posłów z paktami.

Stanęliśmy w domu kupca Wejcherta, niedaleko Floryańskiéj bramy. Kraków roił się ludem niezmiernym. Wszystko to, co pouciekało przed Kozakami w trwodze największéj, zamknęło się w jego murach, wyczekując rychło ta burza minie.

Na drugi dzień, odbył uroczysty wjazd nowy król Jan Kazimierz, przeczekawszy dzień poprze-

dni w Łobzowie, dla przygotowań na jego przyjęcie.

W bramie floryańskiéj przystrojonéj różnemi inskrypcyami, witali go mieszczanie chlebem i solą, daléj sześciu rajców krakowskich niosło nad nim baldakin, aż do rynku, gdzie wsiadłszy na konia, pojechał na zamek. Jerzy Lubomierski starosta Krakowski oddał mu klucze, a biskup Gębicki z całą kapitułą przywitał go u podwoi kościoła.

Nowy król wstępował w bramy przy wiwatach i uciechach pospólstwa, a jego poprzednik tuż po nim na trzeci dzień wjeżdżał do grobów wawelskich.

Stara, wielka Polska kładła się do grobów, a wschodziła nowa, skarlała i pognębiona.

Zabiliśmy szczęśliwość i potęgę naszę, a wschodzi nam utrapienie i pokuta ciężka za grzechy.

Takie myśli mną miotały, gdy szedłem za pogrzebem.

Przy trumnie na zamku skruszył Jan Kazimierz drzewce od chorągwi królewskiéj i złamany grot miast podać Wiśniowieckiemu, który już poń wyciągał rękę, jako domniemany hetman, według odwiecznego zwyczaju, że to hetmanowie biorą po królach władzę nad wojskiem, oddał ją pokojowcowi swojemu Trzcińskiemu, przez co niemały sie rozruch zrobił w kościele, bo wszyscy pragnęli widzieć w nim hetmana.

Wśród tego chwilowego zaniepokojenia, zbliżył

się Bzowski, podjął drugą połowę grotu i uciekł z nim z kościoła, jakby z kradzioną zdobyczą, nie pokazując się już więcéj na zamku i na mieście.

Nie dostrzeżono tego w ciżbie.

— Ot wszystko, co mi pozostało—rzekł. — Na tym kawałku drzewa, zawieszę moję chorągiew i pójdę z nią w bój ze światem.

I jakże dotrzymał wiernie!..

Kazał zrobić kosztowne puzdro i w nim umieścił owe drzewo.

Nagleni przez niego, aby wyjeżdżać, zaklinani prośbą i perswazyami, zostaliśmy jednak na uroczystościach koronacyjnych, i dobrze, bo nie bylibyśmy tego wszystkiego widzieli.

Jan Kazimierz ubrany w strój królewski, przybył na mszę solenną, przyniósł z sobą chleb i wino, postawiwszy je na ołtarzu, przy którym stał już arcybiskup i wręczył mu ewangielją. Król położył na niéj palce i wykonał przysięgę, że będzie obrońcą wiary, sprawiedliwości i swobód. Poczém namaścił go olejem świętym i koronę mu na głowę włożył.

Król usiadł na tronie, uderzono we wszystkie dzwony, z armat bito a naród wykrzyknął:

— Vivat Rex!

Uroczysta i wielka to była chwila. Naród cały podawał z ufnością nowemu władzcy wszystkie swe wodze. W jego ręku leżały losy doli naszéj— to też po tym wykrzyku z głębi serca nastąpiła

taka cisza w kościele, że muchę przelatującą mogłeś słyszéć. Wszyscy się zadumali głęboko, a wtém jakieś złowieszcze krakanie ozwało się nam nad głowami. Była to wrona. Zkąd się wzięła—czy wpadła przez szybę wybitą — czy ją kto umyślnie wpuścił—niewiadomo. Polatała po kościele i uciekła przez drzwi wielkie pod chórem.

Za zły omen poczytano to przyszłemu panowaniu.

Wysłuchano jednak mszy świętéj, poczém udano się na bankiet.

Na drugi dzień, odbył król wjazd do miasta konno.

Przed nim postępowali:

Książe Dominik Zasławski wojewoda Sandomierski niósł koronę; Książe Jeremjasz Wiśniowiecki, wojewoda Ruski jabłko złote; Michał Abramowicz, wojewoda Trocki berło złote; Aleksander Koniecpolski chorągiew królestwa; Michał Zebrzydowski, miecznik koronny goły miecz.

Przyjechawszy na rynek, zsiadł z konia i wszedł na tron dlań przygotowany — wtedy Magistrat królewski oddał mu złote klucze i wierne poddaństwo przysiągł.

Dopieroż podskarbi z misy wielkiéj napełnionéj pieniądzmi czerpał pełną garścią i rzucał je między pospólstwo, które się gryzło i tłukło trzymane jednak w ryzie przez gwardyą królewską.

Gdy nastał wieczór, zapalono ognie tryumfalne

wśród wielkiego natłoku, uciechy pijanego tłumu, kradzieży i rozbójstwa.

Dyabeł nadał, że tej właśnie nocy znalazł się wśród tego tłumu marszałek Kazanowski z jednym tylko pacholikiem. Odwiedzał on pana wojewodę Trockiego w domu pod baranami, a gdy miał wracać do zamku, porwany przez żołnierzy gwardyi królewskiéj z szat odarty i zbity, miał jednak tyle przytomności, że każdego z pijanych napastników poznaczył kredą i uszedł przecie szczęśliwie z życiem. Nazajutrz kazano się stawić żołdakom—ci nie przewidując nic, przyszli, dopiero zrobiono rewizyą ich mundurów — pocętkowanych odłączono i ukarano.

Gdym to opowiadał pani Bzowskiej, radość jéj nie miała granic. Cięższa jednak go dotknęła ręka, bo tegoż samego roku stanął przed sędzią najwyższym i tam ze swoich win rachunek zdawać musiał, a żonę i dobytek zabrał po nim Radziejowski.

Nimeśmy opuścili Kraków, odwiedziłem biskupa Gębickiego. Był to szczególny mój dobrodziej a przyjaciel serdeczny ś. p. mojego ojca.

Powitał mnie mile i na obiad zaprosił. Musiałem mu opowiadać o królu nieboszczyku. Spłakał się starzec a w końcu rzekł:

— Jego śmierć tak rychła, to kara sroga dla tych, co mu oną zgotowali, bo byłby pożył jeszcze, gdyby mu nie wydarto tego, za czém tęsknił życie całe.

Potem obracając rozmowę na inny przedmiot, spytał:

— Cóż się stało z twoim towarzyszem Bzowskim.

— Wyjeżdża z matką na wieś.

— A do służby się jakiej nie zaciągnie?

— Nie chce.

— Wszyscy służyć komuś musimy, a kto ni Bogu, ni ludziom służyć nie chce—służy dyabłu.

Bodaj nie prawdę powiedział biskup, pomyślałem, i smutny a przybity wróciłem do gospody.

Czekano na mnie z upragnieniem, bo już wszystko było gotowe do drogi. Wymówiłem się jednak przed nimi, zmyślając sprawy familijne wielkiej wagi, które mnie dni kilka w Krakowie zatrzymać muszą, obiecawszy rychły mój przyjazd do Jurkowic.

Tymczasem przysłuchywałem się koronacyjnemu sejmowi.

Chciałem poznać nowego króla, we wszystkich jego atrybutach. Tam, gdzie trzeba było pompą i prezencyą nadrobić, prezentował się pięknie i po królewsku, ale zobaczymy go w rządach, pomyślałem, i skwapliwiem pospieszył do sali sejmowej.

Przemawiał pięknie i argumenta miał zawsze dobrze odważone i po myśli, ale tej siły przekonania, co to jak taranem wali w przeciwnika, jak u nieboszczyka, u niego nie szukaj. Wychodziły słowa przytłumione czémś, jakby nieśmiałe, wa-

hające — łatwo je téż zbić mogłeś. Było tylko u niego czasem uporu trochę, nic więcéj.

Na jednéj sessyi lubo król błagał i perswadował posłom, aby starych waśni nie wznawiali, ale spokojnie obradowali nad dobrem Rzplitéj, w utrapieniu takiém będącéj, wywleczono przecież relacyą piławiecką i Ostrorog zdając sprawę z owéj hańby, Radziejowskiego zaczepił, że ten namowami swemi dokazał, iż się stało nieszczęście takie, zerwał się ten jak oparzony i cisnął mu wyrazem: Łżesz! Powstali senatorowie, powstał król i surowemi słowy zgromił zuchwalca.

Głównym punktem, około którego się obracano, było wojsko.

Zapadła téż uchwała:

aby kwarciane wojsko do dawnéj liczby przyprowadzić,

aby wojsko zaciężne do 30,000 powiększyć,

aby król miał wolne ręce w wydawaniu wici na pospolite ruszenie.

I tą razą minęła buława księcia Jeremiasza, najdzielniejszego z rycerzy naszych... i znów stworzono trzech regimentarzy: Firleja, Lanckorońskiego i Ostroroga. Fakcya dworska przemogła nad wszystkiém.

I cóż nas kiedy poprawić może?

Ostatniego dnia sejmowego, śmierć zajrzała do sali obrad.

Umarł tknięty paraliżem, strażnik wielki koronny, Samuel Łaszcz, najzuchwalszy człek w ca-

łéj Rzplitéj, rozbójnik i łupieżca. Trzymał na swoim żołdzie łotrzyków i hultai — sam małéj fortuny, żywił ich tém, co wydarli. Banita po kilkakroć. Dekretami podszyć sobie kazał ferezyą i tak się z nią nosił publicznie. Król go bronił, bo nagradzał to cnotami żołnierskiemi.

Na zapieczętowanie królewskiego pobytu, w starożytnym Krakowa grodzie, wszczął się pożar w zamku. Spłonęła kurza stopa, tuż obok sypialni pańskiéj. Szczęściem, że się obudził i dostrzegł pożar a tak-ci uszedł z życiem.

Zmęczona biedna moja głowa tém wszystkiém, zapragnęła wreszcie spokoju. Wyleciałem też ptakiem z onego Krakowa, aby się zagrzebać w ciszy wiejskiéj na długo, i nie zaglądać już do tego świata—ale Homo proponit, Deus...

Dwór w Jurkowicach wyglądał wspaniale i pańsko.

Z drewnianego spalonego, przeistoczył się w pięknie murowany gmach, w włoskim stylu, według tego, jaki sobie kanclerz w swoim Ossolinie zbudował. Ten sam też architekt Włoch Storazzi go stawiał, a wszystko to pieniądzmi dobrego króla, który ich nie szczędził i o robotach kazał sobie sumienną czynić relacyą.

W całéj okolicy nie znalazłeś takiego gmachu, prócz blizkiego Ossolina.

Nie widziałem dawnego dworku, ale musiał być podobnym do wszystkich okolicznych, aż tu znajduję pałac dla rezydencyi królewskiéj.

Miły Boże, pomyślałem, toż ten gmach to najwspanialszy pomnik królewskiego serca. I cóż więcéj mógł dla was uczynić ten, którego dobroć mówiła do mnie z każdego filara, z każdego kapitelu, z każdéj ozdoby. A cóż dopiero znalazłem we wnętrzu? Wszystkie sprzęty i obicia, drogie makaty, obrazy nawet były królewskim darem, bom je znał doskonale.

Przykro to podziałało na mnie, co Bzowska musiała odgadnąć, bo rzekła:

— Dziwicie się wspaniałości naszego domu? Tak, to jego dziełem. Udarował nas po królewsku. Nie to mnie też ubodło, że nam odebrali tę resztę, ale niesprawiedliwość popełnionego haniebnego czynu, oburzyła mnie do głębi. Postanowiłam się zemścić na tych łupieżcach i dokonałam tego.

Nic jéj nie byłem w stanie na to odpowiedzieć— kobieta ma swoję loikę—ale gniewało mnie to, że niepomna próśb syna, zgotowała mu upokorzenie straszliwe a w przyszłości zło wielkie, jak niżéj zobaczymy.

Nie było szczęścia wtym gmachu.

Obok onéj wystawności i książęcego przepychu, wiała jakaś pustka, zimnica jakaś—nie było tego ciepła, co to je w najuboższéj lepiance znajdziesz, bo je daje spokój serca i niezmącona niczem pogoda sumienia.

Bzowski chodził dużemi krokami, potém rzucał się na krzesła, wydając ciężkie westchnienie. Matka wpatrywała się weń stroskana i niespokojna.

Strzelaliśmy z Żabickim konceptami, jak mogli, ale śmiech nasz krzywił im tylko usta obojgu i rozlegał się po dużych komnatach dworu, głusząc nas tylko, jak gdyby urągał téj pożyczanéj wesołości.

Bzowski na jutro zarządził polowanie. Wszedł właśnie chłop olbrzymi wzrostem, dawny Kozak rotmistrza, który odbył z nim moskiewską kampanią, sprawny pachołek jak dyabeł, wierny jak pies domowy, żołnierz niepospolity i myśliwy.

Nazywał się Maciej Bylica.

Tego tedy Bylicę Bzowski przezwał Krzemieniem, mówiąc:

— Bylicą muchy trują, z Krzemienia ogień się sypie. Uszlachcam cię tym przydomkiem. Skoro ani król ani hetman, nie nadali ci herbu za twoje żołnierskie cnoty, ja ci to wynagrodzę. Pamiętaj! jesteś Krzemieniem. Bądź twardy, jak krzemień i prócz ognia, niech nic z ciebie niedobędzie—pamiętaj!

I chłop został Krzemieniem, dumny okrutnie z tego nowego nazwiska.

Wierzył w panicza, jak w ewangelją — gotów w ogień skoczyć na każdy jego rozkaz a znali się tak, że Bzowski nie potrzebował doń mówić, ale

znakiem jakimś dawał mu do zrozumienia, czego chce i ten w lot wykonywał rozkaz.

Nazwa Krzemienia przystawała doń w istocie. Twardym był, jak krzemień—nie wydobyć z niego słówka, jak się zaciął. Ręce i muskuły były u niego, jak z żelaza. Podczas potrzeby moskiewskiej, leżał ranny przez trzy dni w śniegu, dopiero jak wóz ładowny przeszedł mu po żebrach ocknął się, zerwał na równe nogi i wgramolił tak, że go przywieziono do miasta.

Twarz chłopa była dzióbata strasznie, na lewém oku miał skałkę, ale prawém za to widział tak, jak nie każdy dwoma. Wąs miał rzadki rudawy. Szpetną a głęboką krésę na jednym policzku od ust, aż do szczęki, co mu nadawało jakby jakiś szyderczy wyraz. Starał się mówić czysto, powoli zacierając w ten sposób chłopski, mazurski sposób mowy.

— Kiedym szlachcic, to szlachcic. Niechże będzie czysto, jak szkło — mawiał, każdy wyraz cedząc z przyciskiem.

Gdy wszedł, Bzowski nań popatrzał, kiwnął głową i spytał krótko:

— Dobrze?

— Wszystko, jak się należy zrobiono. Przykazałem na jutro, od szóstéj stać z naganką ku kobylemu polu. Marcin, Walek, rudy Jędrzej dopilnują. Panicz i ci jegomoście wraz zemną, udamy się wprost ku potokowi... potém...

— Dosyć!—przerwał niecierpliwie Bzowski.

Chłop się pokłonił i wyszedł.

Ale jak do każdéj ludzkiej sprawy czy zabawy. trzeba serca i ochoty, tak i tu się stało. Nałaziliśmy się i naklęli, na czém świat stoi. Bzowski strzelił do dzika, ale go chybił—Żabicki z łacińska po partacku—a ja uszczwałem zająca, z którym wstyd nam było wracać, rzuciłem go też psom i tak skwaszeni już wszyscy wróciliśmy do domu.

Ogień duży na kominie i kufel, gawęda o niczém lub drzémka — tymczasem téż noc zapadła, zawierucha zerwała się straszna, świszcząc, wyjąc po gmachu i zasypując okna tumanami śniegu.

Bawiliśmy się w karty, gdy wtém ukazała się w progu jakaś niewieścia postać.

Służba i domownicy pochowani po kątach, nie spostrzegli téj przybyłéj. My téż zajęci grą przy świecy pochyleni nad stołem nie usłyszeliśmy otwierających się drzwi, dopiero gdy przemówiła:

— Pokój temu domowi—odwróciliśmy wszyscy głowy zdumieni i przestraszeni prawie.

Bzowska pochwyciła światło, podbiegła doń, popatrzyła chwilę i krzyknęła:

— Salunia! Salunia nasza!

Było to młode dziewczę lat ośmnastu. ubrane w chłopską świtkę, jakie lud na Ukrainie nosi — głowę miała obwiązaną chustką, z pod któréj wymykały się włosy kruczéj czarności. Twarzyczka piękności niezrównanéj, ale jakimś wielkim smutkiem tchnąca — oczy cudne z długiemi

rzęsy, zarumieniona cała od wiatru i śniegu, który z niéj spływał grubemi kroplami na podłogę.

Przypatrywaliśmy się wszyscy w milczeniu temu zjawisku. Bzowska z synem podprowadzili ją do stołu.

— Saluniu, dziecko drogie. Ja oczom moim nie wierzę. Ty... taka smutna... W tym stroju?.. Zkąd przybywasz?

— Z piekła ciotko — odrzekła dziewczę ponuro.

— Co mówisz dziecko? Czyś tu sama?

— Sama, jak palec.

— Co się stało? Gdzie rodzice?

— Już ich niéma.

— O Boże wielki! zabici, zamordowani?

— Wszyscy.

— Wszyscy?... i bracia twoi?

— Nie mam nikogo.

Staliśmy niemi, przybici tym tonem spokojnéj rozpaczy i rezygnacyi, co z tych młodych, pięknych usteczek się dobywał.

— Boże mój, Boże!—zaszlochała Bzowska! — O drodzy moi, ukochani. Ależ rozbierz się dzieweczko moja. Siądź tu przy mnie, widzisz tu przyjaciół naszych. Imć panowie Scypio, Żabicki, panna sędzianka stężycka Krzysztofowiczówna.

Gdy zdjęła oną świtkę i chustkę z głowy, na któréj włosy rozrzucone w nieładzie, spłynęły na

białą chłopską koszulę wydała mi się jeszcze cudniejszą i jakby nie ziemską postacią, ale oną boginką, rusałką, jak je lud tamtejszy nazywa.

— Mów, mów mi wszystko Saluniu — aleś ty głodna i spragniona.

Zawołała na sługi, wydając im dyspozycyą. Dziewczę siedziało smutne z spuszczonemi oczyma. Bzowski niemy, onieśmielony jakby, z spuszczoną głową.

— Opowiedz, opowiedz drogie dziécię. Czyś zmęczona?

— Nie ciotko, zamyśliłam się tylko smutnie.

— O czém gołąbku mój?

— Ot... gdyby nie śmierć rodziców moich i braci, nie byłabym was może widziała nigdy...—i tu rzuciła przelotne wejrzenie na Bzowskiego.

— Nie potępiaj nas, nim wysłuchasz moje dziecko. Oh, cośmy téż przeżyli! Powiem ci późniéj a może z tych naszych mąk i rozpaczy, wykwitnie jeszcze dla nas kwiat szczęścia. Mów nam o sobie, o doli waszéj.

Dziewczę, jak gdyby zbierało całe swoje siły, chcąc mówić o tém, co dotykało tyle. Popatrzyła na nas smutnie, potém wybuchła płaczem takim, że zdawało się pierś jéj rozsadzi.

Patrząc na tę niemą rozpacz i nam się łzy zakręciły w oczach, bo mówiła ona więcéj, niż najdobrańsze słowa.

Bzowska ją tuliła do piersi i ocierała łzy z twarzy.

Otrząsnęła się wreszcie z tego żalu wielkiego i cichym głosem zaczęła:

— Gdy wieść doleciała naszego futoru. że Kozacy spalili Dymitrówkę i wymordowali wszystkich, ojca naszego nie było w domu, jeździł do Koniecpola. Siedziałyśmy z matką przy krosnach. Na wielkim kominie suty ogień płonął—przy nas dwoje dziewek, Paraska i Chorpyna. Moi dwaj braciszkowie biegali po komnacie, bawiąc się z brytanem Turem. pamiętasz go Szymonie? który dziś właśnie leżał smutny i tylko od czasu do czasu warknął złowrogo i zwracał głowę ku oknu. Oh, czemuż ludzie tylko biedni nie mają świadomości nieszczęścia.

Wtém na podwórzu wszczął się jakiś ruch niezwykły... nawoływania jakieś... przytłumione odgłosy i jednocześnie drzwi się szybko otwarły. Wpadł do komnaty Mikita Kozak dworski, z Dymitrówki, przyjaciel wielki mojego ojca i krzyknął: „Uciekajcie! już idą! Idźcie do futoru Siarczyńskiego. ja tam będę — tu was nikt nie obroni.“

Nie przemówiłyśmy żadna słowa. ale spojrzały po sobie: byłyśmy blade, jak kréda. Uciekać? Matka przytuliła dwoje chłopiąt, ja wybiegłam na dziedziniec i wołać zaczęłam ludzi — nikogo. Wszystko pierzchło. Jedni przeszli zaraz do Kozaków, a między niémi, któżby pomyślał, Michałowski szlachcic, którego ojciec przyjął niedawno pod swój dach—był on okrutniejszym od innych

—drudzy padli pod nożami a uczciwsi uciekli i rozpierzchli się po lasach.

Gdym wróciła do izby, dziewek już nie było. Wszyscy pognali ku Dymitrówce. Zostałyśmy z matką i dwojgiem chłopiąt. Zaryglowałam drzwi, wydobyłam samopał ojca. Czekałyśmy. Strach ma słuch delikatny... a jednak nic... najmniejszego szmeru, cisza grobowa zaległa dwór cały. Dwóch mych braciszków przed chwilą tak szczebiotliwych umilkło, badając nas wzrokiem tylko. Wtém coś uderzyło lekko o drzwi. Wzdrygnęłyśmy się, jak na wystrzał armatni. Kto tam? Głos Ojca odpowiedział: Ja. Ale w tém jedném słowie tyle było rozpaczy, bólu, trwogi, żem od razu zgadła, iż nieszczęście z nim wchodzi.

Otwarłam drzwi. Cóż za widok okrutny. We drzwiach ojciec, jak śmierć wybladły, sztywny, zda się cieńszy niż był, a za nim głowy dzikie Kozactwa. Pochwyciłam go za piersi, objęłam wpół i uczułam straszliwą próżnię.., był bez rąk.

Wzburzyło nas to wszystkich okrutnie. Dziewczę, jak gdyby tego nie słyszało, patrząc przed siebie w jeden punkt, mówiło daléj:

— Krzyk straszliwy matki ogłuszył mnie chwilowo... a gdym przyszła do zmysłów, słyszałam tylko: Hroszy, hroszy dawaj psi synu! Jeden z oprawców z wydobytym nożem, groził ojcu, że język mu wydrze, jeżeli nie powie, gdzie ich ukrył. Chwyciłam samopał i wypaliłam szalona.

— Oh, dziecko drogie!

— Zbrodzień się zachwiał, ale jednocześnie uczułam, jak mnie chwyciło dwóch zbójców i skrępowało ręce. Matka moja droga, matka rzuciła się na napastników, lecz jedno straszliwe uderzenie powaliło ją na wieki.

— Oh, biedna Anna!

— I tak bezwładna patrzéć musiałam na wszystko. Staś mały przybiegł do mnie: „Salciu. tata niema rączek, a czém jeść będzie.“ Wtém przystąpił jeden... Oh, najstraszliwszy! Jeżeli niebo ma szczyptę litości dla méj rozpaczy, to niechże zgotuje z mąk najczarniejszą, najbezlitosniejszą dla tego szatana. Porwał to chłopię, które wyciągało do mnie rączki uśmiechnięte, nieświadome téj grozy... i do ognia je rzucił.

— Okropne, okropne—krzyknęła Bzowska.

— Potém nic nie wiem więcéj. Omdlałam.

Gdym otworzyła oczy, ujrzałam się w chacie Mikity. Wykupił mnie z rąk zbójeckich swoją krwawicą. Stał przy mnie ten wierny przyjaciel. „Już ty nic nie masz panienko. Wsio uże propało. Dwór, wasz ojciec. matka, małyje braty w ogniu spłonęli.“ Chciałam się rzucić w rzekę, ale niemoc przykuła mnie do łoża na długo.

Gdym wyzdrowiała, zapragnęłam do was jechać, Mikita podjął się tego. Ubrana w chłopskie suknie, przebyłam z nim szczęśliwie tę drogę pełną krwi i jęków ludzkich.

Jakże ja was dawno widziéć pragnęłam, nawet w chwili walki zdawało mi się, że go ujrzę Szy-

mona, jako mściciela z mieczem zemsty. W gorączkowych snach moich, on stał przy mnie i pokrzepiał. Widziałam go zawsze takim, jak wonczas, gdyśmy na stepie z wiatrem w przegony lecieli a dziś on smutniejszy odemnie. Jeszcze jednego przychylnego nie rzucił mi słówka. Czy ta wściekła zawierucha i serca ludzkie wysusza na proch? Czy to koniec świata się zbliża, powiedzcie?

Bzowski stał zawstydzony i jakby przybity, coś wybąknął, czegośmy zrozumiéć nie mogli.

Dziewczę skłoniło głowę na piersi Bzowskiej, która ją tuliła gorąco — po chwili podniosła ją dumnie i rzekła:

— Kto takie straty przebolał—ten przeboleje już wszystko. Ciotko raczcie kazać wprowadzić człowieka, który mnie przywiózł. To mój opiekun i przyjaciel.

Bzowski poskoczył i wprowadził Mikitę.

Dziwnym a tak pięknym zjawiskiem wydała mi się ta dzieweczka, żem patrzał i patrzał na nią a napatrzéć się nie mógł. Było w niéj kobiecego, jakby anielskiego wdzięku tyle a przytém jakby męzkiéj energii i dojrzałości znowu wiele. Otwartość i prostota taka, jakiéj u żadnéj z naszych dziewic nie widziałem. Ot dziewczyna Kozak, jak nazywają takie—tylko, że w tym kozackim jéj układzie, było tyle ślicznoty—w téj swobodzie i prostocie tyle wdzięku, żem stał i oczy w nią wlepił, jak oczarowany. Oh i byłem nim

i zostałem i zostanę zawsze, dopóki mi piasku na oczy nie nasypią.

— No mój Mikito, mój drogi przyjacielu, opiekunie i ojcze—rzekła, podbiegłszy ku niemu i kładąc rączki na jego ramionach.—Otośmy już w bezpiecznym porcie. Wszyscy moi tam w górze błogosławią cię za tę opiekę nad sierotą a ja... jam twoją dłużniczką do zgonu... I objęła jego głowę i złożyła na niéj pocałunek.

— Ot panunciu zrobił, co mógł—rzekł Zaporożec.—Jam jadł wasz chleb, a to by psem był, żeby się za niego nie odpłacił.

— Wszak go jedli i tamci.

— Tamci na stracenie... czarne dusze. Czort w nich. A to buddcie zdorowa panunciu...

— Co? chcesz już wracać, w taką noc?

— Ja w nocy zuch... A to we dnie pany lachy mogliby mnie... No buddcie zdorowa...

I nim coś wyrzec mogliśmy zdumieni, Kozak zniknął.

Wybiegliśmy za nim na dziedziniec... ale mignęły nam tylko jego saneczki w kurzawie śnieżnéj.

To dziewczę tak piękne, tak bohaterskie a tak nieszczęśliwe, było oszukane niegodnie przez Bzowskiego. bo oto zaprzysiągł jéj kiedyś afekt dozgonny i małżeństwo, a potém zapomniał. porzucił. podeptał najprzód dla rozpusty, to znowu dla

promocyi dworskiéj. A chociaż dotknęła go kara zasłużona, ale cóż to mogło znaczyć w porównaniu z jéj bólem.

Gdyby był dotrzymał przysiąg, gdyby wierny swojemu słowu poślubił ją i wywiózł z Ukrainy, nie byłoby może tego nieszczęścia, bo czerń poszanowałaby teścia królewskiego syna, jak to bywały przykłady na Polesiu, gdzie dóbr królewskich nie tknięto.

Dziś on stał przed nią, jak winowajca, nie śmiejąc w oczy spojrzéć i słowa doń przemówić i dziś ten człowiek zmalał w moich oczach straszliwie.

Wszystkie jego racye, jego wielkie plany, marzenia dumnéj ambicyi, owe błyskotliwe race, któremi dawniéj mnie olśniewał, wydały mi się chymerami choréj głowy a nawet godnemi infamii i zdrady ojczyzny.

Noc całą oka nie zmrużyłem, myśląc o tém — chciałem natychmiast uciekać z tego domu i nie widziéć ich więcéj, bo i ta matka jego wydała mi się pospolitą niewiastą, co tylko spekulowała, aby synaczkowi swemu fortunę wielką zgotować.

I czego ja siedzę pod tym dachem, u tych ludzi, zamiast w swoich czterech ścianach, parając się z chudobą—a potém gdy przyjdą wici królewskie iść na wroga i mścić się tylu okrucieństw, tyla krwi niewinnie wylanéj.

Jakże ohydnemi wydały mi się owe słowa Bzowskiego, co w kozactwie widział podeptane rycerstwo, które się mściło zniewag poddaństwa,

gdym ja w nich widział zdrajców, zbójów krwiożerczych, których palić i ścinać było świętym obowiązkiem.

I tak z jednéj myśli snując daléj, wszystko wydało mi się czarném, prócz niéj jednéj, téj boginki nieszczęsnéj, która mi jako gwiazda jasna świeciła na pochmurnym dzisiaj firmamencie.

Bywały znowu chwile, żem prawie był kontent z tego obrotu sprawy. Bzowski jéj niegodzien, myślałem. Jego próżna ambicya, co go tylko pcha na bezdroża, nie umiała by dać szczęścia temu kwiatkowi, złamałaby go, zniszczyła na proch. Dla niego nigdy ciche, domowe szczęście nie błyśnie, bo on goni mary chorobliwe.

Na świtaniu zmęczony usnąłem snem twardym, zbudził mnie Bzowski:

— Czekamy na ciebie z obiadem.

— Chory jestem trochę, musiałem się zastudzić na wczorajszém polowaniu,

Popatrzał na mnie uważnie, jak gdyby czuł, że między nami się coś porwało.

— Jakże ci się wydaje nasza krewniaczka?

To zapytanie rzucone lekko jak gdyby dla załatania milczenia, które zapanowało, ukłuło mnie jak szpilką—już miałem wybuchnąć, alem się powstrzymał i rzekłem ze źle udanym chłodem:

— Dziewczę piękne i szlachetne, ależ jéj nieszczęście jest tak wielkie, że w obec niego wszystko zmaléć musi.

— Tak, to prawda, straszna ta plaga dotyka

i niewinnych, aleć to już taki srogi los wojny, że nikomu nieprzepuszcza.

— Alboż to wojna? Czy tu walczą dwie potencye, dwie nacye—to jest bunt wyuzdanej czerni. niegodnej miana człowieka, przeciw wszystkiemu, co się nazywa wiarą. cześcią, sprawiedliwością, dobrém, pięknem i uczciwém — to jest walka ciemności szatańskich, przeciwko jasnemu zastępowi aniołów... I ty to wojną nazywasz? To wściekła walka zwierząt krwi głodnych, przeciwko ludzkości. To też kto szlachetny, kto ma w piersi krztę rycerskiego ducha, tępić i niszczyć ich powinien.

— Ha! ha! ha! ha! — rozśmiał się szydersko. Przemawiasz, jak który z chlebojeździców lub jurgieltników ukraińskich panów—zobaczymy, co powiesz późniéj.

— I późniéj, i teraz, i zawsze tak mówić będę.

— Dobrze—a teraz pójdź na obiad, bo kobiety już kilka razy pytały się i wysłały mnie po ciebie.

Gdy odszedł, zdawało mi się, żem już zerwał wszystkie nici, jakie nas niegdyś wiązały.

Postanowiłem też, pożegnawszy się z kobietami opuścić dwór Jurkowicki i nigdy do niego nie wracać.

Gdym wszedł do dolnych komnat, zastałem już wszystkich przy zastawionym stole a był między nimi nowo przybyły gość Drewnowski wojski sandomierski, zdawna znajomy i życzliwy jej-

mość pani. Staruszek miłego bardzo obejścia i pełen dowcipu a wyga przytém i bywalec—słyszał. jak trawa rośnie.

Bzowska powstała i posadziła mnie uprzejmie przy Saluni, która mi się dziś jeszcze piękniejszą wydała. Chłopskie ubranie zdjęła z siebie i była już w sukniach dworskich.

Wyglądała w nich, jak księżniczka.

— Patrzycie na moję metamorfozę — rzekła— niepodobnam do wczorajszéj Horpyny? Bom się wczoraj jeszcze nazywała Horpyną Serdakówną, córką Mikity Serdaka. To ciotka mnie tak ubrała i czy uwierzylibyście, że ta suknia jest zrobioną na mnie i dla mnie, a miała być wysłaną do Krzysztoforów, gdyby był Chmielnicki nie przeszkodził. I tak, zamiast ona do mnie, ja do niéj przyszłam.

Mówiła to pół żartem, ale smutnie.

Głos jéj przenikał do głębi duszy a mówiła tak ładnie, szybko a płynnie — cudny powab w niewieście mowa taka —słowa wychodziły z jéj ust, jak perełki okrągłe, błyszczące... a co to były za usta. Małe, jak dwie poziomki. Nosek pięknego kształtu, jakie widziałem na posągach greckich, co stały w Kazanowskiego pałacu. Oczy, jak dwie gwiazdy. Czoło piękne, dumne i rozumne. Owal twarzy więcéj pociągły, niż okrągły. Cera śniadawa, z pod któréj rumieniec przeglądał.

Upojony zapachem jéj szat, czarodziejskim blaskiem jéj oczu, dźwięczną mową, tą zadumą smu-

tną, w którą wpadała często, przypominając posąg—czy też nieprzespaną nocą, czułem dreszcze po całém ciele i było mi tak, jak gdybym nie na ziemi przebywał, ale gdzieś w rajskich krainach.

Ot, miłowałem ją na życie i śmierć. Bez téj kobiety, życie wydałoby mi się pustém i nudném, pomyślałem, a śmierć dla niéj poniósłbym z rozkoszą.

Musiałem to dać im poznać po sobie, bom słyszał śmiechy Żabickiego i Bzowskiego, jakoby do mnie skierowane, alem nie widział nikogo, krom niéj.

Jadłem, nie widziałem co— a z jéj ręki i trucizna wydałaby by mi się była łakociem—a gdyby mnie kto spytał: co jadłem, nie umiałbym powiedziéć—czy to gęś, czy szczupak, albo jarzyna. Podzióbałem trochę każdéj potrawy i zostawiałem. Popełniałem przytém niedyskrecye i pomyłki ciągłe. Upuściłem kieliszek, który się rozbił w kawałki, oblewając winem jéj suknię a gdym chciał ją przepraszać, nadepnąłem Wojskiego, który, aż syknął z bólu.

Stałem się jakimś lękliwym i drżącym—odpowiadałem ni w pięć ni w dziewięć tak, żem ich mojém zakłopotaniem ciągle do wesołości pobudzał.

— A toście wy naprawdę, jak nieswój, panie Scipionie—rzekła Bzowska.

— Co wam dolega? Jestem lekarką. Nauczyłam się u znachorów naszych leczenia wszystkich

chorób—i spojrzała na mnie temi ślicznemi oczyma. Spotkała się z mojemi i jakby odgadła przyczynę mojéj niemocy, bo pokraśniała tylko i umilkła.

— Na polowaniu wczorajszém się zastudziłem i głowa mnie boli trochę — wybąknąłem już, sam nie wiedząc, co mówię.

— Trafiłeś waćpan, jak kulą w płot—ozwie się pan Wojski.—Oj młodzi, młodzi. To tam, gdzie się ma przed oczyma taką śliczną różyczkę, jak ówdzie imć panna Sędzianka, to się o chorobie jakiéjś myśli? Cóż to rozumiecie, że stary nie ma oczu i nie widzi, że to tu amor kaleczy was haniebnie. Wszyscy macie miny, jak ze Środy na Piątek — i nie dziw, gdybym był w waszym wieku...

Radbym był starego udusić za to, że tak umiał zbadać moję tajemnicę. Chciałbym był uciec i ukryć się z nią za dziesiątą górę, a tu ją wszyscy już podchwycili i zaglądali w nią ciekawie i obracali na wszystkie strony, a podśmiewali szyderczo, zdawało mi się, że mi serce wyjęli z piersi i krajali je na kawałki, patrząc ciekawie w najskytsze komórki.

Zebrałem się też na odwagę i z miną, jak można najobojętniejszą, rzekłem:

— Ludzie podeszli w lata nie przypuszczają w młodych innéj alteracyi, krom miłosnéj a przecież mogą być inne dolegliwości.

— Gadaj zdrów mój dobrodzieju o dolegliwo-

ściach, od tego są starzy. I słusznie, już tak mądra przyroda postanowiła. Pókiś młody kochaj, szaléj, myśl o głupstwach, zabijaj się za wstążeczkę lub workoczyka kawałkiem, wzdychaj, szlochaj. To są wasze dolegliwości. Innych też u was nie przypuszczam i miałbym za baj-bardzo, każdego z was, gdyby tak nie było.

— To nam tu nie wypada według słów pana Wojskiego, jak chyba kruszéć kopje, krzesać szable, aby zyskać choć jedno spojrzenie lub miły uśmiech panny Salomei—rzekł Żabicki. — Co do mnie, to pierwszy wprzęgam się w rydwan jéj wielbicieli i gotów jestem stanąć na ostre, choćby tu połowę powiatu się zbiegło.

— Ani uśmiechu, ani spojrzenia tkliwego daćbym nie mogła panie rycerzu — rzekła smutnie Salomeja — zostały one wszystkie tam w zgliszczach naszego domu, na grobie rodziców i braci.

— I w osobie Bzowskiego — dodałem sobie w myśli, bo go kochała — widziałem to i serce mi się ścisnęło.

Spojrzenia jéj padały często na niego, który sie dział milczący.

— I to nieprawda—rzekł Wojski. — Nieszczęście tylko starość przybija do ziemi, młodość ma nadzieję i wszystko przetrzymać potrafi. Między poczciwymi ludźmi zagoi się serduszko waćpanny i zapragnie miłości.

— Ot toś dobrze powiedział, panie Wojski.

Całém naszém staraniem będzie, aby ci życie umilić, mój kwiatku ukochany. Jeżeli nie w całości, to choć w cząstce jakiejś matkę ci twoję zastąpię.

Salunia podziękowała ciotce i znów smutne spojrzenie rzuciła na Bzowskiego, któremu jak gdyby nagle jakaś świeża myśl błysła, bo się poruszył żywo na stołku i rzekł do Wojskiego:

— Mospanie Wojski w imię przyjaźni i życzliwości, z jakiemi jesteś zawsze dla naszego domu, nie odmów pokornéj prośbie.

— Sługa waszmości.

— Oto wszyscy trzéj pragniemy się obejrzéć po powiecie. Jesteśmy tu już drugi miesiąc a prócz dostojnych progów waszych nie nawidziliśmy jeszcze nikogo. Czas by nam już zaprezentować się po sąsiedztwie i zbić fałszywe pogłoski, jakie tu już o nas krążą między bracią... a że wiem, iż nikt tu tyle miru i wziętości nie ma, co zacna wasza persona, przytém nikt nie zna sąsiedztwa lepiéj od was — będziesz nam w tém patronem i przewodnikiem.

Salunia, gdy to mówił, więcéj posmutniała i prawie łzy zakręciły się w jéj oczach.

— Z miłą chęcią. Ot, zawiozę was do Bełchackich i jużci z całém powiatem się pobracicie. Wszak jéjmość pani znana dobrze rodzina?

— A któżby nie znał Bełhackich! Ośmiu ich w Sandomierskiém, sześciu w Wiślickiém. Tam podkomorzyce, tu cześnikowice.

— Daj go katu, tyle tego?

— Cześnik Sandomierski, imć pan Jerzy Bełchacki, ma ośmiu synów, a brat jego imć pan Bartłomiej Bełchacki, podkomorzy Wiślicki sześciu. Razem czternastu. I jedni, i drudzy rej wiodą w powiatach. Ci w Wiślickiém, owi w Sandomierskiém a wszyscy razem przez parentellę w całém województwie. Ruszymy najprzód do starego Bełchackiego. Dom u niego zawsze otwarty. Sąsiadów, jak nabił — jeden wyjeżdża, drugi wjeżdża. Będą nam serdecznie radzi.

Poczekajcie-no, czy to nie imieniny dzisiaj czyje? Faustyna—nie—ale wczoraj było Walentego, jednego z Bełchackich podkomorzyców. Dobra nasza. Wczoraj obchodzono je w Wiślickiém a dziś będą poprawiny w Sandomierskiém u cześnika. Więc zjedzie się cała Bełchaczyzna. Bo to u nich wszystko podwójnie obchodzone bywa. Jak wesele, to w obydwóch powiatach—chrzciny, imieniny, pogrzeby nawet dubeltowo odprawiać się muszą.

Więc nie zwlekając, uderzym na Bełchaczyznę.

Bzowski poskoczył i wydał dyspozycyą do odjazdu.

Sanna była ognista, mróz skrzypiał pod nogami, lecieliśmy, jak wicher.

Nie w smak mi jednak była ta podróż — i ja miałem ochotę gdzieś uciekać. co prawda, ale na bory, na lasy lub w samotnej jakiej celi się zamknąć i myśléć i dumać, albo też patrzéć całemi

godzinami na to cudo prawdziwe. byle nie słyszéć i nie widzieć natrętnych ludzi. co zaglądali we mnie ciekawie. Upajałem się, jak pijak, tą słodką trucizną, która mnie przepalała całego.

„Gdy pomyślę. jaki to straszny haracz krwi spłaciła nasza biedna Polska w wojnach kozackich a potém szwedzkich, jaki to kwiat rycerstwa naszego padł w téj zawierusze, to dziwię się, że ta Polska stoi jeszcze. Pokażcie mi naród w tych czasach, którego by więcéj szarpano?

Oto dom słynny gościnnością i cnotami w powiecie, ba w województwie całém. Cześnik Bełchacki, mąż w radzie i wojnie, w domu i obozie— wzór do naśladowania w potomne czasy. Wychował ośmiu synów, chłopów jak dęby a wychował ich tak, że świecą rycerskiemi cnotami i rozumem i sercem—pożenił — poosadzał po wsiach i folwarkach. A powiedział im: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Stać ławą z podkomorzycami w sprawie ojczyzny i króla, zginąć ławą za ich cześć!

Drugi brat jego rodzony, podkomorzy Wiślicki, kubek w kubek taki, jak tamten — miał ich sześciu, nie tak wprawdzie dorodnych, jak Cześnikowicze, bo znowu wszyscy byli mali i chuderlawi. ale sprawni i rozumni. Kazał ich edukować, a że nie miał fortuny takiéj. jak pan brat, aby ich wyposażyć — w rycerskim zawodzie ich wyćwi-

czył i służyli wszyscy w jednéj chorągwi. A powiedział im: Słuchać Cześnikowiczów, iść z nimi choćby do piekła. W prywatę palców nie kłaść. bronić sprawiedliwości i ucisku. Zginąć za ojczyznę i króla. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Oto wasza dewiza: I kazali obaj bracia, zrobić czternaście żelaznych sygnetów z onym napisem, i każdy z Bełchackich nosił go na palcu.

Gdy przyszło pospolite ruszenie, poszli pod Lwów i bili się, jak lwy pod Beresteczkiem. a potém wszyscy padli pod Batohem w onym okrutnym zasieku, gdzie tyle krwi polskiéj spłynęło. Dwanaście wdów zawodziło po nich płaczem. bo tylko dwóch było nieżonatych.

Starzy bracia przeżyli swoje dorodne pokolenie, potém obaj zamknęli się w klasztorze bernardynów w Krakowie i pochować się kazali obaj w jednéj trumnie. Podkomorzy czekał na cześnika ale nie długo.

Tacy byli Bełchaccy.

Ale idźmy porządkiem.

Zaledwie zajechaliśmy przed bramę w Zaleszczycach, natychmiast dwóch pachołków wzięło konie; a drugich dwóch poprowadziło nas przed ganek, gdzie już oczekiwał pan cześnik.

Stał z czapką w ręku, chociaż mróz był srogi, wyprostowany, z miłym uśmiechem.

Był to mąż lat pięćdziesięciu kilku, nosił wygoloną czupryne i brodę dużą. Słusznéj postury,

na pierwszy rzut oka nieboszczyka hetmana Koniecpolskiego mi przypomniał.

Wojski nas zaprezentował, ale zdziwiłem się, że tu już znano nas bardzo dobrze i wiedziano o wszystkiém.

Bzowskiego przyjęto z odznaczeniem wielkiém, szanując krew królewską, ale krom tego i nam w niczém nie chybiono.

W izbie zastaliśmy gości: Imć pana skarbnika Gromińskiego, quasi mądralę powiatowego. Imć pana Marcina Dębickiego stolnika sandomierskiego człeka dużéj fantazyi, przytém niespokojnego warchoła. Gdzie jaki związek, gdzie huczek, gdzie swywola zawsze tam musiał być marszałkiem i najstarszego syna cześnika, pana Alexandra.

Powitano nas uprzejmie. Pan Dębicki nawet sadził się na wielkie komplimenta dla Bzowskiego — jeden tylko skarbnik podał nam rękę, jak gdyby z partesu, urażony, że to nie jemu pierwszemu ta wizyta przypadła.

— Zaszczyt to duży dla naszego powiatu, że trzech tak przezacnych kawalerów prozapiejéj takiéj, ulubionych niegdyś ukochanemu naszemu królowi, tu właśnie obrało sobie siedziby—rzekł pan Dębicki.

— Nie wszyscy panie stolniku dobrodzieju, bo ja jeszcze nie mam kąta — odpowiedział Żabicki.

— Już my tu waszmość pana ulokujemy, a to grzechem by było rozrywać taką trójcę.

— Ot jest wioseczka wdowy Trzycieskiej, niedaleko Opatowa. Ziemia dobra, nieobdłużona, łąki piękne.

— A będzie tu u mnie nawet jéj szwagier imć pan Antoni Tęgoborski, sędzia opatowski, możecie zaraz interes ubić—rzekł pan cześnik.

— Będzie nawet pan Żelecki, pisarz ziemski, to i tranzakcyjka gotowa.

I jak zaczęto kalkułować, układać, tak nie tylko Żabickiemu wioskę kupiono, ale nas pożeniono i nie ledwie, że się nie wproszono na kumotrów naszych przyszłych dzieci. Zwyczajnie w takich razach.

A gości zjeżdżało się coraz gęściéj z żonami, córkami, siostrami, ciotkami, wdowami, pannami. Od dyskursów ciągle nas odrywano, żeby się prezentować jegomościom, jéjmościom i jéjmościankom.

Wreszcie musieliśmy ich całkiem zaprzestać.

Pokoje się napełniały ciągle — a nie słyszałeś jak tylko:

— Służby moje powolne cześnikowi dobrodziejowi.

— Moja służba.

— Służba sąsiedzie miły.

Staroświeckie to już były powitania—a często gęsto: pochwalony Jezus Chrystus.

Jejmość pani cześnikowa, niewiasta cicha, wiel-

kiéj pobożności. lubiąca swatać. Tutaj to skojarzyło się małżeństw tyle, że chyba pół województwa zaludnione niemi zostało.

Byliśmy wszyscy trzéj kęskami nie do pogardzenia. to téż strzelano do nas oczyma, jak z samopałów.

Mnie to gniewało okrutnie i zżymałem się w duchu na te wszystkie manewra strategii niewieściéj, nawet patrzéć nie chciałem na kobiety, wydały mi się one wszystkie brzydkie i niezgrabne a z swoją chęcią podobania śmieszne, nieznośne—a kiedy przyszło do prezentacyi i dyskursów, po prostu skóra na mnie cierpła. Powiedziano też o mnie, żem chyba na dworze w piecu palił—ale to mnie nie zgniewało wcale.

Bzowski za to rozpuścił swoje wszystkie żagle i skrzydełka. Znać chciał zagłuszyć w sobie wyrzut sumienia i zatrzéć w pamięci dzień wczorajszy.

Nie nazywano go w rozmowie z sobą inaczéj, jak królewiczem.

Każda z powiatowych gęsi rada go była miéć przy sobie. rada była usłyszéć od niego komplement, któremi sadził na wszystkie strony, ale ja znając go dobrze, widziałem, że to tam więcéj szczypiącéj żółci. niżeli miodu w nich było.

Młodzi kawalerowie, a było ich tam dosyć, począwszy od paru Bełchackich. przygryzali wąsa i z pod brwi chmurnych na niego poglądali, bo

ani przystąpić do żadnéj. kiedy każda królewiczem zajęta.

Zastawiono stoły do biesiady.

Tu znów każda chciała siedzieć przy królewiczu, ale że się nie dało, więc przez stół prowadzono rozmowy, których duszą był Bzowski. Wszystkim jakby gęby zamurował, bo trzeba było tylko słuchać i podziwiać a słóweczka wścibić nie można.

Starych to gniewało i niecierpliwiło, młodzież siedziała osowiała.

— Panie starosto (bo tak go zaprezentował wszystkim cześnik)—mówiła jedna.—Nie będzież to ze szkodą dla takiéj edukacyi waszéj i dworskiego poloru, jeżeli zagrzebiecie się na wsi?

— Ach, w takim pięknym pałacu można zapomnieć o dworskiém życiu.

— Czy prawda, że macie i wiszące ogrody?

— Mam—i jak je wiosna ustroi zielonym kobiercem, zapraszam jejmość panie wraz z dostojném gronem małżonków i za ich pozwoleniem na bukiet.

— Cóż to takiego?—odezwano się chórem.

— Jest to gra włoska, którą teraz dwór się bawi.

— Ach, opisz ją nam waszmość.

— Persony w kółko siedzące przybierają nazwiska rozmaitych kwiatów, które przypinają sobie do piersi. Persona we środku będąca, układa z nich bukiet, skoro tylko wymieni kogo, ten

lub ta, co to nazwisko nosi, wstać i zatańczyć powinna galardę—jeżeli nie uważa, idzie do koła, na miejsce téj która mówiła; układająca bukiet gdy wspomni o kwiecie, którego niéma w kole, za to fant daje.

— Ach jakież to ładne!—zakrzyknięto.

Dopieroż przyszła kolej na stroje.

— Panie starosto, gdzież to dostać tych pięknych koronek, któremi królowa jéjmość tak nadobnie się ubiera?

— Jest Francuz Crussot, który otworzył z niemi sklep na Ś-to Jańskiéj ulicy.

— Wszak to już nie w modzie perpetuana? — mówi inna w końcu stołu.

— Nie—teraz noszą saję, materyą włoską.

— Ach, jakie to ładne były te kryzy — czy to już do nich nie wrócą?

— Chyba nie.

Musiałem podziwiać giętkość jego natury. On, który wstręt czuł zawsze do wszystkich rupieci i i fatałachów jak ich zwykłe nazywał—tu wykładał o nich traktaty prawie, a dziwnie umiał trafiać do gustów i usposobień wszystkich. On, co dumą szaloną zadziwiał nieraz dostojników, tu potrafił być miłym i trzpiotowatym a w miarę rubasznym znów i zamaszystym tak, jakby się tu w szlacheckim którym dworku wychował—istny histrion.

Ze strojów przyszło na tańce, na obyczaje dworskie, na fraucymer. Wyliczał im, ile która

ma sukien, jak się ubiera. co robi. Jak jadają. jak piją. Matrony pożerały go oczyma. całe w słuchu, panny to samo.

Po uczcie rozpoczęły się tany.

Cześnik trzymał doborową kapelę, ale więcej huczną. złożoną z trębaczów. bębnów i pokrzyków.

Tańce poszły szlacheckim dawnym obyczajem. jako: cenar, świeczkowy. lipka. taniec Macieja. Potém ruskie, które Bzowski gwałtem wprowadził ale z niewielką ochotą młodzieży, jako: gniewus. dorobuszka i hajduk.

I tu rej wodził jak we wszystkiém.

Nareszcie gadatliwe jejmoście pochowały się po alkierzach i pokojach ościennych.

Wzięto się do kieliszka.

Już to prawdę mówią, że in vino veritas. Natura ludzka krępowana względami przeróżnemi. drzémie sobie spokojnie, dopiero przy kieliszku wyłazi zwierze, jakie w sobie człek nosi. kiedyś kozioł toś kozłem. małpa toś małpą. lew, wół, osioł, lis, tygrys i t. d.

— Zobaczymy, jak nam tu dotrzyma ten królewicz—szeptano sobie po kątach.

Nie wróżyłem tu dobrego rozstania. Zanadto przeciągnął strunę—myślałem sobie, bogdaj nie pękła.

Odezwał się pierwszy imć skarbnik Gromiński. ten, co to nas miał na wąsie.

— Niechże i nam imć pan Bzowski niegdyś

dworzanin i starosta. raczy dotrzymać kroku, jak i niewiastom naszym. Niechże rycerskie i kawalerskie jego cnoty w całej pełni zabłysną. Oto wznoszę jego przezacne zdrowie.

W wyzwaniu tém, czuć było całą żółć i obrazę. Powiedział: niegdyś dworzanin i starosta. Mógł sobie być niegdyś dworzanin, ale niegdyś starosta—takiego subjektum nie było jeszcze chyba.

Popatrzono też tylko po sobie a Bzowski wziąwszy kielich, rzecze:

— Wszystko to, co było niegdyś, świeciło blaskiem niespożytym i cnotą. Biorąc więc assumpt z owego *niegdyś*, wymówionego z takim przyciskiem przez jegomość pana skarbnika, powiem: że niegdyś nie odważanoby się przymawiać w ten sposób, takiemu jak ja człekowi a ninie można z pogardą takie zdrowie wylać za okno.

I rznął kieliszkiem tak, że się rozprysnął w kawałki.

— Co, kto, jak?—krzyknięto kupą całą.

— Bardzo dobrze—bo to było obrazą—zawołali inni.

— Z cudzego nieszczęścia urągać się nie godzi — rzekł pan Bartoszewicz, płacząc, co było zawsze, kiedy tylko jeden kieliszek wypił.

— Panie starosto — ozwie się gospodarz do Bzowskiego — jesteś nim zawsze dla mnie i dla moich gości—a komu to nie w smak, niech sobie gębę obetrze i milczy.

— Runąć kielichem, toż despekt powiatowi

całemu—mówi Kliszewski z srogą miną dobywając szerpetyny.—Ot, zraziki będą.

— To tak—zawołał skarbnik to już wywłokę wypędzonego ze dworu. wyżej tu cenią, aniżeli osiadłego szlachcica. No bądź zdrów!

— Despekt powiadam do kroćset stu tysięcy. Stawaj ty taki owaki!..

— Bracia mili—szlochał Bartoszewicz.

— Nie gniewaj-że się—mitygował Bzowskiego cześnik.

— Gniewać się nie będę, bo nie warto. Znajdę przecież satysfakcyą, gdy mi ochota przyjdzie a teraz w waszym zacnym domu cześniku, chcę się oddać zabawie.

— Przezacne zdrowie gospodarza!

— Vivat!

Wypróżnili kielichy i znów je nalewano de noviter.

Bzowski znów po staremu.

— Przezacnéj rodziny, co jak w zakonie świętym strzeże cnót staroszlacheckich i gościom swoim chybiać nie pozwala.

— Vivat!—z przekąsem ze strony lewéj.

I znów ich napełniono.

— Niech przepadną warchoły i kontradycenci i ci, co próżny łeb do góry noszą!

— Niech przepadną!

Pił na umór. Wreszcie gdy ich już napełniono, po raz nie wiem który rzekł:

— Panowie bracia. Kto mi życzliwy, niech spełni toast, jaki tu wniosę.

Zahuczało trochę, ale jednak ciekawość przemogła i słuchano onego toastu.

— Szlachecka równość, była i jest dotąd fundamentem naszéj przesławnéj Rzplitéj. Mądrze myśleli wielcy nasi królowie i owi mężowie przesławni, którzy na niéj budowali potęgę naszę. Mądrze poczynał Batory, co nie w herby patrzał a w świetne czyny ludzkie i szukał serc wielkich, znajdując je pod siermięgą wieśniaczą a dumnych urosłych w pychę i depczących mniejszą bracią upokarzał i w rygor ścisły prawa ujmował. Bo nie herb odziedziczony po ojcu, ale cnoty przodków przechowywane, jak relikwie stanowiły zawsze o szlachcicu. Po Batorym wziął spuściznę ś. p. nasz król Władysław. Bystrym swym rozumem i sercem ojcowskiém odgadł on, że psuje się budynek, który ojcowie z takim trudem dźwignęli. bo wszystkie dobrodziejstwa, wszystkie dary, jakie ta przesławna wolność nasza zdobyła, pochwyciły silne ręce starszéj braci, nie dając ani kęsa ubogim i maluczkim. I chciał zaprowadzić podział sprawiedliwy tych darów bożych, ale siła nieczysta onych starszych braci, a wielkich pychą i dostatkami udaremniła jego zamiary. Umarł, złorzecząc im. I spadła pomsta na nich, którzy się sprzeciwili jego zamysłom i Polska pokutuje za ich grzechy i Bóg wié, jak długo pokutować jeszcze będzie.

Więc panowie bracia! niech żyje równość szlachecka nie w herby i w antenaty bogata, ale w świetne czyny, któreby nam pozwoliły zmazać hańbę Korsunia i Pilawic.

— Hura! — zakrzyknęli jedni.

— Veto!—wrzeszczeli drudzy.

— Nie w herby i w antenaty czy oszalał?

— Król Władysław do absolutum zmierzał, to wiadomo. A on go tu wynosi za to!...

— Panowie! Kain i Abel dwaj bracia...—rzekł, płacząc Bartoszewicz.

— Więc cóż ci dwaj bracia?

— Bredzisz podsędku.

— Obciąć go! — krzyczał Kliszewski.

— A to jakieś chłopsko-kozackie gusta—rzekł zjadliwie pan skarbnik.—Czemu to aść do Chmielnickiego się nie uda!

— Bo i pewnie,—podparli go zaraz inni.

— W Chmielnickiego szeregach są waleczni, przed którymi uciekać musieliście.

Na straszliwy grunt dla niego, zeszła cała ta sprawa. Zaczynało się burzyć a burza ta porywała po trochu tych, co mu stali życzliwie.

— Szymonie—rzekłem doń,—czyś zwaryował! przecie to nie zemną sprzeczki.

Ale już ten ogień porwał go, przeciw któremu nadaremnie było go hamować.

— To takie myśli haniebne zaprzątają tę głowę? Pan Pasek, młody lecz roztropny człek, z Bie-

lin z Rawskiego, z którym mię później łączyły węzły przyjaźni, rzecze do mnie:

— A weźcież tego człeka z oczu, bo go tu posieką.

Pan Dębicki, dotąd przysłuchujący się obojętnie, powstał z ferworem i rzucił:

— To infamia! To w dworni nieboszczyka króla tacy ludzie się chowali.

— W dworni nieboszczyka króla byli ludzie, co więcéj wiedzieli, niżeli sandomierskie głowy.

— A po coś między nich wlazł wywłoko?

— Bo tu mam fortunę swoję.

— Nie swoję, ale matki.

— Kto tu śmie jéj cześć znieważać? Wychodź nędzny.

Ale w téj chwili przeszło pięćdziesiąt szabel błysło nad jego głową.

Bełchaccy, ilu ich było, krzyczą:

— Wara! Panowie bracia, mitygujcie się.

Bartoszewicz płacze.

Kliszewski woła:

— Rozsiekać tego chłystka!

— Zbrodnię chcecie spełnić w moim domu?

— Nie warte życia takie subjektum!

Kobiety podniosły gwałt—wpadło ich parę do izby, ale je wepchnięto na powrót i drzwi zaryglowano, a przypomniawszy sobie jego sukcessa, większą zapałano nienawiścią.

I ten, i ów sięgnął go już szerpetyną. Krew trysnęła. Wtedy staruszek Wojski wystąpił z tłu-

mu i cały stół, jak stał, przewrócił na napastników tak, że niektórym nogi nim przygwoździł, innych pooblewał i zarzucił kielichami. Bzowskiego porwał za rękę wśród tego tumultu i choć się opierał, wyciągnął gwałtem do sieni.

Poskoczyliśmy z Żabickim, wpadli do stajni i konie, co nam na podręczu stały, odwiązawszy od żłobu, wsiedliśmy na nie oklep i pognali w pole.

— Hańba, sromota! — wrzeszczał Brzowski— uciekać przed tą zgrają? Puszczajcie mnie!

A wtém i Wojski nadjechał sankami.

— Wziąłem cię żywego od matki i żywym cię odwieźć muszę. Siadaj! Byłbyś zginął śmiercią niesławną pod stołem, a życie waści na coś lepszego przecie przydać się może.

Jednak rany, jakie mu zadali, broczyły krwią. Ledwieśmy go dowieźli do Grzegorzewic, gdzie opatrzywszy w karczmie, ruszyliśmy do domu.

Chciałbym być posiekany i podziurawiony, jak rzeszoto, byle mieć przy wezgłowiu taką patronkę.

Tu dopiero poznałem, jak to nieszczęsne dziewczę miłuje tego okrutnika, który krom lichéj litości, jaką się daje nieszczęściu, nic więcéj dla niéj nie czuł.

Lubo nie było czém się trwożyć, bo go draśnięto nieco i osłabł tylko z ubytku krwi przez drogę, przecież biedne kobiety zawodziły z rozpaczy.

Matka zwłaszcza rzucała pomsty i gromy na całą sandomierską szlachtę. Salunia zaś w milczeniu czuwała ustawicznie przy chorym, który od czasu do czasu wyrzucał z ust jak gdyby przez sen: Zemsta im!

Przyszła wiosna.

Raz szarą godziną, bez światła siedziałem przy stole, opodal od jego łoża. Kobiety były w swoim pokoju. Wydobył głuchy jęk a potém myśląc, że jest sam, zaczął mówić do siebie, jak to miał we zwyczaju:

— I znów dzień przewlókł się ponury, jak karawan z pogrzebem. Długo ja jeszcze takie dni liczyć będę? Zemsta im, dzwoni mi w uszach i przyspiesza tętna na chwilę, a potém bezwładność chwyta członki i duszę, i śmiech gorzki wydobywa się z piersi: Ha, nędzny ty zlepku człowieka, króla, biedaka — nie wynaleziono dla ciebie kąta w tym ulu ludzkim, nie masz go ni w górze, ni w dole — tam pogardą a tu szyderstwem płacą. Gdzież miejsce dla mnie? Nie wolno mi być tém, czém jestem, nie wolno mi nosić nazwiska, które do mnie nie należy a potém doń jest przyczepiona hańba. Nie wolno mi myśléć i czynić wzniośle. Cóż czynić? Siermięgą odziać ciało — zejść na najniższy szczebel drabiny ludzkiéj..... poddać grzbiet pod razy tych wszystkich, dla których pogardę się czuje... albo!... ach albo stargać to wszystko z czém serce młode się zrosło...

Zagłuszyć w sobie wszystkie wspomnienia dzie-

ciństwa... zerwać z przeszłością bezpowrotnie, stworzyć sobie nową ojczyznę? Zemsta im! O tak, zemsta okupiona drogo, bo stratą tego wszystkiego, co mi szanować i czcić kazano.

Ha, więc niech przeklęte będą te widma wpojone w dusze niewinne, widma miłości ojczyzny, wiary, nadziei! Czułem to wszystko w duszy a zapłacono mi za nie szyderstwem i wzgardą. Tak, czekać będę, dopóki czas zręczności nie poda.

Umilkł.

Jakże nieszczęsnym był ten człowiek, a jak spadzistą owa przepaść, w którą się staczał.

Drzwi skrzypnęły, weszła po cichu Salomeja—chciałem się zerwać, ale szatan ciekawości i zazdrości, zatrzymał mnie na miejscu.

Mrok zapadał coraz większy.

— To ty Salomejo—rzekł Bzowski — przybliż się. Urosłaś i jesteś piękną, jak zawsze, tylko blady smutek, zamiast rumieńca masz na twarzy. Jeszcze nie miałem chwili, aby przemówić do ciebie. Nie płacz—moja matka zastąpi ci twoję pewnie—przebolejesz i znów będziesz szczęśliwą.

— Ja? nie zapominam o tem, co się zrosło z sercem... szczęśliwą być nie mogę... Ale ty... ty Szymonie, zrzuciłeś zda się przeszłość bezpowrotnie.

— Tak—nie chcę słyszeć o niej więcej. Nowe życie rozpocząć pragnę. Życie czynu, nie marzeń marnych, życie chwały i blasku.

— Oh tak, takim cię zawsze widzieć pragnęłam Szymonie, ty jak orzeł w słońcu, w blaskach chwa-

ły tylko przebywać możesz. Czy pamiętasz te ciche wieczory, kiedyśmy przy szumie lip siadywali we dwoje. Opowiadałeś mi, jak to kiedyś z tureckiéj wojny, drogiemi łupy ubierzesz mi komnatę. Czy pamiętasz, te dumy smętne na kurhanach, co o starych bohaterach nam gwarzyły? Oh, ileż ja tam łez wylałam za tobą! Jak ja czekałam ciebie Szymonie!... Z wichrem stepowym dźwięki o tobie łowiłam.

— Biedna — wszystko to były mary. Śmierć bezlitosna zatarła nam to wszystko. Zapomnijmy o tém — do nowych walk a tak odmiennych sił nam potrzeba.

— Czemuż rzucać te złote wspomnienia lat szczęśliwych? wszak to one, na anielskich skrzydłach w bramy raju nas wiodą. Oh, gdyby nie te wspomnienia, ja bym umarła już dawno! One były słońcem, w strasznem piekle mych cierpień. One mnie z łoża dźwignęły, że żyję dotąd, że widzę ciebie, im zawdzięczam.

— A jednak, rozstać się nam z niemi trzeba Salomejo, byliśmy dziećmi.

— Nam się rozstać—wyrzekła z żalem takim, jak gdyby w niéj serce pękało. — Nie wymawiaj tego słowa, bo wrócę tam, gdzie popioły ojców moich wicher stepowy rozwiewa i jękiem żalu zapełnia pustynię całą. Nam się rozstać? Więc to prawda, że w dworskich panien gronie, zaprzepaściłeś wspomnienia o mnie. Więc ty już nigdy

nie wrócisz tam, gdzie każdy listek, kwiatek każdy płacze za tobą i czeka?

— Oh, może wrócę, ale nie takim Salomejo.

— Wrócisz mężem. Pomścisz śmierć drogą naszych ojców i braci. Rozgrzmi Ukraina twojemi czyny. Do dum bohaterskich, jedna jeszcze przybędzie najpiękniejsza, najwznioślejsza...

— Najstraszniejsza!

— Więc rzuć ten smutek. Powiedz mi, o powiedz jedno z tych słodkich słów, jakie tam mi mawiałeś, a będę szczęśliwą.

— Zostaw mnie Salomejo — w mej duszy jad tylko i gorycz. Przebacz mi ty biedne dziecko. jam złamany i biedny. Nic już z tych skarbów, za któremi płaczesz, nie znajdziesz we mnie... nic. Jam dziś cieniem człowieka... zazdroszczę najlichszemu kmiotkowi, co zagon nędzny uprawia .. dla mnie niema nic już... prócz rozpaczy...

— Oh, nieszczęsna ja... nieszczęsna!

Chciałem się zerwać i biedz ku niej, bo mnie ta scena złamała, jakby wstrząsła mną do głębi— gdy weszła Bzowska ze światłem – uczyniłem się znowu śpiącym—nie postrzeżono mnie całkiem.

— Ciotko!—zawołała Salomeja z rozpaczą. — Każ ty mi zbić trumnę i wykopać grób głęboki... Albo przywiąż mnie do stepowego konia, niech tam na mogiłach naszych skończę.

I wybiegła w wielkiem wzburzeniu.

— Synu mój biedny!... Cóż tu zaszło?

— Oh matko! — rzekł Bzowski, zrywając się.

—Czemuś ty mi dała świadomość tego, czém jestem. Byłbym szczęśliwy— uprawiałbym zagon na równi z chłopem— zuchwałe myśli nie szybowałyby po mózgu. Dlaczegoś mnie wepchnęła do téj kałuży, gdziem zobaczył ohydę ludzką. Czemuś mnie tam nie wysłała do téj zieleni stepów szumiących i błękitnego nieba. Czemuś mnie nie zostawiła w bandzie cyganów, albo mi trzody paść nie kazała. I czém ja dzisiaj? W sercu pragnienie zemsty krwawéj, zemsty bezsilnéj. W głowie rojenia sławy wtenczas, kiedym przykuty żelazną dłonią losu do tego kawałka ziemi, na którym się wznosi on pałac, co wspaniałością swoją i ogromem urąga tylko nędzy naszéj, na który ludzie głupi patrzą z zawiścią, a w którym ja się czuję karłem nad karłami... O moja matko, moja matko!

— Nie łaj mnie synu. Los pokrzyżował moje plany — zagrodził drogę biednemu królewskiemu dziecięciu. Więc zrzuć z siebie to imię, które tak piecze źrenice ludzkie. Weź moje, znane niegdyś światu a dziś leżące w pyle, i niém dobijaj się cześci. Dziécię najdroższe, duma to trawiła nas oboje. Szymonie! Czy ty nie poczuwasz w duszy pragnienia, by tam z orężem w ręku wydrzéć wawrzyny światu i nieznane nazwisko, blaskiem unieśmiertelnić. Tam znowu zawre bój. Traktaty zerwane. Posłów królewskich posiekano. Chmiel zuchwalszy, niż był przedtém.

— Czy ja poczuwam w sobie to wszystko?...

Mój Boże!—ale zasłońże mnie matko, przed pociskiem szyderstwa i pogardy gąb szlacheckich. Daj mi twarz inną! daj mi innego ducha. Choćbym zaparł w sobie wszystko, to, co mam w piersi, oni zawsze wyśledzą we mnie intruza i daremnie będę się dobijał o to, co najlichszy ciura posiąść może.

— Szydercze pociski umilkną. Przed męzką duszą twoją pierzchnie złość ludzka. Zasługi dla ojczyzny, najzuchwalszych rozbroją. Oh, synu, gdybyś ty słyszał, jakich nadludzkich okrucieństw dopuszcza się kozactwo dzikie. Oh, język nie ma wyrazów na to. Polska we krwi się pławi!...

— Któż zaprawił ich do okrucieństw, jeżeli nie bezbożna niewola panów. Kto im broń dał w ręce, jeżeli nie ucisk straszliwy tych królików, co deptali święty majestat Władysława. To bicz boży chłoszcze tyranów. I ja miałbym iść pod rozkazy którego z nich? iść walczyć dla ich sławy, kiedy w duszy nienawiść czuję? Czyś już zapomniała, jak cię znieważyli ci nędznicy, a ja stać spokojnie musiałem i patrzéć... jak cię nogą kopnięto? Nie, nie! ja chcę zemsty.

— Zemścij się synu, ale wprzód spełnij powinność swoję.

— Ja królowi tylko służyć mogę. Pod królika chorągiew nie pójdę.

— Oh synu, mająż wszyscy padać ofiarą? Synu! Idź tam, gdzie się krew leje braci naszych.

W tobie duch rycerski ojca żyje! Szymonie! Jak wierzę w Boga, tak wierzę w chwałę twoję na polu bitwy. Oh drogie, ukochane dziecko moje— patrz ja matka. łzy leję serdeczne na samą myśl szczęścia, jakie mi zgotujesz, wróciwszy zwycięzcą. Idź synu. bo ty mi zginiesz marnie w tym zakątku; dla ciebie tylko pole chwały. Nie będę już samotną. bo mam to dziewczę przy sobie — ale jakże chciwie łowić będę każdą wiadomość o tobie — myśli i dusza moja będą z tobą. Tam tylko, tam mój synu, utopisz tę gorycz, co ci serce zalewa. Prawda—ty pójdziesz? Pierzchnie nawała kozacka na sam widok Władysławowego syna.

— Władysław był ich obrońcą.

— Ale ich w karbach trzymać umiał.

— Panowie podeptali nogami jego najpiękniejsze plany—nie pozwolili jednej kości z swego pańskiego stołu i tym, którzy krew leli dla nich na kresach, prawa człowieczeństwa zaparli. Dziś sprawiedliwość domierza sądu. Uciśnieni podnieśli głowę i wydrą im to, czego dobrowolnie dać nie chcą.

— Kto zawinił, niech tego Bóg sądzi. Ale ty synu będziesz po stronie nieszczęśliwych.

— Ja będę po stronie pokrzywdzonych.

— Więc tej dziczy damy zawładnąć?

— Ta dzicz. to najdzielniejszy kwiat rycerstwa. Ta dzicz. to bohaterowie. przed którymi

pierzchają panowie nasi, wyhodowani w pierzynach.

— Nie! ta dzicz to wyrodni synowie, co ciało matki własnéj szarpią. To zdrajcy zbratani z tatarstwem, na zgubę ojczyzny naszéj. Słuchaj mnie synu, zgrzeszyłam dużo, ale gdybyś ty miał mi się zaprzepaścić w téj zawierusze i stanąć wrogiem ojczyźnie... Oh, wtenczas synu przeklęłabym ciebie. Pamiętaj!

Wyszła—poty na mnie biły. Nie śmiałem się ruszyć, aby się nie zdradzić.

Bzowski chodził po izbie dużemi krokami— mnie nie widział siedzącego i zagłębionego w dużém krześle przy oknie, tak był zajęty własnemi myślami. Śmiał się gorzko i rozprawiał sam z sobą:

— Jam od losu przeklęty, niechże nim będę w całéj pełni. Przeklęty, że zacności ducha hołduję? Że chcę wielkiemi czyny zmazać plamę mego urodzenia? Że chcę walczyć za uciśnionych i maluczkich? Że chcę w twarz rzucić temu zgniłemu pokoleniu, które mnie depcze, cały zasób mojego ducha? Błysnąć potężnemi czyny, co w wnętrzu mojem tętnią, przerosnąć wszystkich tych karłów?

Potém rzucił się w krzesło, zakrył oczy rękoma, został tak czas jakiś i rzekł z boleścią:

— Lecz po cóż te grzmiące słowa? Uspokój się biedna matko, ten twój królewicz zamrze spo-

kojnie na barłogu, z błogosławieństwem twojém, bo nic innego w losach mu nie pisano.

Potém się zerwał szparko.

— A przecież nie! Gwiazdy co innego mi znaczą.

I wyszedł szybko z izby.

Pognałem za nim. poszedł nad staw i wpatrywał się w niebo.

Co będzie z tym człowiekiem?—myślałem i szalony zawrót głowy mnie chwycił.

Siadłem na konia i pognałem do mojéj wioski. W drodze twarz księżyca dwoiła mi się w oczach, gwiazdy skakały, a każda z nich miała Bzowskiego oblicze a najjaśniejsze znów Salomei twarzyczkę. W lesie drzewa przeistaczały się w olbrzymów—gorączka mnie paliła.

Przybieżałem do domu i sam niewiem. jak wszedłem do izby i rzuciłem się na łoże.

Wezwano mnie do Warszawy, dla assystencyi przy inwentarzu po nieboszczyku królu, ale wiedziałem, że co innego to tam niemi powoduje.

Chciano mnie mieć na dworze. Nowemu królowi w niesmak bardzo było, że połowa prawie dworzan Władysława odpadła, jak gdyby gardziła łaską nowego pana, a powiedział mi to Ubysz, który temi czasy odwiedzał krewnych swoich w Sandomierskiém i o mój dworek zawadził.

Bądź jak bądź, podróż ta wypadła mi na rękę.

Do Jurkowic. ciągnęło mnie niby żelaznemi kleszczami. Chodziłem po kątach, jak struty. parę razy kazałem zaprzęgać do kałamaszki. ale przecie jak gdyby wstydząc się téj mojéj słabości, znów odprzęgać kazałem. co mojego siostrzeńca dziwiło niemało. Spadła wreszcie ta podróż i pokwapiłem się do niéj z wielką ochotą.

Wyjechałem na Koprzywnicę do Sandomierza, gdziem się spotkał z Żabickim. który także jechał wezwany na dwór. a któremu jakoś życie ziemiańskie wcale nie pachniało.

Przenocowawszy, mieliśmy nazajutrz wsiąść na szkutę.

Pogoda prześliczna.

Pobaraszkowaliśmy sobie trochę po mieście. słońce się miało ku zachodowi, aż tu wali karoca a z niéj wysiada kanclerz wielki Ossoliński.

Podeszliśmy ku niemu, powitał nas bardzo uprzejmie, zdziwionych nie mało, że nas poznał.

— Aście co tu porabiacie?

— Jedziemy do Warszawy.

— A no to zabieram was na moję galerę.

I nim mu podziękować zdołaliśmy, już wydał rozkazy. aby rzeczy nasze znieść natychmiast nad Wisłę. a nam zapowiedział aby za godzinę być gotowymi, bo pojedziemy nocą.

Stanął w rynku, gdzie zaraz tłum suplikantów i interessantów go otoczył.

Nie miałem dotąd czasu i miejsca. aby coś powiedzieć o tym dziwnym człowieku. a przecież

on to przez lat tyle dzierżył wodze spraw króla i Rzeczypospolitej.

Widywaliśmy go zawsze na dworze, jako surowego dygnitarza z pliką papierów, które niósł za nim jego sekretarz, poważnym, zamyślonym tak, że nie widział przechodzących i kłaniających mu się do ziemi.

Rozmowy, które prowadził z królem były dla nas niby niemieckiém kazaniem.

Wśród terminów prawnych i politycznych, wśród owéj gmatwaniny języka, trudno nam było pochwycić jakieś słowo. Zresztą nudziło nas to okrutnie i kontenci byliśmy zawsze, kiedy się za nim drzwi zamknęły, bo wówczas król nasz ukochany bywał wesół i dobréj myśli, tak znów zjawienie się jego surowym a poważnym, oblewało nas zimną wodą.

Nie przemówił do nas nigdy słowa, jak gdyby nas nie było. Nie widzieliśmy téż nigdy w nim człowieka, ale jakieś dziwne automatum wielkiego dygnitarza, którego poziome sprawy ludzkie nie zajmowały nigdy, a który losy świata tylko waży w swych rękach.

Nienawidzony przez szlachtę i panów, z których ostatni zazdrościli mu tytułu książęcego i zabronili go używać, narobiwszy strasznych hałasów na sejmach o równości szlacheckiéj, a pierwsi mieli go za tyrana, co dybie na ich swobody.

Czytywaliśmy o nim ciągle paszkwile przeróżne, których znaczenia nie całkiem dobrze rozu-

mieliśmy. Nienawiść ta i złość udzielała nam się mimowoli, choć nie wiedzieliśmy za co, dla czego. A jednak człowiek ten, był filarem myśli królewskiéj i widział dobrze zło. co szarpało wnętrze naszéj matki.

Nie miał szczęścia do ludzi.

Napatrzyłem się na twarz tę tak. że gdybym był siakim takim malarzem, potrafiłbym doskonale odmalować jego konterfekt.

Twarz to była ściągła, skrzywiona trochę. jakby chorobliwie jakimś wewnętrznym bólem—oczy ciemne. rozumne, przenikliwe — czoło wysokie. Nos wydatny a spiczasty trochę—usta małe, wąs nieduży podkręcony w górę i broda krótko strzyżona, jak i cała głowa. Nad czołem tylko nosił gęstą kępę kędzierzawych włosów.

Ubierał się po polsku.

Gdy nim coś żywo poruszało, wówczas to chorobliwe skrzywienie więcéj było widoczniejsze, przytém pokręcał wąsa, śliniąc palce, co mu nadawało połyskliwość i ładne kształty, w których się zapewne lubował.

A w czém ten zimny człowiek się lubował?— myśleliśmy sobie. Wprawdzie opowiadano cuda o jego pałacu w Warszawie. o jego wspaniałym zamku w Ossolinie i Klimuntowie, ale nie dowierzaliśmy temu wszystkiemu, tacyśmy byli uprzedzeni.

Znając go takim, jak tu właśnie opisałem. nie bardzo nam się śmiało ono zaproszenie. ale powie-

dzieliśmy sobie: Toć nie wieki, noc minie nam na spaniu a dzień jakoś tam przemęczym.

Tymczasem oh. ludzkie płytkie sądy i uprzedzenia—jakież to nas miłe czekało zdziwienie!...

Gdyśmy zeszli nad Wisłę, znaleźliśmy tłum ludu, który podziwiał galerę kanclerską. a było co podziwiać —pewnie ona sławna wykwintnisia. królowa Kleopatra, piękniejszą nie jeździła.

Cóż to za rzeźby malowane i złocone, one trytony i syreny, jak gdyby żywe. Latarnie ustawione na pokładzie z kolorowego szkła rzucały czarodziejskie światło. Przy rudlu powiewała wspaniała chorągiew z herbem pańskim. Służba ubrana z holenderska. czekała rozkazów, każdy na swoim posterunku.

Siedzenia miękkie i wygodne — a cóż dopiero, gdyśmy zeszli z pokładu do kajut!

Wszystko to od dywanów. od srebra i od złota.

Wieczerzę nagotowano na pokładzie i już upłynęliśmy dobrą milę. kiedy nas do niéj uprzejmie zaproszono.

— Czy to aście już w ziemianów się przeistoczyliście i myślicie rzucić dworską służbę?—spytak kanclerz.

— Wzrośliśmy i dojrzeli przy ukochanym naszym królu Władysławie— gdy go nam nie stało, tośmy się i rozpierzchli—rzekłem.

— A do nowego nie czujecie inklinacyi?

— Ot przyznamy się miłości waszéj, że prawda.

— To źle. Pan to dobry i rozumny a równie waleczny i szczęśliwy, jak nieboszczyk.

— Wiemyć, że cnót u niego nie brak — ale cóż —trudnoż wymuszać w sobie chęci, kiedy ich niéma. A przytém chciałoby się człowiekowi odpocząć.

— Już i o odpoczynku waszeć prawisz—w tym wieku? Odpoczynek przyjdzie po śmierci, a póki żyjem, służyć trzeba ojczyźnie i królowi. U was byle ziemi kawałek, już i odpoczynek gnuśny, a służba przy ołtarzu Rzplitéj nie ma ludzi. Toć i nieszczęście nasze, że każdy tylko sobie służyć pragnie. Partykularyzm pochłania wszystko. By najdzielniejszy król nam się dostał, paść musi w walce z przemożnym egoizmem. Uszczupla się też ta powaga królewskiego tronu z rokiem każdym, a niemal ze dniem. A pamiętajcie, że dopóki téj powagi, dopóty i Polski. Gdy wyciśniecie już wszystko na tych królach, gdy im zabierzecie wszystko, zostanie czcze widmo, malowana lalka na tronie. Wtenczas biada! wtenczas ile głów, tyle króli i wtenczas szarpać was będą w kawały i nie będzie nikogo, co by was grzesznych samolubstwem porwał za sobą i poprowadził przeciw wrogom.

Wygłaszał takie sentencye, jak się mówi o rzeczach potocznych i całkiem obojętnych, spokojnie bez owych koloryzowanych, szumnych przystrojeń. Snać to tam, ta głowa tak była przejęta niemi, że płynęły same mimowoli nawet.

W trakcie tego jadł i popijał i trącał się z nami kielichem.

Nie śmieliśmy się i jedném słówkiem odezwać ale wsłuchani cali, zapomniawszy o jedzeniu. połykaliśmy chciwie jego słowa.

— Obawiają się, by nie uronić kęsa tych swobód i wolności—a cóż im z nich, jeżeli nie będzie króla i wojska? Wtargnie Niemiec, Tatarzyn, Szwed i dusić będzie wolnych.

Patrzcie na rządy silne.

Kwitną miasta a w nich rzemiosła i kunszty. Szlachta stoi przy tronie wiernie, bo wie ona, że ten tron to siła. to duma, to potęga. to postrach sąsiadom. Ujęto w silne karby tak dobrze pana Wiśniowieckiego, jak pana Macieja. A u nas co? Pan Wiśniowiecki ma tyleż praw, co i pan Maciéj, ale pan Wiśniowiecki wié dobrze, że może zjeść pana Macieja, gdy mu się nie ukorzy, to téż pan Maciej pył zmiata czupryną przed panem Wiśniowieckim. I to jest wasza źrenica oka — oh ślepi!

Gdy siedzi król mądry na tronie, a nie ma rąk skrępowanych, boi go się tak dobrze pan Wiśniowiecki, jak i pan Maciéj i wtenczas coś zaważy wolność nasza, bo jest poszanowanie praw, jest sprawiedliwość, wisi miecz kary.

Chmielnicki dał wam naukę na czasy potomne, jak się szanuje imię królewskie. Na wieść, że wybrano Jana Kazimierza, ustąpił z pod Zamościa, choć mógł przyjść pod Warszawę i złupić ją

—ustąpił przed czém? Przed potęgą imienia królewskiego.

Ale co to pomoże!— rzekł smutnie, z większém skrzywieniem twarzy. Przyjdą. przyjdą dni smutniejsze jeszcze — ja bo już ich nie dożyję. A przyjść muszą, bo inaczéj nie otrzeźwiemy się z tego pijaństwa.

Mój Boże, i to mówił człowiek, na którym jednéj nitki zdrowéj nie zostawiono.

Ileż tu walk srogich z przemożnym wrogiem, ile bólów z zawiedzionych nadziei, ile trosk poorało tę twarz i zostawiło wreszcie na niéj ślad choroby, co podkopywała go do szczętu.

— Polska nierządem stoi! wykrzyknął jakiś sejmikowy gardłacz, a nie wiedział, że w téj niby przyganie, wypowiedział najstraszliwszą przestrogę, dla głów rozumnych. Czyż nierządem ostać się co może? Stoi dziś nierządem, ale jutro stać już nie będzie a pojutrze się rozprzęgnie.

Służcie królowi młodzi ludzie. Im większy zastęp uczciwych a szlachetnych otacza osobę pańską, tém jaśniéj błyszczy jego majestat, tém więcéj cnoty jego wychodzą na światło, tém silniejszą wiarę i poszanowanie wzbudza w narodzie. Niech źli i głupcy gnieżdżą się po zaściankach. to co jest dobrém, niech niesie cześć i służby ojczyźnie a wierzcie mi, że ten jéj najlepiéj służy, kto służy królowi. A teraz bądźcie sobie wesołéj myśli, bo ja spieszę do pracy.

Otarł usta, skinął na sekretarza —nie zdążyliśmy powstać i podziękować, gdy już zniknął w kajucie.

Jaki pan, taki kram. Służba jego, ludzie zacni wszystko a poważni i uprzejmi. Przebawiliśmy z nimi noc całą przy kieliszku i miłej pogawędzie, a gawęda szła wciąż o nim, o kanclerzu. Mówiono nam, że za życia syna, bywał i wesołym i żartobliwym i podochocił sobie — dziś zakopał się tak w pracy, że tam już nic gwoli zabawie albo odpoczynkowi jakiemuś nie zostawia.

W późną noc widzieliśmy światełko w kajucie kanclerskiéj. Pracował ze swoim sekretarzem.

Nawała niechętnych mu i wrogów, wzrastała z dniem każdym tak, że słaby król wreszcie podbechtywany, aby zyskać sobie ich wziętość postanowił go usunąć.

Kazał mu tedy wyjechać w poselstwie do Rzymu. Jeszcze się wahał, jeszcze miał nadzieję przemódz tę nienawiść powszechną, ale rosła i rosła tak, że król nalegał coraz więcéj.

— Jutro wyjadę albo umrę—rzekł.

Jakoż umarł.

Takim był kanclerz Ossoliński.

Przed samém południem stanęliśmy w Warszawie.

Kanclerz w prost z galery, poszedł piechotą na zamek, nie przemówiwszy do nas słowa.

Niedawno co odbył się ślub królewski, z Maryą Ludwiką. Jan Kazimierz nie chciał, ale mu pa-

nowie wypersfadowali oszczędnością. aby nie dać drugiej oprawy nowéj królowej—i tak przy tym samym ogniu, dwie pieczenie upieczono.

Miało być to wesele królewskie arcy - wspaniałe i pompatyczne, jak tu głoszono powszechnie.

Uchwalono wojnę.

Król miał stanąć na czele.

Regimentarze skierowali wojska pod Konstantynów.

Na drugi dzień dano nam posłuchanie.

— Czy to waście nie myślicie służyć królowi?— zapytał Jan Kazimierz, zwracając do mnie głównie swoję mowę.

— Miłościwy panie!—rzekłem.—Czy przy dworze, czy w polu, jedna to służba dla chwały waszéj i Rzplitéj,—i zacząłem koloryzować, jaka to teraz potrzeba ludzi orężnych, chociaż kłamałem wierutnie, bo inna to sprawa leżała mi na sercu, aniżeli wojna, za co mnie téż kara sroga dotknęła w przyszłości, jak się niżéj zobaczy.

— Niewolić nikogo nie chcę.—rzekł król—ale piękniéj można połączyć dwa obowiązki, bo i my ruszamy w pole.

Niektórzy z naszych, zaraz służby swe ofiarowali.

Żabicki został — tylko ja, Zawadzki. Majdel, Brzeziński jakoś wyprosiliśmy się.

Pożegnał też nas dość kwaśno. a obróciwszy się do podkanclerzego Leszczyńskiego, wyrzekł

jakieś słowa po włosku, które mi potém Zawadzki przetłumaczył, bo je dobrze posłyszał, a język włoski rozumiał.

— Z brata to jeszcze wzięli, tę niechęć ku mnie.

I nie mylił się. Zanadtośmy byli świadomi wszystkiego, aby nas to nie miało ostudzić.

Obejrzałem się po Warszawie. Niby ta sama, a przecież nie ta.

Za króla nieboszczyka, było rojno i gwarno. Spotykałeś cudzoziemców z końca świata, dziś jakby wymiótł. Twarze smutne, ponure, znękane.

I gdy tak już wracam z rynku, Gołębią, Freta, do gospody, staję rażony piorunem.

Oto idzie na przeciw mnie Kostuś, a z nim Orzełek, dawny sługus Jadwiżki, w najlepszéj z sobą komitywie.

— Co to jest? — krzyknąłem. — Aść z mordercą swéj matki?

— On, morderca? To nasz najwierniejszy sługa. Morderca ścięty zeszłego tygodnia na rynku — a był nim Niemiec Steinbock, porucznik. Ten wierny sługa dognał go w Poznaniu i dostawił do sądów. A waść co tu u nas porabia? Pewnie do dworu powracacie, a warto dziś służyć takiemu panu!

Popatrzyłem z pogardą na tę twarz zapuchłą od pijaństwa, splunąłem i poszedłem swoją drogą.

Usłyszałem tylko za sobą jakieś grube przekleństwo, a potém śmiech cyniczny.

W domu dowiedziałem się wcale nowych rzeczy. Bzowski od paru tygodni wyjechał gdzieś w świat ze swoim Krzemieniem, a nikt nie wiedział dokąd i po co.

Kobiety zostały same, bez opieki, a pora to była sroga, wojsko niekarne, niepłatne, rabowało, gdzie mogło po drodze, ściągając się leniwo ku Lwowu, gdzie już król był wyruszył.

Napadli na dwór Bzowskiej, nabrali wiktuałów, kilkanaście sztuk bydła i pieniędzy od niéj wydusili, co mogli. Przysłano do mnie kilkakrotnie, a raz nawet sama Bzowska przyjechała dowiedzieć się, czym nie wrócił.

Przebrałem się tylko z drogi nieco, nie posiliwszy się nawet, pognałem do Jurkowic.

Przyjęto mnie tam, jak zbawcę.

Salunia spojrzała na mnie tak, że zagotowało się wszystko w człeku.

Bzowska do kolan mi się rzuciła, błagając, abym już nie opuszczał jéj domu.

— Poleciał w świat! Niech jedzie! Niech się obejrzy po ludziach, może zrzuci z siebie ten kir smutku. Może utopi gdzie tę gorycz, ten jad, co mu na duszy osiadł. To będzie dla niego zbawieniem. Nie wiem, gdzie pojechał, nie pytałam go nawet. Byłam szczęśliwą, że się wybiera w dłu-

gą podróż. Jestem spokojną, bo on nie zapomni o nas i lada dzień czekam od niego wieści. Ale wy nie opuszczajcie mnie sąsiedzie drogi, bo zginiemy tu same.

— I ja moje prośby łączę do ciotczynych. Gdzieżbyśmy znalazły lepszego opiekuna, jak w was! Tyle tu słyszałam o waszém sercu a i snadno mi uwierzyć w to wszystko, patrząc na was, boć nie widziałam człowieka. którego by oblicze większą dufnością napełnić mogło.

Każde jéj słowo, spadało mi na serce, niby słodki balsam. Musiałem być blady i czerwony na przemian, bo czułem, jak fale krwi pędziły mi do głowy a potém znów do serca.

Drżałem, jak żak, a jednak nigdy tak szczęśliwy nie byłem.

Co mnie już dzisiaj obchodził świat cały?

Na tych, co spieszyli gdzieś tam łamać karki, patrzyłem z politowaniem, bo mnie było tak dobrze.

Z całą ochotą zająłem się gospodarstwem wdowiém a było co robić, bo to wszystko rozprzęgnięte i w niełądzie. Gdy za to przyszły ciche wieczory, raj szczęścia mi się otwierał.

Bzowska zostawiała nas nie raz samych.

Godzinami całemi słuchałem jéj opowiadań, zatopiony wzrokiem w jéj cudnéj postaci.

Gdym rozważał jéj słowa, wydziwić się nie mogłem rozumowi i téj sile przekonań, co jak gdyby z męzkiéj płynęły duszy.

Podsłuchała ona i zbadała myśli ukraińskiego ludu i mawiała:

— Chmielnicki sam przez się jest niczém—idzie tam, gdzie go popycha czerń. Na człeka tego spadło niespodziewanie coś, o czém nie myślał nigdy i ztąd to u niego ta chwiejność. że najcudniejsze nieraz przychodzą mu myśli. Żołnierz jest dobry, ale człowiek mniejszy, od pierwszego lepszego assawuły. Przypatrzyłam mu się dobrze w Koniecpolu. Więcej mu chodziło o Czaplińską, aniżeli o Zaporoże całe. Jeżeli ukradł Barabaszeńce królewskie pergaminy, to dla tego tylko, żeby podburzyć mołojców na Czaplińskiego i gdyby go był dostał, Ukraina nie pływałaby we krwi.

— Miłował ją okrutnie. A czy sądzicie, że miłując beznadziejnie nie można spełnić rozpacznego czynu?

— Oh, można! — wyrzekła z mocą. która mnie zdziwiła.—Są tacy nieszczęśni, dla których miłość jest jakby deską zbawienia—gdy ona się im wymyka, idą wówczas na dno, bo życie wydałoby się dla nich męczarnią nie do zniesienia.

— Czy nawet wtenczas, gdyby poznali, że to, co kochają, nie warte było ich miłości?

— Kto kocha, ten nigdy w to nie uwierzy.

A mówiła to tak, że już tam nie było co dorzucić.

Smutek też nie raz czarny i zazdrość gryzły mi serce. Zrywałem się wściekły i chciałem opu-

ścić ten dom i nigdy nie widzieć téj dziewki, co mimowoli takie mi zadawała męczarnie.

Inną znów razą, gdy spojrzy, gdy przemówi, gotów byłem paść przed nią na kolana, jak przed świętą.

Zawsze zajęta, zawsze czynna.

Tam na kresach niewiasty umieją wszystko i wszystko robią.

Nie tylko gospodarstwo i to, co się ochędóztwa dotycze, je zajmuje, ale praktykują one nawet rzemiosła.

Salomeja robiła przedziwne sita, przetaki, kobiałki. Przędła wełnę, siadała przy krosnach, szyła, piekła chleby, sporządzała lekarstwa, znała się na pasiece. Czasami wybiegała z rarogiem na ptaki, czasami znów ryby łowiła na stawie. Sadziła i pielęgnowała kwiaty, zioła, owoce. Nieraz znów dosiadała konia i pędziła w pole do ludzi—a wszystko tak zawsze składnie, tak pięknie, tak rozumnie.

Często poddawałem się jéj nauce w wielu rzeczach, których nie widziałem, a jakiż byłem szczęśliwy, kiedy mi ją wykładała!

Chłopstwo lubiło ją okrutnie, bo umiała przemawiać im do serca. Wypraszała ich od kar, leczyła choroby, przebierała się w ich suknie i bawiła z niemi. Miała to już do siebie tak, jak i Bzowski.

W sąsiedztwie, w Jaszczurówce było wesele. Komornik ziemski Kłodziński, wydawał swoję

jedynaczkę za pana Pogorzelskiego, podczaszyca stężyckiego, zaproszono i mnie, alem nie pojechał.

— A wy to nie pomyśleliście jeszcze o kobiercu? — zagadnęła.

— Myślę ja i bardzo, gdyby tylko pani mojego serca, skinąć na mnie raczyła.

— A gdzież taka, coby wam ślubować nie chciała?

— A przecież jest.

— Tu w sąsiedztwie?

— Nawet w téj wsi.

Pokraśniała, potém popatrzyła na mnie zdziwiona i uciekła prędko.

Unikała mego spotkania i widać zwierzyła się z tém Bzowskiéj, bo wdowa już nie zostawiała nas razem, a gdy zmuszona była wyjść na chwilę wracała zaraz szybko i patrzała po nas, jakby badając, czy co nie zaszło.

Gniewało mnie to tak, że postanowiłem położyć temu koniec.

Przydybawszy Bzowską, mówię jéj:

— Moja mościa pani—żyjemy w takiéj zażyłości, żeć i sekretu żadnego między nami być nie może. Powiedźcie mi więc otwarcie, myślicie ożenić Szymona z panną Salomeją?

— Ach mój drogi panie Krzysztofie, toż najdroższe moje życzenie.

— A kiedy on o niéj nie myśli?

— A nie znacie to téj szalonéj głowy? Któż

zbadał kiedy, co on myśli. Dziś to, jutro owo. Dziewczę żyje nim tylko i schnie mi, martwi się biedactwo tak, że ani dnia ani nocy spokoju nie ma. Persfaduję i tłumaczę, jak mogę. Możeć Bóg jeszcze na dobre obróci wszystko i pewnie obróci. Mam nadzieję, że za powrotem innym go ujrzę i ustatkuje się pewno.

Każdém słowem swojém krajała mnie, darła pasy.

— Jakże to być może — rzekłem oburzony do żywego — gdyście byli świadkami téj wielkiéj miłości panny sędzianki do Szymona i pozwolili, żeby on żenił się z panną de la Mariniere a potém, gdy się wszystko rozchwiało, wracać dopiero chcecie do dawnego?

— Któż go żenił? Król nieboszczyk—a potém on tak chciał a cóż moje słowa i perswazye zdziałać tu mogły.

— A przecież widziałem, że wasze słowa i persfazye miały swój skutek tam, gdzieście chcieli, żeby miały!

Mówiłem to tknięty i rozgoryczony do żywego.

— Nie może to być, aby panna Salomeja wiedzieć o tém nie miała. Ja to sam jéj powiem.

— Oh, nie czyńcie tego, na miłość boską! Ot, nieszczęście spadło nam na głowy. Zabijecie tém biedne dziecko i sobie nie zgotujecie nic dobrego.

Panie Krzysztofie kocham was równie gorąco, jak mego rodzonego, boś mu był wiernym druhem zawsze—przysięgam ci na Chrystusa ukrzy-

żowanego, że tu zaraz w téj chwili połączyłabym was z rozkoszą, gdyby jéj serce ku wam się skłoniło, boś jéj godzien, bo powiem ci z duszy prawdę, żeś jéj godniejszy od Szymona, bo on się zbrukał już, nieszczęśnik. Ale nie znacie téj dziewczyny — to główka dziwnie rozmarzona a przytém charakteru niezłomnego. Czy wiesz, co uczyniła po jego odjeździe z Ukrainy? Oto rzuciła się w staw. Ledwieśmy ją żywą dobyli ztamtąd. Myślałam, że to — ot kaprys dzieciaka żywego a krewkiego a dziś widzę, że to było prawdą, bo mi powiedziała już tu mało sto razy, że gotowa to samo spełnić.

— A wasze mądre słowa i rady nie są w stanie powoli ostudzić w niej téj szalonéj passyi, bo teraz ja wam przysięgam, że on jéj nie kocha i nigdy kochać nie będzie. Wiem o tém, bo uniesiony zazdrością, podsłuchałem ich, a znając go tak, jak i wy a może i lepiéj od was, jestem to gotów życiem mojém zaręczyć. Nie wiecie, gdzie to duma i szalone marzenia niosą tego człowieka.

— Oh wiem, wiem... przeczuwam, ale dopóki żyję, spełnić mu ich nigdy nie pozwolę... i darujcie matce nieszczęsnéj, zawsze jeszcze myślę, że ona Salomeja swoją wielką miłością i bezgranicznem poświęceniem potrafi przykuć do siebie tego nieszczęsnego człowieka i że przy niéj zapomni tych okrutnych myśli, co go gdzieś pędzą na bezdroża.

— To się nigdy nie spełni, nie łudźcie się —

krzyknąłem wściekły tak. że się przestraszyła.— Natura to samowolna. której nic nie okiełzna. Im więcéj przeszkód. tém uparciéj i silniéj stoi przy swojém. I takiemu człowiekowi chcecie rzucić na pastwę to dziecko? Oh, ale wprzód gromy siarczyste mnie strzaskają. nim na to pozwolę. Powiem jéj — odkryję wszystko — jego rozpustę z jejmość baronową — jego żeniaczkę z Francuzką, niech przecie wié. jak tu o niéj myślano, podczas gdy ona tam łzy serdeczne lała i wysełała westchnienia.

Kląłem, na czém świat stoi i latałem. jak szalony.

— I cóż potém będzie? — rzekła. — Czy się jéj milszym staniesz i czy myślisz, że dla ciebie wyrwie tę miłość z serca i rzuci ją pod twe nogi? Oj, młodzi! młodzi!

— Prawda, prawda Wszak powiedziała mi. że w nic nie uwierzy, cokolwiekby jéj powiedziano, bo go miłuje nad życie.

O Boże. cóż się ze mną stanie nieszczęsnym!

Bo wy nie wiecie, jak ja ją miłuję okrutnie. I to od pierwszéj chwili, gdym ją ujrzał tu, przy progu, w téj chłopskiéj sukmanie, z chustką na głowie. Jam takiéj kobiety nie widział jeszcze w życiu swojém. Oh, matko! pani! To chyba czary jakieś, czy szaleństwo! Ale nie! nie! Jakże to nie miłować takiéj... kiedy Bóg dał jéj tyle... Ratujcie mnie! Wyrzeczcie się swoich zamiarów dla

Szymona... mnie ją dajcie!... będzie ze mną tak szczęśliwą. jak z nikim w życiu być nie może.

Rzuciłem się jéj do nóg a potém szlochałem, ukrywszy twarz w dłoniach.

— Nie rozpaczaj tak synu kochany. a pozwól mi tak się nazywać. Zostawmy to czasowi. Może Bóg pokieruje jeszcze nami tak. że wszyscy będziemy szczęśliwi. Nie nalegajmy na nią—niech ona cię pozna dobrze—niech oceni twoje szlachetne przymioty... A któż wié? bywały nie raz w świecie dziwne zjawiska. Ot, ja sama znałam pannę Zawiszankę, córkę kasztelana owruckiego, co zakochana na zabój w rotmistrzu Paszkowskim, uderzyła się sztyletem w obec ojca. gdy ją chciał gwałtem żenić z Borzęckim starostą pokrzywnickim, a przecież utonął gdzieś ten affekt wielki i była najlepszą żoną i matką.

— To się źle skończy, to się źle skończy! — szeptałem na wszystkie jéj perswazye i zaklęcia.

— Nie trać nadziei mój synu.

Nie dałem sobie nic więcéj mówić. Wybiegłem. dosiadłem konia i poleciałem. jak szalony.

Puściłem lejce.

Zwierzę było przywykłe do drogi. którą tyle razy odbywałem i ledwom się upamiętał, kiedym się przed moim dworkiem obaczył.

Zastałem w domu gościa.

Był nim mój stryjeczny, Karol Scipion. syn Anastazego Scipiona podkomorzego mozyrskie-

go, rodzonego brata mojego ojca—jechał do Lwowa pod chorągiew Firleja.

Dawnośmy się niewidzieli i rad mu byłem z duszy.

— Chciałem cię odwiedzić na nowém gospodarstwie—ale coś mi wyglądasz nie wesoło. Czyś nie chory?

— Ot tak, zakłopotanym tylko. Jedziesz do króla, dobrześ trafił, bo i ja z tobą pojadę.

— A niechże ci Bóg da zdrowie Krzysiu kochany.

— Nie miło mi tu w nowém sąsiedztwie — a żem już dawno ofiarował się umoczyć szablę we krwi kozacko-bisurmańskiéj, toć nie będzie chyba lepszéj sposobności, gdy się pod królewską chorągiew zaciągną.

Na drugi dzień tedy zacząłem się szykować, ale pokazało się, że mi tego brak i tamtego brak. Daléjże jechać do Sandomierza a potém do Lublina kupować to kulbakę, to ładownicę—to znowu pistolety były zepsute. Karol zżymał się—ja się wachałem... i zwlekałem, ze wstydem to przyznaję. (Takiego to nędznika zrobiła ze mnie ta passya), aż też w Lublinie dowiedzieliśmy się, że rozejm stanął.

A jaki to był rozejm—Boże miłosierny!

Haniebny! okrutny!

Z całéj téj okazyi, wyszedł po bohatersku jeden książe Jeremi Wiśniowiecki, który zamknięty w Zbarażu z Firlejem i Lanckorońskim cudów

dokazał i okrył się sławą niespożytą. Od 1 Lipca do 15 Sierpnia odparł srogich jedenaście szturmów ordy całéj i kozactwa.

A król?

Zbity haniebnie pod Zborowem, przyjął warunki hordy. co sromem okryły imię Polski — i to jeszcze szczęście, że za pomocą Ossolińskiego, dało się on rozejm skleić, bo gdyby nie to, zginąłby a wraz z nim i wojsko całe i Rzeczpospolita.

Ciskałem sarkazmem na wszystkich.

Na króla, na wojsko, na regimentarzy, byłem wściekły i szalony. Ten i ów popatrzał na mnie z podełba. ale widząc takiego desperata. splunął tylko i odwrócił się w inną stronę.

— Co tobie człeku. tyś chory?—rzekł Karol.

— Tak chory jestem... Tu... tu... piekło mam w sobie.

— Toż cię zabieram z sobą w mozyrskie... a już my cię tam wykurujemy.

— Bądź zdrów!—krzyknąłem.

Wsiadłem na wózek i kazałem się wieść do... Jurkowic.

Takem znikczemniał. że radbym był. aby wymarł świat cały a my tylko dwoje zostali.

Życzyłem śmierci Bzowskiemu. jego matce i wszystkim. co by mi stanęli w drodze.

To też gdy przychodziły listy od Bzowskiego, nie posiadałem się zgniewu.

Pisywał je to z Siedmiogrodu, to znowu z Wiednia, to z innego jakiego miejsca. a w każdym z nich obiecywał rychły powrót, tymczasem lato się skończyło, zima przeszła i znów zawitała wiosna.

Zamieszkałem w Jurkowicach tak. że do siebie zaglądałem tylko czasem, na krótko i leciałem z powrotem w trwodze wielkiéj, czy mi kto mego skarbu nie wydarł.

Salomeja przywykła już do mnie i do moich częstych wybuchów, przyjmowała je łagodnie i z pewném politowaniem, które ja znowu brałem za objaw jakiegoś affektu z jéj strony.

Pracowałem od rana do nocy wytrwale.

Gospodarstwo wdowy wzrosło, a moje za to dyabli brali, bo siostrzeńczyk więcéj strzelbą się bawił.

Ale co mnie to obchodzić mogło.

Czegóż bym nie zrobił. by zyskać jakąś podziękę.

Wiedziałem, żem przykuty do nich żelaznemi łańcuchy i zrobić ze mną mogą, co zechcą.

Na jedno ich skinienie, gotów byłem z siebie zrobić włodarza, karbowego, masztalerza, parobka, gnojarza. Nie nadużywały wprawdzie téj przewagi nademną, ale korna moja gotowość kazała im liczyć na wszystko.

Przyszły sejmiki.

Trzeba było jechać do Korczyna.

Bracia mnie dosyć estymowała i gdybym był tylko troszkę poforsował, miałbym kresek co wlezie, ale skończyło się tylko na tem, że obrano mnie marszałkiem koła, podyktowano instrukcyą, którą im skleiłem i wymownie, i uczciwie.

Plama Zborowskich paktów piekła naród tak dobrze, jak hańbiąca ucieczka z pod Pilawic — gotowano się téż na straszny odwet.

Mówiono o pospolitém ruszeniu ziem wszystkich.

Wrócił z niewoli hetman wielki Potocki, a po nim zaraz hetman polny Kalinowski, przejęci obaj gorącém pragnieniem zemsty.

Król porwany przez nich drżał do wojny — jeden tylko Ossoliński pokojowo chciał kończyć.

Zakrzyczany téż, zahukany, bezczeszczony przez wszystkich, zmarł, gdy mu do Rzymu kazano jechać.

Zaraz téż Potocki zciągnął zaciężne wojsko pod Kamieniec.

Chmiel pomimo, że wytargował wszystko, co mógł, także o pokoju nie myślał.

Wracającą szlachtę do swoich siedzib na Ukrainie, spotykała tam śmierć straszna od rozjuszonéj czerni.

„Obrady sejmowe odbywają się porządnie i uczciwie, jak nigdy—pisał do mnie Żabicki.—Na wniosek podkanclerzego Leszczyńskiego, usunięto wszelkie materye, samego bezpieczeństwa pil-

nując. Izba poselska jest w zgodzie przykładnéj z Senatem. Radzą dniem i nocą. Król 34 godziny siedział w sali sejmowéj. Uchwalono podatek i pospolite ruszenie. Król proponował zaciężnego wojska 45,000, Wiśniowiecki 60,000 zgodzono się na 30,000. Po Ossolińskim, oddano pieczęć wielką Leszczyńskiemu, a po Leszczyńskim mniejszą Radziejowskiemu, który ją kupił od królowéj. To też gdy mu ją wręczył Jerzy Lubomierski marszałek. nadworny po zmarłym Kazanowskim — w pełnym sejmie rzekł doń te pamiętne słowa: „Nie godzieneś téj pieczęci, boś ją wziął za pieniądze.“ A ten pokłoniwszy się marszałkowi, podziękował takoż królowi i siadł na swojém miejscu.

Takich to teraz Polska dostawała dygnitarzy.

Wracała bracia z sejmu do domów, myśląc o wyprawie a gotowano się do niéj już nie buńczucznie i strzępiasto, jak pod Pilawce, albo niechętnie jak pod Zborów, ale z pokorą i skupieniem ducha.

Gdzieś zajrzał, czyszczono i gotowano broń i zbroję, która od pradziada leżała gdzieś na strychu popstrzona przez muchy i gołębie, jak dowodził ongi pan Tymiński.

Cała Polska zda się poruszona, wzburzona, aż do jelit, gotowała się na straszny bój na śmierć i życie.

Najobojętniejsi i zakamieniałego serca, tak jak ja dzisiaj nie przymierzając, rachowali się z su-

mieniem, bo iść było trzeba. ale nie każdemu wrócić będzie dano.

Po kościołach solenne wotywy.

Konfessyonały pełne.

Zaniechano dawnych uraz, zapomniano krzywd wszelkich.

Godzili się antagoniści, co od wieków w rodzinach wrzeli niepohamowaną zemstą—jak panowie Petrykowscy z Szczurowskimi.

W kościele farnym w Sandomierzu, dwie wrogie rodziny podały sobie ręce w uścisku bratnim, potém wszyscy, jak ich było około trzydziestu, padli krzyżem i przeleżeli mszę całą, prosząc wszystek lud zgromadzony, aby ich deptał, wychodząc z kościoła.

Kajało się wszystko.

Przy konfessyonałach, wyznawano stare zbrodnie i szalbierstwa, jak pan Racięcki, co całe dobra Glinojeckie powrócił wdowie i sierotom.

Starcy, młodzież, dzieci i kobiety w solennych processyach na klęczkach, boso odprawiali modlitwy.

Nie posłyszałeś muzyk żadnych, ani krotochwili, ale przystojne i poważne rozmowy.

Wdziewano włosiennice i zbroje, martwiąc niemi ciało, czasu wielkiego postu.

Missye, odpusty, cuda.

I trzeba, trzebaż było takich gromów i takiéj hańby okrutnéj, aby się rozleniwiały naród otrze-

żwił wreszcie i zakipiał oburzeniem. a potém jął rachować z sumieniem.

Matki nie chciały się przyznawać do synów. co z pod Piławic uciekli, dopóki nie zetrą hańby z czoła zwycięztwem.

Nadszedł wreszcie on rok 1651.

Rok tryumfu i świetności naszego oręża, po tak długim upadku a rok nieszczęścia i rozpaczy dla mnie i bliskich.

Zima była sroga. jakiéj dawno nie pamiętano.

Lud marzł po drogach. albo zjadany był przez wilki, które stadami całemi zaglądały do chat kmiecych. Zaczęto też teraz do nich wchodzić. często dając odzież i jadło.

W Lutym król wydał pierwsze wici.

Ruszono się zaraz na popisy pod Sandomierz. a niesłychane to były rzeczy, żeby po pierwszych wiciach, taką okazano gotowość.

Niebawem nadjechał Bzowski.

Nadjechał niespodzianie. wtenczas, kiedym o nim nie myślał.

Zdało mi się, że jakiś kawał granitu spadł mi na barki.

Myślałem, zagrzęzły w mojéj nieszczęsnéj słabości, że to wiecznie tak trwać będzie i już roiłem sobie, Bóg wié jakie dziwaczne plany.

Obejście jego ze mną, było chłodne.

Nosił się z powagą i pewnością siebie wielką.

O podróżach swoich mówić nie chciał, zbywał je jakimś ogólnikiem.

Zamykał się w swoim pokoju i tam pisywał listy. które Krzemień często wiózł do Lublina.

Chmura tajemnicy zdała się go otaczać.

Gdy zjawił się między nami, miał na ustach zawsze żart jakiś, z którego schodziło się potém na rzeczy potoczne i zwyczajne—o gospodarstwie. o inwentarzu. koniach, psach. polowaniu a nigdy prawie o ludziach.

Była to larwa na licu i duszy.

Raz dał mi do zrozumienia, że sam pragnie się zająć gospodarstwem i że obecność moja, jest tu już całkiem niepotrzebna.

Udałem, żem tego nie zrozumiał.

Kobiety zdumione popatrzyły na siebie, nie dowierzając własnym uszom i mnie się to wydało jakiémś dzikiém i nienaturalném.

Razu pewnego spotkałem Bzowską z Krzemieniem, trzymała go za piersi. przypartego do ściany.

— Gdzieście byli?

— Tego mi się mówić nie godzi a pani wie, że jak ja raz powiem...

— Nic nie wiem nędzniku! ale ci powiem, że jak nie wyznasz wszystkiego, wyrzucam cię natychmiast wraz z twoją Małgośką.

Małgośka była jego córką. którą chłop kochał tak, że byłby gotów dla niéj na wszystko i to było jego słabością.

Tym razem jednak i Małgośka była niczém.

— U Kozaków byliście—gadaj prędko!

— Możecie i mnie, i Małgośce głowę uciąć, ale jak przykazano, tak i będzie.

— Po cóż tu wydobywać z niego to, co samo mówi za siebie—rzekłem.—Czyż nie widzicie, że ten właśnie upór jego na tym punkcie, już jest przyznaniem.

— Ach, to prawda. Tam, tam byli niezawodnie. I co ten nieszczęśnik zamyśla? Ten jego spokój, zatrważa mnie. Nie odjeżdżajcież na miłość Boga.

— Bądźcie spokojni—teraz nie odjadę.

Chłop popatrzał na mnie złowrogo, coś zamruczał a potém splunął i oddalił się.

Wyspowiadał się widać zaraz ze wszystkiego przed Bzowskim, bo jeszcze oziębłejszym, więcéj odpychającym stał się dla mnie.

W innym razie, byłbym takie srogie obchodzenie się, odparł wzgardą, albo i czémś lepszém, ale dziś nie zważałem na to wszystko, bo paliła mnie jedna myśl, jedna żądza, po za którą reszta wydała mi się nic wartą.

Unikaliśmy siebie wzajemnie.

Salunia okazywała mi znów tyle dobroci i jakby afektu, żem w siódmém niebie niby mieszkał.

Byłoż-to wyrachowaniem niewieściej polityki, czy współczuciem dla méj niedoli.

Raz przydybałem ją samą w pokoju i mówię jéj:

— Ot smutki i tęsknota wasza już się skończyły.

— Czemuż to?

— Toć go już macie.

— On nie mój i moim nigdy nie będzie.

Zakręciła się po izbie i wybiegła. A jam został i przeżuwałem, i trułem się jéj słowami, a potém znów najcudniejsze zacząłem roić obrazy.

Wiosna przyszła jakoś szybko, bo zaraz w początku Marca, ciepła chwyciły takie, że zieloność pokryła ziemię.

Wyszły drugie wici.

— Cóż, nie myślisz wyruszyć?— rzekł do mnie Bzowski.

— Mam czas i po trzecich — a ty nie pojedziesz?

— Ja? a jaż tam po co? Tu mi zostać na téj ziemi kawałku i uprawiać zagon. Dziś to mi już tylko zostało. Ale szlachta raźno się zabiera do Kozaków i już nie czapkami zarzucić ich myśli. Pół powiatu już prawie wyludnione.

— Dzięki Bogu.

— Nie podziękowałem ci za twoję opiekę nad kobietami. Darujże mi.

— Robiłem nie dla twojéj podzięki.

— Wiem — dla pięknych oczu Saluni. Zadurzyłeś się w niéj biedaku. Ale podobno na próżno.

Krew mi uderzyła do głowy i chciałem go za gardło chwycić.

— Ja ci jéj mogę odstąpić, ale co ona, to jest taką głupią, że jak raz jednym głowę nabije, nie wybijesz jéj więcéj. Biedna dziewczyna.

Popatrzyłem do koła, czy jéj gdzie niema blisko, aby to słyszéć mogła.

Ta jego pogarda oburzyła mnie.

— No, bądź spokojny — rzekł szydersko — ja cię z nią swatać będę. Toć dla dawnego przyjaciela, można odstąpić dawnéj kochanki. Skwitujemy się przez nią.

W głowie mi się kręciło.

Nie chciałem wierzyć, aby to mówił ten sam człowiek, z którym tyle przeżyłem.

Czyż to był Bzowski?

Prawda, że w mojém sercu zaszły zmiany wielkie, aleć była tam komórka jedna cała, w któréj on mieszkał, jak przed laty.

I odezwała się we mnie ta struna i wydała dźwięk.

— Szymonie!—zawołałem, patrząc nań łzawém okiem.

— Czego chcesz Krzysztofie?

— Co się z tobą zrobiło?

— Człowiek mój bracie, człowiek, co patrzy chłodno na sprawy ludzkie. Dajmy pokój młodzieńczym bredniom. Ty swoją a ja swoją pójdę drogą—skończone wszystko między nami.

— Straszna musi być ta droga, którą iść myślisz, jeśliś dla niéj potargał najświętsze węzły.

— Nie ja mój bracie, los je potargał. Ale co

tam będziemy prawić o tém. Czyń, co chcesz, tylko się w moje sprawy nie mięszaj, bo wiesz, że nie ścierpię tego, a chciałbym, żebyśmy się w zgodzie rozstali.

Wszedł Krzemień, popatrzał na mnie swojém błyszczącém okiem. Coś szepnął Bzowskiemu i obaj wyszli.

Pognałem do domu.

Wszystkiemi drogami ciągnęli pospolitaki.

Spotkałem Bełchackich, spotkałem Szczurowskich, Kobierzyckich, Petrykowskich, Topolnickich.

— Bóg szczęść!

— Bóg prowadź.

— A wy nie z nami?

— Gotuję się. Jeszczeż i pora.

— Tylko patrzéć trzecich wici.

— Król już wyjechał do Lublina.

Aż tu nadjeżdża pan Dębicki ze swojém towarzystwem.

— Cóż to waść myślisz jarzynę sadzić? Jeszczeż zawcześnie. Jedźcie z nami.

— A możeście się zapisali do bractwa zapieckowych?

— Nie może to być — znałem Scipionów rębaczami.

— Ej, czy nie jaka dziewka, trzyma rycerza za kołnierz?

— Nie chcę się rzucić smażonych racuszków.

dla pierogów hetmańskich—szkoda pierzyny dla wojłoku.

Połykałem te szyderstwa — choć burzyło się we mnie.

Zacząłem się rozglądać po mojéj chudobie.

Nieład i rozprzężenie wszędzie.

Chłopstwo jakieś ozuchwalone.

Zjawiły się temi czasy bandy całe żebraków. teorbanistów. lirników i dziadów spiewających.

Jeden ciągnął niedźwiedzia na łańcuszku. drugi prowadził małpę.

Chłopstwo słuchało spiewek, baśni, rozmów a w tém wszystkiem czuć było słowa zuchwalstwa i buntu

W niedalekich Modliborzycach zabili karbowego.

W drugiéj wiosce Sieniuchach za Sandomierzem włodarza. Ujęto wprawdzie przywódzców i ćwiertowano zaraz w Sandomierzu, ale wyrastali inni.

Dwory szlacheckie ogołocone z męży—zostały kobiety tylko, starcy, dzieci, lub kalecy.

Z Lublina król wydał trzecie wici.

Szła już tylko Wielkopolska, Prusy i Litwa, ci, co zawsze najleniwiéj ruszali.

Małopolska i Ruś czerwona stały pod bronią.

Było to w tydzień po przewodniéj niedzieli.

Siedzieliśmy przed gankiem w Jurkowicach.

Wtém od drogi psy zaszczekały, ale raptem

umilkły—potém zaskowyczały tylko i stuliwszy ogony pod siebie, poczęły uciekać.

Zastanowiło to nas nieco.

Cóż to za osobliwy gość nas nawiedza.

Wszedł dziad z lirą przewieszoną przez plecy, stanął na dziecińcu i jął wygrywać i spiewać rusińskie pieśni.

Siwy był, jak gołąb', głos mu się trząsł, ręce drzały. Odziany był w łachmany tak, że litość budził.

— A zkąd ty dziadu?

— Z Polesia panoczku. Wygnali nas psiawiary. Chałupę spalili—biéda.

Wyniesiono mu strawę—siadł pod ścianą i jadł.

Zajęci rozmową z Bzowską, nie zważaliśmy nań wcale, aż tu na raz zewnątrz domu, słyszymy przeraźliwy krzyk Salomei.

— Ha, to on! On, ten szatan i tu?

— Szczo hoczesz?—jakiś głos obcy zawołał.

— Toś ty zbójco najokrutniejszy?... To godzina zemsty Bożéj nad tobą. Chwyć-że tego nędznika! On wymordował moich rodziców i braci.

Dobyłem szabli. Wpadliśmy z Bzowską do pokoju.

Ujrzeliśmy Szymona z papierem w ręku, przy nim stał lirnik strwożony, pomieszany bez brody z rudą głową.

Poznałem w nim Kozaka, który był ongi z poselstwem, co go Fiodorem nazywali.

Poskoczyłem, chcąc go chwycić. ale mi się wywinął. zakląwszy:

— Ha proklataja!

Uszedł prędko. Pobiegłem za nim, ale ścigać go nie było sposobu — wróciłem też zaraz do domu.

— Uspokój się Salomejo — mitygował ją Bzowski.

— Ty dozwoliłeś mu umknąć Szymonie?

— Co to znaczy, kto tu był? — pyta Bzowska.

— Kozak zbójca, o ktorym wam mówiłam, ciotko... Ten... ten, który do ognia wrzucił moich braci. Poznałabym w piekle tego nędznika. Zkąd on tu? Cóż, niéma go?—pyta mnie.

— Uciekł. jak wiatr—rzekłem.

— Kozak? Ten papier przyniósł.

Przyskoczyła do syna i wydarła mu go z rąk. Przeczytała, wydając okrzyk zgrozy.

— Chmielnicki! Wzywa ciebie do buntu, do zdrady? Już czas, powiada? Masz stanąć na czele ludu! Ha, piekło rozwarło się przedemną. Gdzież jest ten zbójca? Coś ty mu odpowiedział synu? Milczysz... i twarz twoja pobladła?... Oh, nędzny spojrzyj-że do zwierciadła, żebyś zobaczył, jak zdrajca wygląda.

— Matko!

— Ha, moje przeczucia! Tyś był w zmowie z nimi synu? I ty się nie boisz bożego gromu Szymonie? Gdzieś wyssał te przeklęte myśli, co ci zatruły duszę? Od dziecka wpajałam w ciebie

miłość ojczyzny świętéj. Więc ztamtąd je przywiozłeś? Więc tam zaprzepaściłeś cześć wszystką i honor szlachecki. Czy to może ze dworu je wyniosłeś? Oh, niechże on przeklęty będzie po wieki.

— Amen—rzekł Bzowski.

— Ha, nędzny ty półgłówku, marzycielu szalony. Teraz cię pojęłam... teraz rozumiem twoje słowa, kiedyś mówił, że ojca dzieło spełnisz. Ojca dzieło spełnisz.. karle nędzny, ty? ty? Ty podejmujesz wielkie zamiary Władysława, który tron swój odarty z blasku i chwiejący się chciał podeprzéć—kiedy myślał w Kozactwie zyskać potężnego sprzymierzeńca, ażeby dumie rogów przytrzéć. Ale wiedz, że to, co wielkiemu przystało, w maluczkim jest zbrodnią i hańbą wieczną.

Chcesz być narzędziem okrutnika Chmiela? Chcesz podnosić bunt, aby jemu pomagać? Nędzniku ty... dla takich topór kata lub szubienica, a nie laur na czoło.

— Zobaczym.

— Słuchaj-że wyrodku! nim przestąpisz próg tego czystego domu, ja matka na progu się tym położę i po trupie moim pójdziesz a pamiętaj, że jeszcze i z po za grobu przekleństwo moje grzmieć będzie.

— Niech grzmi i piorunami wali!

Blada, chwiejąca się padła na kolana.

— Boże mój, jakże mnie srogo karzesz, za błąd życia biednego. Boże mój, czyż nie wycierpia-

łam tak wiele? Czyż nie odpokutowałam? Ty doświadczasz panie biednéj grzesznicy. Oh, odwróć ton cios straszny, bo go serce nie wstrzyma.

I padła, uderzając głową w posadzkę, podobna do trupa.

Krzyk przeraźliwy Salomei—mój ratunek prędki powróciły ją do zmysłów.

Bzowski stał nieporuszony.

— I ty możesz spokojnie patrzéć na to? — rzekłem.

— Nie zlitujesz się nad matką okrutny człowieku?—rzuciła mu Salomeja.

— Oh, widzisz dziewczę biedne, jak mnie dotyka Bóg, żem praw jego świętych poszanować nie umiała. Szłam za serca popędem zawsze. Całą miłość moję włożyłam w ten wyrodny owoc występku. To kara, kara sroga, która prędzéj czy późniéj przyjść musi.

I rzuciła się znów na ziemię, łkając.

Bzowski przystąpił do niéj.

— Powstań matko, bo każda łza twoja na duszę mi upada. Będę ci posłusznym.

Popatrzała nań długo, jak gdyby mu do duszy zajrzéć pragnęła.

— Dzięki ci—rzekła.

Podnieśli ją z trudnością i ułożyli na krześle.

— Zdało mi się, żem już była bliską śmierci. Oh Szymonie, nie dręcz mnie więcéj, bo drugi raz już tylko trupa podejmiesz.

— Syn wam wrócony ciotko—rzekła Salomeja,

patrząc badawczo w twarz Bzowskiego — i już więcej cierpień wam nie zgotuje.

Bzowski stał ponury i milczący, wreszcie rzekł:

— Stało się. Umieraj na śmieciach nędzy wróblu, coś marzył o orła locie.

Zaturkotało na dworze.

— Co to jest! jakieś wozy, jacyś jeźdzcy zsiadają z koni?

— Goście — o jakże nie w porę! — mówi Salomeja.

— Przyjąć trzeba—rzekła Bzowska.

Do izby weszli: Pan Wypyski, Majdel, niegdyś nasz kollega i dwóch szlachty.

Prędzéjbyśmy śmierć spodziewali się zobaczyć, aniżeli tych ludzi.

Pan Wypyski poważny, jak gdyby dźwigał na barkach pół rzeczypospolitéj.

— Pokój temu domowi!

— Witam panią dobrodziejkę tego... jakże ten... zdrowie? Ha i kochany pan Scipio tu?.. tego... to chwalić Boga... Już myślałem, że was nie tego...

— Góra z górą się nie zejdą panie starosto, ale ludzie jakoś...

— Nie nazywajcie mnie tego... starostą... jam dziś chorążym tylko...

— Witaj Szymonie—krzyknął Majdel.—Witaj Krzysztofie.

— Ty tu?—rzekł Bzowski zdziwiony.

— Zkądże to zdziwienie, myślałeś, żeśmy już zapomnieli o tobie?

— Daruj, myślałem, żeś do innych podobny. Witaj mi sercem całém.

— A cóż to tego... myślicie ten... żeśmy wszyscy Judasze... Że nie umiemy tego... poczcić człowieka?

— Jéjmość pani dobrodziejki pokorny sługa— rekomendując się, rzekł Majdel, który był i wygadany i komplemencista straszny.—Niegdyś dworzanin króla jegomości nieboszczyka i kamrat jéj zacnego syna.

— Bardzom rada.

— Dziś pospolitak — prawi daléj — a da Bóg przyszły rotmistrz chorągwi pancernéj, jeżeli Bellona uśmiechnie się łaskawie. — Potém dodał, rekomendując tamtych:

— To panowie towarzysze. Imć pan Andrzej Tomaszewski, Imć pan Sylwester Bogusz.

— Witam zacnych panów. Raczcież się rozgościć. Panna Salomeja Krzysztofowiczówna, sędzianka stężycka.

— Ładny buziak, ale smutna — rzekł do mnie Majdel.

I w tym domu przed chwilą, taką straszną żałobą okrytym, zawrzało życie, jakiego jeszcze w nim nie widziałem.

— Tandem, mój zacny Szymonie—prawił wciąż Majdel — zrzuciłem dworskie suknie. Po twoim odjeździe obmierzły mi. Miły Boże. Pozwólcie

wielce szanowna pani, że wam ucałuje ręce z afektem wielkim i estymą, żeście takiego syna dali światu. Słuchaj Szymonie. Czciłem cię i kochałem więcéj, jak brata zawsze, boś był dla nas niedoścignionym wzorem— ale od chwili, jakeś pożegnał tą przemową naszych paniczów dworskich, powiedziałem sobie: To człowiek, z którym żyć, nie umierać. I o to napisawszy dictum panu ojcu, odziałem się w zbroję i hajże na koń, do ciebie. Po drodze spotkałem kollegów z jezuickiéj ławy. Dokąd panowie bracia? W świat, pod Lwów do króla jegomości i na Kozaków. Czekajcie, mówię im, jeszcze najdzielniejszego pomiędzy nami niema. Zabierzemy go z sobą. Jeżeli wola za mną. No i jesteśmy. W drodze pan Wypyski się nawinął.

— Rad wam z duszy—rzekł Bzowski.

Stroskana matka przed chwilą, promieniała cała z radości.

— Bóg was natchnął młodzieńcy. Szymonie, to promień słońca w naszéj smutnéj siedzibie. Błogosławię was dzielna krwi. Zabierzcie moje ukochane dziecko. Modlitwy matki za wami pójdą. Saluniu, trzeba nam nakarmić tych rycerzy.

— Długo popasać nie będziemy, bo tam potrzeba woła.

Zostawiłem bandurzącego Majdla, który się przyczepił do Bzowskiego, jak pijawka, a wzią-

łem się do pana Wypyskiego, który stał na uboczu. chrząkał i wąsa gładził.

— Co się z wami działo panie?—pytam go.

— At nie pytaj mnie waść tego... Wlazłem w błoto paskudne, z którego ten... właśnie oczyścić się tego... wystawiłem chorągiew... czeka w Lublinie... a jam tu tego... wstąpił do was i do pana Bzowskiego w interessie.

— No, no, mówcież proszę.

Zaczerwienił się trochę i zaczął jąkać coraz więcéj.

— Widzicie tego... wystawiłem moim kosztem chorągiew ten... połowę fortuny mi to... tego... ale nie żałuję, boć dla ojczyzny ten... Umundurowałem pięknie... kolorem tego województwa. Proporzec piękny hatłasowy złotem tego... koń jeden w drugiego, jak z jednéj kobyły... Ludzi zaciągnąłem ten... rozmaitych... Są tam tego... Niemcy... trzech Holendrów... czterech Anglików... nawet Hiszpanów tego... dwóch. Otóż to... z komendą biéda... Do moich chłopów dobrze... ale tego... z temi dyabłami ani w ząb. Toć to pan Bzowski umié tyloma językami... Możeby pojechał z wami i ze mną tego... do Lublina... zlustrował mi ten... a przytém chciałbym i do króla podać tego... w kilku językach... żeby to i cudzoziemcy wiedzieli, że ja tego... wystawiłem... a potém jejmość pani Bzowska ma tego... u króla pono względy... może mi ten... da list jaki.

Ażem się spocił.

I po to ten człowieczysko przywlókł się tu z Lublina. Niepoprawiona bestya!—pomyślałem sobie.

Majdel znów szermował językiem:

— No Szymonie, widzę troskę na twojém czole. Opłakaliśmy razem śmierć wielkiego króla, a teraz bić się będziemy. Patrz! jak nas widzisz, mamy dobrą swadę, bo ci dwaj towarzysze choć teraz milczą, ale gdzie trzeba, gęba im się rozwiąże... a potém, mam ja dużo przyjaciół i krewniaków w obozie... poczniemy huczek i ciebie w kole rycerskiém zrobimy naszym regimentarzem.

Bzowski się kręcił na stołku, jak wąż, nie wiedział, co im na to odpowiedzieć, gdy weszła Salomeja a za nią służba z jedzeniem i piciem.

— Spełnijcież toast panowie za pomyślność waszéj wyprawy—rzekła Bzowska.

— Niechże nam nadobne rączki jéjmość panny sędzianki naleją... a potém jéj usteczka go dotkną i uśmieszek okrasi.

— Ja śmiać się nie umiem panie rycerzu.

— W tym wieku?

— Tak, zapomniałam. Lecz wzniosę toast zemsty na wrogów naszych, a ktokolwiek ich oszczędzi, niech przeklętym będzie.

Wzniosła kielich i błysnęła oczyma a była cudnie piękną w téj chwili.

— Tak. niech będzie przeklętym!—podchwycił Majdel.—Animusz wasz piękna panno. nawet tchórza męztwem ożywić by potrafił. Na Marsa i Junonę! lubię takie niewiasty. Człek w tém lokajstwie dworskiém, zapomniał już, jak wyglądają nasze Polki. Cześć wam zacna panno. Gdyby nie potrzeba, która tam larum do nas podnosi i dążyć każe bez wytchnienia. to moja poetycka wena, wdzięcznyby pean dla was wyspiewała. Pozwólcie więc. że za powrotem da Bóg szczęśliwie, nie omieszkam u stóp waszych go złożyć.

— Przyjmę z wdzięcznością—odrzekła.

I kielich poszedł z rąk do rąk i wesołość zakwitła na twarzach i Bóg wié, na czém byłoby się skończyło wszystko—a pewno na dobrém, gdyby nieszczęście nie czekało pode drzwiami.

Jakoż weszło.

Był to wojski, staruszek a za nim czterech pachołków, trzymających skrępowanego Kozaka Fiodora.

Dreszcz nas przeszedł po skórze.

Bzowska zbladła straszliwie.

Salomeja wykrzyknęła.

Wszyscy powstali zdziwieni.

Pan Drewnoski, jowialny ongi i żartobliwy miał minę srogą—sztywny, wyprostowany z czekanem w ręku.

Oczyma rzucał po izbie, jak gdyby kogo szukał,

popatrzał na Bzowskiego, który wzrok wlepił w ziemię—potém wyrzekł z powagą:

— Czołem panowie bracia!

— Czołem.

— Jestem wojski téj ziemi. Widzę tu dorodne grono rycerzy młodych. Dokąd ciągniecie panowie?

— Do króla—była odpowiedź.

— Szczęśliwsi od nas, co zostajemy doma, — ciągnął stary grobowym głosem. — Powiedźcie królowi jegomości, niech bije zdrajczych synów, ale niech i do nas wraca, byśmy tu życia niepewni. Ot patrzcie, jakiego złapałem ptaszka.

I poprowadził Fiodora naprzód izby.

— Kozak!—krzyknął Majdel.—To ten, pamiętasz Krzysztofie?

— Tak— rzekłem ponuro—ten.

Poznać go można było od razu, choćby w piekle, kto go raz jeden widział tylko. Taką miał gębę niecnota.

— Więc go znacie?—rzekł wojski—Tém lepiéj. Dacie zeznanie swoje o nim w grodzie. To szpieg Chmielnickiego. Ten niecnota *fomentuje* lud do buntu, ale lud nasz poczciwy. Ujęto go w téj wsi —a wczoraj sołtys z Nadarzyna przyniósł mi noże, które odebrał chłopstwu. Noże święcone. jak mówił. Tego hultaja widziano, jak niedawno był w tym dworze. Wszedł tu z przyprawną brodą, jak starzec z bandurą na ramieniu—a wy-

szedł takim. jak teraz, snać jej zapomniał w pospiechu.

— Wielki Boże!—szepnęła Bzowska.

— Czy wy zacna pani, albo ktokolwiek z domowników, widzieliście tego niecnotę? Raczcież mi *sponte nun coacte* opowiedzieć wszystko. Sprawa to gardłowa. Straszniejszy to wróg dla nas, aniżeli ten, co w otwartém polu czeka.

— Na gałąź łotra! — krzyknięto chórem przez gości.

— Na gałąź pójdzie, nie on jeden. Wspólników jego śledzić trzeba. Strasznych dożyliśmy czasów—tam wojna otwarta. tu skryta, zdradziecka. Idziecie walczyć rycerze, a tu na żony wasze, siostry, oblubiennice, czycha nóż morderczy. Dopóki tedy zbrodzień ten nie pójdzie *ad forum competens*, po raz drugi was zapytuję, czy widzieliście tego człowieka?

Nastała ponura cisza.

Wojski patrzał złowrogo w twarz Bzowskiego. który milczał, jak skała.

— Nikt go nie widział w naszym dworze—rzekła Bzowska, drżąc cała — a i cóżby on tu miał do roboty! Musiano wam mylnie powiedzieć panie.

— Kiedym go prowadził przez wieś, dwoje sług waszych opowiedzialo mi, że przed chwilą był we dworze i rozmawiał z waszym synem pani.

— Oh męko!—szepnął Bzowski.

— Szymonie...

— Pokaż im papier matko, po cóż téj męczarni!

— Nieszczęsny, czy śmierci mojéj pragniesz?

I znowu cisza, któréj każda sekunda była wiekiem.

Przemówił wreszcie Bzowski:

— Człowiek ten wszedł tu, udając żebraka; dałem mu jałmużnę — a że mnie mowa jego uderzyła, pytałem go, z których okolic — i oto wszystko.

— Ten człowiek oddał wam pismo, — mówił niezbłagany i twardy wojski.

— Boże wszechmocny, jakiż zły duch podpatrzył!... Szymonie panuj nad sobą, boś zgubiony— mówiła matka, ściskając jego rękę.

Bzowski już się burzyć zaczynał — ta cisza i oczekiwanie łamały go, jak tortury.

— Żadnego pisma od niego nie odebrałem— rzekł z gniewem.

A wojski po swojemu.

— Znaleźliśmy przy tym hultaju listy Chmielnickiego do Rakoczego, w których mówi o takiém że piśmie do was.

Tu już się pohamować nie mógł.

— Ha więc tak—wrzasnął niecierpliwie.—Ten człowiek przywiózł mi list od Chmielnickiego hetmana Zaporoża. Matko, oddaj mu ten papier. Po cóż dłużéj to udawanie!... Wszakże jeszcze nie spełniłem tego, czego żądają po mnie. Niech-że czytają to pismo, którego ja nie wywołałem. Czyż odpowiedzialny jestem za czyny cudze?

— Oh synu, coś ty uczynił!..

— To, co każdy na mojém miejscu uczynić by powinien. Daj matko.

Wydarł jéj pismo i oddał wojskiemu.

Przez ten czas spoglądaliśmy po sobie, bladzi, do trupów podobni, w oczekiwaniu niemém. Bzowski tylko szyderczo się uśmiechał.

Wojski przeczytawszy list w milczeniu, wykrzyknął:

— Horor! Zdrada straszna, jakiéj w Polsce nie było jeszcze. W imieniu króla i rzplitéj kładę areszt na twoję osobę, Szymonie Bzowski.

— Na koń panowie! nie nam tu miejsce—krzyknął wymowny przed chwilą Majdel, a wszyscy za nim runęli we drzwi.

Bzowski zaczął się śmiać.

Był to śmiech, w którym jak gdyby piekło całe słychać było.

Był strasznym.

— Ha! ha! ha! ha! Przednio! Lada warchoł potrafi zachwiać temi pustemi mózgami. Nie pytają o przyczyny. Potępić to, co przed chwilą jeszcze wielbiono, to u nich tak łatwo, jak zmienić koszulę na grzbiecie.

Potępionym za cień, co z wysokiego dębu na mnie pada. Potępionym o wiatr, który mnie owiał.

Niech tak będzie.

Szanuję cię, ty nieubłagane fatum, które mnie wytrwale prowadzisz drogą przeznaczenia.

Przebyty Rubikon.
Wolne mam ręce nareszcie!...

KSIĘGA SZÓSTA.

Trudne do uwierzenia rzeczy poczęły dziać się na świecie.

Zda się Lucyper wypuścił wszystkie swoje piekielne zastępy. na biedną naszę ziemię, aby nas nękać i gryźć do żywego.

Jak owa Pandora grecka. z której pudełka wysypały się wszystkie nieszczęścia na ziemię, tak i u nas wróżka jakaś podobna do niej rzuciła nam je pełną garścią.

Pod Tarnobrzegiem przewiozło się około dwóch tysięcy ludzi, niby zbiegów z Ukrainy.

Szli oni Powiślem w górę rzeki, potem skręcili na prawo i znikli w Wężownickim lesie.

Gdy ich pytano zkąd i za czém idą, odpowiadali. że uciekają przed pogonią Kozacką do Wielkopolski, bo tu już nie są bezpieczni, a opowiadania swoje ubarwiali straszną grozą potęgi Chmielnickiego i zapewniali, że lada dzień stanie w sercu Polski.

Cała ta banda usadowiła się w głębi lasu. rozesłała wszędzie na skraje szpiegów. aby znać dawali. gdyby się zbliżyła jaka żywa dusza. co by ich podejść mogła.

Dwóch mieszczan, jadących ze Staszowa do Koprzywnicy przez las, powiesili—a żyda jadącego z chłopakiem z Bogoryi za handlem, ćwiartowali. Wymknął się chłopak żywy i przyleciał do Sulisławic, roznosząc trwogę, że Chmielnickiego kozacy usadowieni w Wężownickim lesie rżnąć i ćwiartować będę.

Postrach powiał po okolicy.

Podstarostowie grodowi, sędomierski i korczyński uzbroili na prędce ludzi, co się dało i posunęli ku Wężownicy.

Tymczasem w lesie odegrała się taka komedya.

Wszystko to, co wlazło do onego lasu, przeistoczyło się na raz w innych ludzi. Więc tedy poprzebierało się za baby, za księży, za żebraków, za handlarzy, za żydów, za żołnierzy i rozbiegło na cztery świata strony, siejąc rabunek, pożogę i pociągając lud do buntu, a udawać się umieli za różnych ludzi wybornie, jak to mieliśmy świadectwo na Fiodorze.

Gdy podstarostowie weszli do lasu z milicyą, nie znaleźli już nikogo, prócz gajowego, który siedział na pół żywy na wysokiéj sośnie i opowiedział im to wszystko.

Wydano surowe rozkazy do sołtysów, wójtów, ławników, aby każdego przybysza do wsi, czy do miasta badali pilnie, rewidowali, a gdy się okaże podejrzanym stante-pede karali śmiercią na szubienicy, nie odnosząc się wcale do grodów.

Zaczęły się sądy, jak w Osieku, gdzie za winne-

go kowala wieszano dwóch ślusarzy a tymczasem z dnia na dzień przychodziły wieści, od których skóra cierpła.

W okolicach Piotrkowa i Wolborza, zatruto studnie i stawy—ludzie nie byli pewni ani dnia, ani nocy.

Dwory szlacheckie ogołocone z panów, stały otworem na łasce chłopstwa, które z dniem każdym stawało się zuchwalsze, jakby tylko czekając umówionego hasła, aby się rzucić na swoich chlebodawców.

W Wielkopolsce szczury te grasowały straszliwie a przystawała do nich nawet szlachta uboższa, łakoma łupów, bo oto schwytano niejakiego Kułakowskiego, szlachcica z Sieradzkiego, który na mękach zeznał, że wysłannik Chmielnickiego Piotr Grzybowski wertuje ochotników, obiecując łupy wielkie i nagrody. Każe on swoim ludziom chodzić po jałmużnie i dwory szlacheckie szpiegować, o dostatki pytać i chłopów buntować, zwłaszcza tam, gdzie zwierzchność ciężka, jak między Poznaniem i Międzyrzecem.

A cóż dopiero działo się za Wisłą, nad Sanem i Bugiem...

Spalono Bełz i zamek ciechanowski.

Dowodził tam Jachowski, który całe gromady szpiegów wysełał do Jarosławia, Lublina, Krakowa i Zamościa.

Rozpuszczali wieści, że Kozacy wszystko w pień wycinać będą, bo król złamał przysięgę na zgodę.

kto zatém ginąć nie chce, musi pójść razem z nimi.

Cały lud rusińskiego obrządku był już gotów do buntu.

U nas znów urosła baśń, że szlachta lud chce wytępić, podnosząc rokosz przeciw królowi, że zatém Kozacy spieszą na pomoc królowi i chłopstwu.

Powtarzano to głośno nawet.

W niektórych wsiach ustały całkiem robocizny, rozbiegło się wszystko po lasach, a gdzie niegdzie świeciły już łuny pożarów.

Groziła nam zagłada.

W razie przegranéj bitwy, wszystko to miało się rzucić i nie zostawić, jak kamień na kamieniu.

Kobiety, wyrostki, starce i co tylko żyło a udźwignąć mogło żelazo—czuwało.

Lecz krucha to była obrona. Cóż znaczyć mogły nawet zastępy wojsk wobec tego wroga, który z chytrością czyhał na życie w każdém miejscu i w każdym kącie, skryty, niewidzialny. Co znaczyć mogło wszystkie śledztwo, wszelkie ochronne środki, gdy służba wszystka i domownicy podczas czuwania podać ci mogli zamiast jadła i napoju truciznę a podczas snu zadać śmierć po tysiąc razy.

Słano wieści do obozu, ale cóż za pomoc tamci dać mogli, mając przed sobą wroga równie strasznego, bo 350,000 armią czerni i ordy przeciw

100.000 naszego wojska, wraz z pospolitem ruszeniem.

Dało im to jedynie przeświadczenie, że Chmielnickiego zwyciężyć trzeba, bo inaczéj już niema po co wracać do domu.

Sprawa Polski ważyła się na włosku.

I tym aniołem strasznym niszczycielem w samém sercu rzeczypospolitéj miał być Bzowski.

On to miał poprowadzić chłopstwo w bój, przeciw swym panom i władcom i stworzyć nową Polskę.

Na drzewcu złamanego królewskiego sztandaru, miał zawiesić czerwoną chorągiew rzezi i zniszczenia.

Marzenia dumnéj głowy oblekały się w ciało.

Zatrute serce jadem goryczy miało wydać swoje owoce.

Jakie były układy, jakie plany między nim a Chmielnickim, tego nikt nie wié i nie dowié się, chyba na ostatnim dniu sądnym.

Musiały one jednak sięgać wysoko, kiedy tak pociągnęły tę wichrowatą głowę.

Patrzyłem na straszne walki, jakie wrzały w duszy jego. Widziałem ich prawie, tych dwóch demonów złego i dobrego, co się w nim borykały a czułem téż ową fatalną dłoń przeznaczenia, która go wiodła raz obraną drogą nieszczęścia.

Pchało go do niéj wszystko, — i ludzie, i wypadki.

A ja miałżem siły, aby go z niéj zawrócić?

Nie miałem — a na dobitek i tu, demon jego nieszczęścia, stawił mi na drodze dziewczę, które zbudziwszy we mnie szał miłosny, zażegło zarazem nienawiść przeciw niemu i przyjaźń naszę, tak świętą, tak czystą niegdy, rozerwało na wieki.

W duszy tego człowieka odbywało się powoli, ale skutecznie zamieranie wszelkich cnót i szlachetnych poruszeń, jakich był zasób niegdy wielki, a wzrastała nienawiść, co go parła do złego silnie.

Mimo to, gdyby choć trochę większy przybył mu rzecznik w dobrém, byłby zwyciężył, bo już na prośby i łzy matki, chwiać się zaczynał — gdy znów fatalność sprowadziła Wojskiego.

Staruszek dumny swém powodzeniem, że to pojmał takiego niebezpiecznego człeka i zalał ogień, w samym jego zawiązku, jak mówił, gotów był wszystko poświęcić, byle godność swego urzędu zachować wysoko przed światem.

Rozporządzać się też zaraz począł w Jurkowickim dworze, z całą surowością praw, jakie mu przysługiwały, *ex re* urzędu i ważności tak wielkiej sprawy.

Otoczyć kazał dwór do okoła zbrojnemi pachołki.

Mnie zlecił natychmiast wyjechać, by nie mieć żadnych styczności z podsądnym, a być gotowym na wezwanie grodu.

Pozamykał wszystko i klucze zabrał do siebie.

Rozpisał listy do króla, starosty i wojewody. żądając sił zbrojnych.

Bzowski wciąż śmiał się tylko szydersko, co starego wprawiało w gniew wielki.

Bzowska zaniemogła wielce i nie chciała widzieć nikogo.

Czuwała nad nią Salomeja.

Krzemień tylko chodził z kąta w kąt. a przypatrywał się bacznie i przysłuchywał wszystkiemu, potém jak pies położył się, przy nogach swego pana. gotów na każde jego skinienie, z wlepionem w niego bacznie okiem.

Gdym wrócił do siebie i obejrzał po moich czterech kątach, taki mnie zdjął żal straszny, taką nudę, taką pustkę uczułem w duszy, że choć z kamieniem u szyi, do wody.

Byłem sam na świecie. jak ten palec.

Straciłem przyjaciela, com go kochał tak długo.

Miłowałem bez nadziei.

W świecie zawierucha straszna, jakby dzień sądu był bliski.

Ani zwierzyć się, ani użalić przed nikim.

Wszystkie zda się pragnienia mojego życia szczęśliwego, spokojnego, zdruzgotane na wieki.

Coż czynić!...

Pójść i zginąć tam, gdzie zginie tyle tysięcy lepszych odemnie.

I już z tą myślą się nie rozstawałem.

A zginąć chciałem tak gorąco, żem się przygotował, jak dysponowany na śmierć.

Napisałem testament i opieczętowany zostawiłem w skrzyni, robiąc dziedzicem mego siostrzeńca z różnemi legatami sługom i powinowatym. Napisałem listy do Salomei i Bzowskiéj, które miały być oddane po wyjeździe moim. Opisałem całą sprawę Bzowskiego, gdyby zażądano zeznania mego w grodzie, przy jego processie i przyłączyłem do testamentu. Pożegnałem Stanisława i sługi moje wierne, jeszcze po ojcu, opatrzyłem broń, siadłem na konie i z moim starym pachołkiem, Anastazym Strzygą, puściłem się w drogę.

Ale nie minie cię, co znaczono tam gdzieś w górze.

Przejechawszy Gniewoszowice, w którychem się zatrzymał godzin parę u sąsiadki pani Borzymowskiéj, chciałem minąć Koprzywnicę i puścić się na Sosnyczany. Samborzec, gdziem chciał odwiedzić pana Strojnowskiego, podkomorzego sandomierskiego, krewnego mego po matce, Andruszkowice, do Sandomierza — wtém gdy już zjeżdżam z drogi głównéj w las, coś mi kulbaka nie równo siedzi, jak gdyby popręgi źle zapięte. Zsiadaj, wołam do Nastka, poprawiaj... i klnę bestyą czeladnika, na czém świat stoi, bo mi ta mitręga wydała się złą wróżbą, zwłaszcza przy rozstajnéj drodze... aż tu w całym pędzie leci

wózek, a na nim niewieścia jakaś postać w chłopskiéj świtce... przyglądam się... Salomeja.

— Co się stało? dokąd jedziecie?

— Was gonię. Chodźmy w las, opowiem wam wszystko. To opatrzność czuwa nad nami, żem was przecie dogonić mogła.

— Tak—rzeknę — gdyby nie moje siodło źle zapięte, nie bylibyśmy się spotkali.

Wyglądała tak, jak w ów pierwszy dzień naszego spotkania. W twarzy tylko palił się jakiś dziki ogień i energia.

— Szymon uciekł z Krzemieniem i Kozakiem, wojski zabity, ciotka umarła.

Wymówiła to wszystko jednym tchem.

Stałem, jak piorunem rażony.

— W nocy napadnięto dwór. Wszystkich pachołków wojskiego pomordowano. On sam legł, broniąc więźnia. Bzowski dosiadł konia... miał jakieś drzewce w ręku i krzyknął: „Prowadź przeznaczenie! Witajcie sny młodości! Żegnajcie ciernie i głogi! W bój ze światem!“ Więcéj dosłyszeć nie mogłam, bo pobiegłam do umierającéj ciotki.

— Nieszczęsny!

— Nim skonała, musiałam jéj przysiądz, że pójdę za nim wszędzie i wrócę go ojczyźnie. Nie pozwolę mu spełnić téj zbrodni ohydnéj. Choćbym nie była przysięgła, poszłabym z własnéj woli... bo powiedźcież, możnaż się dziś lepiéj za-

służyć narodowi. możnaż dopuścić, aby ten nieszczęśnik niósł na hazard swoję młodą głowę?

— To prawda — rzekłem — i wy chcecie tego dokonać?

— Z wami.

— Ze mną? Jam tego niezdolny. Spieszę zanieść życie tam, gdziem już dawno być powinien.

— Tu stokroć większa czeka ciebie zasługa. Słuchaj Krzysztofie, wiem, że mnie miłujesz, a ja nieszczęsna złamana bólem strasznym, potem ukołysana zwodnemi wspomnieniami jego przysiąg i zaklęć, w które wierzyłam niezłomnie, odtrącałam twój afekt, bo on, on tylko, Szymon promieniał mi zawsze w duszy. jako bohater, jako mściciel rodziny mojej, jako zbawca i Bóg nie wie kto. Co się roiło w mojej biednej głowie, tego ci opisać nie umiem. Wszystkie doskonałości, wszystkie wielkie cnoty, co zdobią męża, widziałam zawsze w tym człowieku. Nieszczęsna to już natura nas dziewcząt. że gonimy myślą w nieziszczone jakieś światy i lubimy sobie stwarzać niebywałych bohaterów. Jam może w tem była większą, jeszcze od innych. Ale czyż nie miałam powodu tak myśléć? Powiedz, powiedz Krzysztofie, coś mu był zawsze druhem i przyjacielem, dla którego nie miał nigdy tajemnic, czyż nie obiecywałeś sobie wiele po tym człowieku?

— O tak, bardzo wiele.

— Oboje byliśmy owładnięci tym urokiem, bo

i kogóż by nie ujął! Przebacz mi to. Dziś straszna rzeczywistość, rozwiała wszystkie te mary. Dziś jam wolna od nich na zawsze. Słuchaj! do nikogo więcéj należéć nie będę, jak do ciebie, będę ci sługą, niewolnicą, wszystkiem ci będę, tylko pójdź, pójdź ze mną w pogoń za tym człowiekiem.

I objęła mnie rączkami i zawisła u méj szyi, patrząc błagalnie w twarz moję.

Serce mi biło, jak młotem. Czułem jéj oddech, od którego pokraśniałem, jak wiśnia pod tchnieniem słońca a przecież pomysł jéj cały wydał mi się tak dzikim i nieprawdopodobnym, a przytém tak bezużytecznym, żem odrzekł:

— Biedna dziewczyno, jak marzyłaś, tak i marzysz dotąd. Cóż my poradzić możemy? Czyż nasze słowa zaważą co dla niego? Dziś? On wyszydzi nas tylko.

— Tu nie słowa same, tu czynów trzeba, Krzysztofie. Jakie one będą nie wiem jeszcze. Będziemy wspólnie o nich myśléć. Będziemy radzić a tymczasem w pogoń za nim.

— Gdzie, dokąd?

— Oh, wiem gdzie i dokąd. Głupi wojski, nie zdobyl się na czyn tak prosty, aby po uwięzieniu go, przetrząść jego szkatułę. Ja to sama zrobiłam. Patrz, czytaj!

Wydobyła mi z za sukmany papiery, były to li-

sty Chmielnickiego. listy Rakoczego, listy pułkowników Kozackich.

Co za piekielny plan!...

Bzowski miał zrebelizować górali tatrzańskich i wraz z Rakoczym uderzyć na Kraków, podczas kiedy Chmiel będzie szedł na Warszawę.

— Gdzież spieszniejszego trzeba ratunku? Tam król z pospolitém ruszeniem niech bije wroga a my tu świadomi piekielnéj machynacyi, musiemy postawić jéj zaporę. Jak? Bóg nas natchnie.

— Mały, mały nasz rozum i słabe nasze ręce Salomejo. Mamyż za sobą jakie siły, co by stawiły tamę temu strasznemu potokowi, co się rozlał po całéj Polsce. Czém go powstrzymamy? Ten niegodny człowiek, ozuchwalony dziś tyle, że podepcze nogami wszystkie nasze prośby i zaklęcia i nie cofnie się z raz obranéj drogi. Oh, ty go nie znasz biedna dziewczyno. Puść mnie, niech idę do króla bić wroga. Gdy tamtych pobijem i temu podołamy. Czekaj mnie, wrócę zwycięzcą i oddam ci krew i życie moje, bo cię miłuję nad wszystko, a jeśli zginę, módl się za mną. O tamtym zdrajcy zapomnijmy na wieki.

— Oh, człeku małego ducha, i ty powiadasz, że mnie miłujesz? I tož jest miłość? Pozwolisz— że mnie biednéj dziewczynie saméj jednéj rzucić się, między zastępy zbójców okrutnych, bo przysięgam ci na prochy moich rodziców, że pójdę choćby do piekła, aby ratować ojczyznę od strasznéj zagłady, którą ten człowiek dzierży w rę-

ku. Pytasz, jak mu podołam? A nie wiesz o tém, że w świętéj sprawie Bóg kieruje nieraz słabą dłonią niewiasty i powala olbrzymów, nie wiesz, że czasem marne ziarnko piasku powstrzymać może obrót całego koła. Wejdę wszędzie, wśliznę się, jak mysz, jak padalec wpełznę i powstrzymam cios, który będzie chciał wymierzyć w serce ojczyzny. Pójdę za nim, choćby do piekła.

— Pójdziesz, bo go kochasz zawsze!

— Ja?

— Tak, nie zwiedziesz mnie Salomejo. Miłość to, miłość nieszczęsna pędzi cię za tym okrutnikiem, bo ona silniejsza w tobie od rozumu, silniejsza od cnoty, od wszełkich szlachetnych uczuć ludzkich.

— Słuchaj! Przysięgnę ci tu na Chrystusa ukrzyżowanego, że w chwili kiedy udaremniemy wszystkie jego zamysły, oddaję ci się—bierz mnie —rządź mną, jam twoją, weźmiesz mnie, jako nagrodę twych trudów.

— Bez serca twego, nie wezmę cię Salomejo.

— Weźmiesz z sercem, bo ci je oddam w zamian za twoje poświęcenie wielkie. Patrz, ja znam, ja pojmuję jego ogrom—ja czytam w twojém sercu, choć ty nie umiesz czytać w mojém. Hańbą ci się wydaje, gonić z szaloną dziewczyną wiatru w polu, podczas gdy tam laury rycerskie zebrać możesz... nie pojmujesz, że tu zapobiegając tak wielkiej zbrodni, stokroć większe otrzymasz... ale ty nie wierzysz w skutek moich za-

miarów. Przysięgam ci, że je spełnim, spełnim we dwoje. Rzuć ten skrupuł Krzysztofie, pokochałam cię, jak brata, jak przyjaciela, bom się poznała na twém sercu, teraz cię kochać będę, jak mego męża i pana.

Rzuciła mi się do kolan i całowała ręce.

— Czyżbyśmy mogli być kiedy spokojni w życiu, nie doznając wyrzutów strasznych, żeśmy mieli ten pożar tak blisko, żeśmy ugasić go mogli a nie gasili i pozwolili mu się rozszerzyć i objąć płomieniem kraj cały. Nie—tego ani Bóg, ani ludzie nie przebaczyliby nam nigdy. Nie tam Krzysztofie jest miejsce twoje w wrzawie bitwy, ale tu w pogoni za ukróceniem złego, oh, stokroć gorszego, niż cały najazd Tatarów i czerni Kozackiéj. Pomyśl! skryte, zdrajcze noże mordować będą nieszczęśliwych..... i ty się wahasz jeszcze?... I pozwolisz mnie, biednéj dziewczynie iść saméj bez pomocy, bez opieki? I toż jest miłość wasza?

Wahałem się wciąż, party naprzemian to miłością, to obowiązkiem, to znów z drugiéj strony, odwodzon od tego szalonego przedsiewzięcia brakiem wiary w jego dokonanie—wreszcie zwyciężony uległem.

— Prowadź—idę z tobą. Niech Bóg szczęści naszym zamiarom! Spłacę przytém dług przyjaźni, aby mi go kiedyś nie wyrzucało sumienie.

— Odpraw twego pachołka z koniem do domu.

Stało się, jak kazała.

Pobiegła potém do wózka, wydobyła zeń tłómoczek i rzucając go, rzekła:

— Oto twój ubiór, chłopska siermięga, tak jak i na mnie, niepodobna nam inaczéj dziś odbywać podróży, kiedy tyle szpiegów nas otacza. Ten dawny włożysz do tłómoczka i on przydać się może. Teraz nie napróżno nauczyłam się robić przetaków. Jesteś sitarz a jam twoja siostrzenica.

— Czemuż nie żona?

— Bo nią będę tylko naprawdę—rzekła zapłoniona cała — gdybyśmy przedwcześnie udawać chcieli małżeństwo, gotówby nas Bóg skarać. Jedziemy szukać roboty.

Gdym wlazł w ten chłopski uniform, klasnęła w ręce z radością.

— Nikomu się nawet nie przyśni, żebyśmy niemieli być w własnéj skórze. Przez drogę będziesz mnie uczył mówić z mazurska. A wiesz, kto jest naszym woźnicą. Przypatrz mu się dobrze.

— Stanisław!

— Ja wujaszku.

— Jak to być może?

— Ja radbym to samo spytać wuja.

— A cóż się z domem stanie?

— Sąsiedzi o nim będą pamiętać a pewnie lepiej od tego pustaka — rzekła, naglą nas do podróży.

Nie mogła się lepiej odemnie zabezpieczyć, jak

biorąc tego chłopaka. Podziwiałem też tę kobiecą taktykę.

— Dokądże się udamy?—spytałem.

— Powiślem do Krakowa.

Choć upewniała mnie wciąż, że sukmana chłopska przystaje mi tak dobrze. że tam nikomu i przez głowę nie przejdzie, aby mnie podejrzewać. mierziło mnie to jednak strasznie i w żaden sposób nie mogłem przywyknąć do owych chłopskich manier i zdradzałem się co chwila.

Gdy przyszło rozmawiać z chłopem jakim. pytając się o drogę. gdy przyszło im się tłumaczyć, odpowiadać na wszystkie ich pytania a słuchać zuchwałych ich odgróżek, które teraz tak często im się z ust wyrywały. brała mnie złość taka, żem chciał zabijać. Trzeba było całéj jéj władzy, aby mnie powstrzymać.

Stanisław znów śmiał się, jak utrapiony. Chłopak przywykł do swojéj nowéj roli i było mu w niéj dobrze.

Niedaleko Korczyna w lesie. w wązkim parowie, zetknęliśmy się z kolasą, którą trzeba było wyminąć a miejsca było tyle. że bez zawadzenia jedno o drugie niepodobna.

Była ona zaprzężona jednym koniem tylko a siedział w niéj człowiek, dziwnéj postaci—niby szlachcic, niby mieszczanin, niby Niemiec jakiś.

Za nim z tyłu na siedzeniach siedziały dwie małpy.

Zamiast nas wyminąć, człowiek ten przystanął a jedna z małp podniosła się, skłoniła nam grzecznie czapką z dzwoneczkiem, potém nią potrząsła i wskazując na swoję siostrę, która siedziała kiwając się, prosiła nas niby o datek dla niéj — a wyrażała mimikę taką, żeśmy parsknęli śmiechem. Tamta siedziała, wciąż się kiwając i prosząc także, a pokazując na swoje oczy—wówczas spostrzegliśmy, że była ślepą. Wydobyłem pieniądz i rzuciłem w czapkę onéj małpeczce zmyślnéj, która znów pokłoniła się bardzo pięknie i poczęła stroić śmieszne miny, tak bardzo podobne do ludzkich.

Zapatrzeni na to dziwo, nie zauważyliśmy, że człowiek nas bardzo śledzi.

Zlazł on z kolasy, obszedł nasz wózek do około, przypatrzył mu się ze wszystkich stron i wścibiając między nas głowę, zapytał nagle:

— A wy zkąd ludzie?

Zmieszało nas to trochę, co ten zaraz i dostrzegł, lecz Salomeja nie tracąc zimnéj krwi, odpowiedziała:

— My z Krakowskiego panoczku. Jeździli na jarmark do Pacanowa, a teraz to i wracamy do domu.

— A cóż wieziecie z jarmarku?

— A no wieziemy trochę grosza za towar, co go się sprzedało.

— A jaki towar mieliście?

— Sita, rzeszota, sitka, przetaki.

— A z któréjże wy wsi?

— Z Niegarłów za Proszowicami—rzekłem.

— Z duchownych?

— Tak z duchownych.

— To widać zaraz, żeście w lepszéj skórze. Ręce u was białe, niespracowane, skóra się świeci, jak atłas — a ta dziewka chyba się w mleku kąpie. Hej takich chłopów nie widziałem jeszcze.

— Na księżym chlebie panoczku.

— A szlachecki twardy i gorzki?

W mowie jego czuć było trochę ruszczyzny.

Twarz to była pucołowata z dobrym wąsem a broda tylko co zapuszczona tak, że ten wąs zawiesisty wyglądał, niby jakaś bujna kępa zboża na ściernisku. Oczy czarne, błyszczące — na lewym policzku niby jakaś szrama czy pręga, bo trudno było rozpoznać pod brudem i kurzem, jakiemi była cała ta twarz okrytą, przeglądał tylko z poza tego czerstwy rumieniec.

Salomeja trąciła mnie łokciem, naglące do drogi.

Nie podobała mi się ta jego lustracya a byłem pewny, że mamy przed sobą jakiegoś szpiega z Chmielnickiego bandy.

Począłem i ja mu się przyglądać a obliczać, czy by go bestyi nie związać w kij i z onemi małpami nie zawlec do Korczyna.

Salomeja odgadła moję myśl i szepnęła tylko:

— Ich tu musi być więcéj.

I nie wyszło pacierza, jak z lasu pokazała się jakaś postać zgięta we dwoje na kulach i przypełzła do naszego wózka, prosząc o jałmużnę a świdrując nas bacznie okiem.

Małpiarz znalazł się już z drugiéj strony.

— Ta kapota przyciasna na ciebie—rzecze on. zbliżając się do mnie natrętnie, a czapka za duża na lacką głowę... i kędziorów pańskich przyciąć było trzeba.

I zdjął mi czapkę z głowy.

— Odczepcie — no się człowieku — mówię mu już z gniewem.

Wziąłem lejce z rąk Stanisława i świsnąłem batem na konie, ale w téj saméj chwili, jak z pod ziemi, zjawił się drugi i trzeci żebrak przed końmi tak, że nam zatamowali drogę—podczas tego, gdy tamci dwaj rozmawiali ze sobą.

— Odkryli nas—szepnąłem Salomei.

— Prawda.

— Cóż teraz będzie?

— Bądź spokojny—mówi Salomeja — zagram ja im w ich dudkę.

— Toć i ja im zagram, ale na swoim instrumencie. Hola pogańskie syny! Idźcie swoją drogą, albo wam łby trzaskać będę.

I wydobyłem pistolet.

Ale kiedy to nie gwizdnie przeraźliwie ów z małpami. kiedy się nie zakłębi coś w lesie, kiedy się nie wysypie mrowie całe... otoczyli nas w minucie... Nie widziałem nigdy podobnych twarzy.

Było to zbiorowisko ludzi zda się przeróżnych stanów... Kompanią taką tylko na jarmarcznym rynku spotkać można.

Tu baby, tu dziady lirnicy, tu żydzi, żebracy z ohydnemi rany i zaczernioną twarzą — ówdzie chłopi w siermięgach, tu znowu paru w ubiorach szlacheckich.

Świst, wrzask, jakaś piekielna muzyka.

Ten przygrywa na kobzie, ów na lirze, inny na piszczałce, inni znów wyją dziadowskie pieśni, a wszystko otacza nas i przygląda się bacznie, macając za noże, które z zanadrza im wyłażą.

Dusza nam siadła na ramieniu.

Wtém Salomeja zwinnie, lekko niby sarenka zeskakuje z wózka i rzecze do nich:

— *Pokińcie braty! my nie szlachtycie a ruskiéj wiry ludie. Pomyrymsia, pomyrymsia: na szczo nam z soboju wojowaty? Szczo wy brechatie na nas?*

I wzięła owego małpiarza na stronę, prowadząc z nim dysputę i często wskazując na mnie i na Stanisława, potém wydobyła papiery, które tamten z wielką uwagą przeglądał, potém znów między nimi poczęła się utarczka, w której słyszałem nazwisko Bzowskiego, wymówione po kilkakroć. Wreszcie oddał jéj papiery, pokłonił się w pas, przemówił coś do całéj téj bandy, która zaczęła szwargotać między sobą i gestykulować i tak, jak się zjawili, tak napowrót znikli w lesie a ten wsiadł do swojej kolasy z małpami, pozdro-

wił nas, zaciął konia i zniknął w ciemnym wąwozie.

— Czyś jaką czarodziejką, wróżką?—mówię.

— Nie—tylko nie tracę głowy. To listy Cmielnickiego, zabezpieczą nas przed jego szpiegami, których spotykać będziemy wszędzie, ale co nas zabezpieczy przed naszymi? O tém pomyślim. Dowiedziałam się wielu rzeczy. Ten, co jeździ z małpami, nazywa się Ostrowski, skozaczony szlachcic a ma pod swoją kommendą takich oto trzystu hultai, którzy na jedno jego gwizdnienie gotowi na wszystko i są zawsze w pobliżu. Takich band w Małopolsce ma być ośm a kommendę nad niemi ma Dylewski. Dylewski zaś i wszyscy jemu podobni, jak Jachowski na Rusi, Fox na Podlasiu, Grzybowski w Wielkopolsce podlegają kommendzie pułkownika Stasieńki, który jest generalisimusem całéj téj operacyi. Równą władzę, jak Stasieńko, ma mieć Bzowski. Hasłem wszystkich jest: Jedna wira, jeden korol. A włożeni są tak w subordynacyą, taki u nich porządek, że na jedno skinienie dowódzcy wszyscy się gromadzą, gdziekolwiekby im nakażą. Tylem się dowiedziała. Widzisz, żem czasu nie zmarnowała.

— Prawda. Cóż to się u nas dzieje! Ni mienia, ni życia człek na własnéj ziemi nie pewny.

— I cóż będziesz jeszcze żałował, żeś nie poszedł do wojska?

— O nie Salomejo, ale cóż my podołać możem?

— Zobaczysz.

Minęliśmy Korczyn. Opatowice.

W Koszycach mieliśmy popasać i nocą puścić się w dalszą drogę.

Miasteczko królewskie, należące do starostwa krakowskiego.

Niéma ani jednego żyda.

Stanęliśmy w rynku przy jedynym zajeździe, jaki jest w mieście.

Mrok zapadał, po rynku wałęsało się kilku mieszczan.

Nie zdążyliśmy jeszcze wysiąść z wózka. gdy zjawił się pachołek miejski.

— Co wy za ludzie?—pyta.

— A ot ludzie—odpowiadam.

— Zkąd?

— Z pod Skały.

— Gdzieście byli?

— W Korczynie.

— Po co?

— A idźże do stu dyabłów baranie.

Salomeja mnie trąca a ja swoje.

— Czy to już nie wolno poczciwym ludziom jeździć po świecie?

— Czyście poczciwi. to dopiero zobaczym, a wtenczas wy pojedziecie do stu dyabłów. jeżeli się okaże, że łżecie. Kumie Piotrze — rzecze do drugiego, który się tuż nawinął—ot jakieś farbowane lisy. Biegaj do ławnika Bartosza.

— Czyście poszaleli? Przyjechaliśmy popaść i jedziem zaraz dalej.

— To tam starsi osądzą, czy pojedziecie, czy zostaniecie.

Zaczęło mnie to gniewać na dobre.

Tylko cośmy wyleźli ze zbójeckich łap Chmielnickiego bandy, aż tu się wpadło w kupę osłów.

— Nie dysputuj z nim—mówi Salomeja—przecież nas tu nie zjedzą.

— Ale mitrężyć będą.

Zjawił się pan ławnik.

I znów pytania:

— Zkąd jesteście?

— Z pod Słomnik.

— Oh! a do mnie mówił, że z pod Skały — ozwie się pachołek z wielkiem przekonaniem o swéj przenikliwości.

— Z pod Słomnik i z pod Skały.

— Kazał mi iść do stu dyabłów—prawi daléj.

— Cicho! to będzie w protokule. Jak się zowiecie?

— Grzegórz Powała.

— Kto jest ta dziewka?

— Moja siostrzenica.

— A ten chłopak?

— Mój bratanek.

— Zkąd wracacie?

— Z Opatowa.

— A do mnie mówił, że z Korczyna.

— Pójdziecie z nami na ratusz.

— A to po co?

— A no tak.

Pięść mnie swędziała.

Miałem ochotę grzmotnąć tego łyka, żeby się piętami nakrył.

Nadął się bestya, jak indyk i z powagą całą, na jaką go stać było, kazał nas prowadzić pachołkom.

Ludzi się zaraz zebrała gromadka i ciekawie zaglądała nam w oczy.

— Nie wytrzymam w mojej roli — mówię do Salomei—wezmę za kark tych drabów.

— Dajże pokój, możeć trafimy na rozumniejszych.

— A zkądby się tacy wzięli?

— Zmiłuj się człowieku, bądź wytrwałym, bo nas nieszczęście jakie czeka.

— Już będę, choćby mi ta zgraja łyków do żołądka zaglądać miała.

Wywlekli z karczmy pijanego burmistrza, trzech ławników zasiadło przy nim i daléjże nas egzaminować.

Lecz zaledwie nam zadali jedno pytanie, gdy wszedł pachołek, niosąc nasz tłómoczek, z którego już był wyjął pistolet, ładunki kul i prochu.

— Tacy to ludzie — prawi, pokazując im broń i wytrząsając nią przed ich oczyma.

Wszyscy się zerwali ze strachem na równe nogi. Burmistrz przetarł powieki i krzyknął:

— Wiązać ich i do turmy?

— Słuchajcie-no sławetni mieszczanie miasta

Koszyc — rzekłem gromko. włażąc już w swoję skórę własną — nie mam czasu bawić się z wami w gawędę. ani grać tutaj komedyi. Idźcie dopić wasze szklenice. albo spać się połóżcie — a tymczasem każcie odejść tym waszym gawronom. bo ich tu naszpikuję, jak zajęcy i wydobyłem zaraz pistolet i zmierzyłem do pierwszego. co się ku mnie garnął. Salomeja znów widząc, że tu już udawaniem nic nie wskóra. błysła mu kindżałem a Stanisław wycelował swój prosto w Burmistrza.

Chcieliśmy samym strachem ich pobić.

Wrzasło też wszystko w niebogłosy.

— Mordercy! kozacy! zbóje!

Jeden z nich wysunął się zaraz za drzwi.

— Nie zbóje. nie kozacy, ale szlachta. Jestem podkomorzyc Krzysztof Scipio. a to moja żona i krewny Stanisław Dederko, stolnikiewicz oszmiański. Przyszły teraz czasy, że trzeba lwu baranią skórę nosić. Nie mamy wam za złe, że pilnujecie porządku, ale bądźcie baczniejsi i niewinnych ludzi nie prześladujcie. Kozacy tu do was nie przyjdą. bo i po co? Chcecie ich dostać, to wyléźcie z waszego miasteczka i idźcie w pole na bory, na lasy, na wsie, na dwory, tąm ich znajdziecie. My tylko co się wydostali z ich pazurów.

I wziąłem pistolet z rąk pacholka, który go oglądał na wszystkie strony.

— A teraz zanieście mój tłómok na wózek i

dajcie nam pokój święty. Nie mamy czasu bawić się z wami.

— To ono to nie może tak być — rzekł burmistrz. otrzeźwiawszy trochę i przybierając minę pompatyczną.—Powiedzieć i to. i owo — nazwać się tém i owém, to każdyby tak wykręcić się potrafił. ale tuś aść trafił na ludzi. co to się nie dadzą zjeść w kaszy. Tu aść tém i owém nam się nie wykpi. Panie pisarzu. trzeba by ściągnąć protokuł.

— Bądźcie zdrowi!

Otworzyłem drzwi na oścież. przepuszczając przed sobą Salomeję i Stanisława, ale niełatwo było przez te drzwi przeleźć, bo pokazał się w nich tłum mieszczan uzbrojonych w kosy, widły, noże i zatarasował nam drogę.

— I cóż tu począć z tém bydłem—rzeknę.—To my się tu bez krwi rozlewu nie wydostaniem chyba.

— I na nic by nam się to nie przydało a pogorszyło by wszystko. Tu na języki szermować z nimi trzeba—rzecze Salomeja.

— Czegóż więc chcecie od nas?—pytam.

— Zaraz, nie tak prędko — mówi burmistrz— My władza, więc nam należy pytać a wam odpowiadać.

— Pytajcie.

— Zanim przystąpim do inkwizycyi, złóżcie broń.

— Czy to mówisz do szlachcica, mospanie?

— Szlachcica tu niema. Aść nie szlachcic. Żaden szlachcic od Adama i Ewy, nie chodził jeszcze w chłopskiéj sukmanie, ale w najstarożytniejszych czasach, czerwoną płachtą się odziewał. Ztąd purpura. Czerwony kolor znaczył karmazyna. Ergo więc kto ją zrzucił i przywdziewał strój poddańczy, chłopem się stawał i niegodzien był jéj nosić.

— Ha!—rozległo się w tłumie—jaki nasz burmistrz mądry.

— Ale wielce uczony panie burmistrzu, nie czytałżeś w kronikach, jak nieraz królowie i szlachta przywdziewała na się różne stroje, aby omylić, oszukać wroga, atém samém ujść jego sideł. Wszak król Łokietek przebrany w chłopską siermięgę ukrywał się w Skałach Ojcowa.

— Za to też go zabito—odrzekł z powagą.

I znów okrzyk podziwu.

— Mądrzejsi od nas Kozacy, bo małpy z sobą wodzą—mówię do Salomei— a my co? Jakąż tu sztuką się wykręcić i otumanić te baranie głowy, bo inaczéj nie wyjdziem.

— My mamy za sobą dobrą sprawę i bez wszelkich dalszych wykrętów, trzeba tych ludzi nią oświecić.

— Próbój. Ale łatwiéj wielbłądowi przez igle ucho przeleźć, aniżeli do tych głów trafić.

— Słuchajcie—rzekła Salomeja.—Czy to wam nie wiadomo, że po kraju całym włóczy się banda szpiegów i rabusiów, i że każdemu, co nosi suknie

szlacheckie a puszcza się dziś w drogę bez pachołków i dworzan, grozi od nich niebezpieczeństwo? Wydano wam rozkazy, abyście się strzegli ludzi tych podejrzanych i ująwszy którego z nich a przeświadczywszy się o jego winie, karali—ale nie powiedziano wam, że mogą być i tacy, którzy chcą ujść sideł zdradzieckich, zmuszeni są walczyć tą samą bronią i udawać się za innych, niż są w istocie. Otóż nam dziś tak przypadło. Jedziemy w ważnéj sprawie do Krakowa, a potém daléj jeszcze. Strój nasz szlachecki wzbudziłby podejrzenie w tych właśnie, przeciw którym idziemy walczyć—mianoby nas na oku, szpiegowanoby i udaremniono nasze zamysły. Uciekliśmy się do tego środka, który nam się wydawał jedynie dobrym. A chcecie dowodu, kim jesteśmy, to otwórzcie tłómoczek, w nim znajdziecie ubranie mego pana podkomorzyca, które tu w waszych oczach przywdzieje.

Wysłuchali jéj mowy w milczeniu, spoglądając po sobie.

Tłum cały rozdziawił gęby i czekał dalszéj inkwizycyi mądrego swego burmistrza.

Zdawało nam się, że przekonani.

Jakiś czas panowało milczenie. Pisarz tylko skrobał po papierze, za cichą dyktandą burmistrza, który powstał po chwili i rzekł:

— Jeszcze raz was wzywam ludzie chytrzy, oszuści niebezpieczni, złodzieje i rabusie, złóżcie

broń i poddajcie się literze prawa, bo inaczéj siłą was zmuszę do tego.

Co było począć?

Wtém przeraził nas wszystkich jakiś nieludzki głos. Zwróciliśmy głowy w tę stronę i ujrzeliśmy Stanisława z wykrzywioną straszliwie twarzą, z oczyma wywróconemi, kręcącego się w kółko.

Salomeja krzyknęła:

— Księdza!

I wybiegła szybko z izby przez te tłumy ogłupione, oszołomione, które się jéj rozstąpiły.

Zrozumiałem wszystko.

Chłopak niecnota udawał taniec Świętego Wita a udawał tak dobrze, żem sam był zgrozą przejęty.

I wnet cały ten tłum tak wzburzony jeszcze przeciw nam, przystąpił ze współczuciem do chłopąka, który nawywijawszy na wszystkie strony, niby powoli ostygać zaczął.

I znów wszystko wróciło do dawnego porządku.

Burmistrz kazał mi złożyć broń, po raz już nie wiem który, com téż i dopełnił, bom już był pewny dobrego obrotu sprawy, skoro Salomeja na wolności.

Ksiądz był na odpuście w Korczynie. Pojechała tam i we dwie godziny zamiast z księdzem. wróciła z podstarostą Korczyńskim Kędzierskim.

— A toś wpadł w łapy panie podkomorzycu —

rzecze pan Kędzierski—toż te barany byłyby cię ze skóry gotowe obedrzéć.

— Nie ich to wina, ale moja—rzeknę.—Dość téj chłopskiéj komedyi, wdziewam moje suknie i choćby mi do piekła iść przyszło, pójdę—boć lepiéj zginąć walecznie, aniżeli dać się podzióbać przez takich.

Zaczęli się strasznie submitować i przepraszać —darowałem im winy, alem o całéj téj awanturze dał wiedziéć ziemskim i grodzkim sądom, aby przecież ślepym nie dawali pałki w ręce.

Zdało mi się, że zrzuciłem kajdany z siebie, boć téż to w istocie były kajdany—a choć je tak krótko dźwigałem, stały się jednak nie do zniesienia.

Nie mogłem przywyknąć do téj siermięgi, którą mi rzuciła w lesie i ustroić się w nią kazała. Zdało mi się, żem przyjął jakąś służbę niegodną rycerskiego człowieka, żem pozbawion woli, myśli, czucia, rozumu. Wstyd i upokorzenie jakieś tak mną owładły, żem nie śmiał jéj w oczy spojrzéć.

Pojąłem, że chcąc udawać kogoś, trzeba miéć mniéj w sobie szczerości, więcéj jakiegoś zaparcia siebie. Patrzyłem się téż na tę dziewkę, niby na kameleona jakiegoś o skórze dziwnie zmiennéj i łudzącéj.

Oh i była nim—a czém ona nie była!..

Zaraz téż i fantazya mi wróciła i siły jak gdyby przybyło.

Nie chciałem być już jakiémś biernem narzędziem w jéj ręku, ale oświadczyłem, że i po mojéj woli dziać się musi.

Przyjęła to kornie i z poddaniem.

— A czegóż ja więcéj chcę od ciebie? Rządź! Jam posłuszna każdemu twemu skinieniu. Wszak wspólny cel przed nami. Idź! ja za tobą wszędzie.

I popatrzyła na mnie tak błagalnie, że mi serce stajało.

— A tyż nie włożysz innéj sukni?

— Ja zostanę tak. Ona mnie uchroni więcéj, jak zbroja w tych czasach. A sądzę, że w niejednéj znajdziemy się potrzebie.

— Więc czémże teraz jesteś dla mnie?

— Sługą twoją.

Chciałem ją wziąść w ramiona, lecz zsunęła mi się do kolan i jak pierwéj była pełną ducha i przedsiębierczéj energii, tak znowu teraz stała się potulną, poddaną, powolną. Wpierw jechaliśmy przy sobie, teraz jako słudze wypadało jéj siąść przy woźnicy.

Miałem ją przed sobą a radbym był ucałować każdy rąbek jéj sukni, radbym jéj się pod nogi podesłać, a trzymać się było trzeba obojętnie.

Gdzie mnie to wszystko zawiedzie?

Jak się skończy to nasze przedsiewzięcie, w którego powodzenie nie wierzyłem i chwili.

Wtém błysła mi myśl.

Jesteśmy tak blisko Skały i mielibyśmy ominąć Grodzisko, nie odwiedziwszy starca?

Tak! Niechże ten człek świętobliwy wesprze nas radą swoją.

Może przez jego usta, wola Boża nam się objawi.

Przyszedł mi na myśl on szkaplerz z psalmem Dawida i zadrżałem nad dziwnym losem Bzowskiego, i przedwieczną mądrością, która go miała tak doświadczyć.

Tak. ten starzec wydał mi się dziś władcą jego losów. Niechże odwróci to złe, które mimowoli może w nim zażegł. wpajając potężne obrazy pisma Ś-go w ten umysł zuchwały, tak żądny wielkości, kosztem najdroższych uczuć ludzkich.

I zaraz z Brzeska, zamiast jechać na Igołomią do Krakowa. skierowaliśmy na Proszowice do Skały.

Znaleźliśmy starca złożonego niemocą, leżał na swym tapczanie wychudły i zmieniony. a przy nim siedział człek również stary. co go doglądał w chorobie.

Jakże tu rzucić taką wieść!..

Czy go nie dobije?

Stanęliśmy milczący przed jego łożem.

Popatrzał na nas długo, jakby zbierał pamięć, ale widać, że nic sobie przypomnieć nie mógł.

Potarł ręką po czole i spytał:

— Kto wy?

— Jam Scypio.

Człowiek, który siedział przy nim, wziął do rąk trąbkę i przez nią powtórzył mu do ucha.

— Eustachy, mój druh—wyszeptał starzec.

Mówił o moim ojcu, mnie nie poznawał wcale i daremnie mu było to przypominać.

Salomeja nie pojmowała, dla czegośmy tu przyjechali a ja nie chciałem jej z tem obznajmiać, licząc na to, że zastanę starca jeszcze zdrowym, i że z toku rozmowy dowie się, gdzie jesteśmy i pocośmy tu przybyli.

Widok tej jaskini oświeconej słabym promieniem światła, w której po dłuższym dopiero pobycie, rozpoznawać można było przedmioty, zanim się oko nie oswoiło, ten starzec umierający na barłogu, oddziałały na nią przygnębiająco.

Pociągnęła mnie za rękę, nagląc gwałtownie do wyjścia.

— Od jak dawna ta niemoc nań przyszła? — zapytałem.

— Od paru tygodni. Powaliła go, jak dąb i nie dźwignie się już z tego łoża.

— Czy ciągle taki nieprzytomny?

— Chwilami mu odchodzi i rozmawia. Postańcie nieco, gdy niemoc przejdzie, to i umysł odzyska władzę.

I w istocie starzec oka ze mnie nie spuszczał a pracował myślą ustawicznie, przecierał schudzoną ręką po czole, niekiedy unosił się na wezgłowiu, wreszcie jakby mu błysło światło nagle,

uniósł się i dźwignął na ręku, wlepił we mnie swoje jasne źrenice i wyrzekł:

— Bzowski! Gdzie on?

Skinął na swego sługę, kazał mi podać trąbkę i mówić sobie do ucha.

— Nieszczęście ojcze. Ten szalony młodzieniec poszedł w służby wroga. Jest Chmielnickiego sługą i buntuje lud.

Starzec popatrzał na mnie okropnym wzrokiem, po jego żółtéj, wyschłéj twarzy przebiegł jak gdyby dreszcz i zabarwił ją rumieńcem. Patrzał długo, potém powoli spuścił oczy i mówił, jak gdyby do siebie:

— Jeżeli cię zapomnę ojczyzno miła moja i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicę ręki swojéj. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeżeli pomnieć na cię nie będę, a jeżeli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę.

Potém podniósł głowę i rzekł dobitnie:

— *Inquam*! Bóg obrał go za narzędzie swojéj kary.

— Chcemy go ratować.

— Ratować? Dyabła? Zgnieść go?

Popatrzał na Salomeję.

— Kto ona?

— Jego krewna.

— A matka?

— Umarła.

— Tak być musiało.

Po chwili namysłu, mówił dalej:

— Król ze szlachtą na wojnie a w domu pożar... i takie ręce go miotą! Lud podnosi głowę... Ha! schylał ją kornie tak długo... Nie było wielkich króli... Jeden rozpoczął... drugi chciał kończyć. ale zło było silniejsze od niego...

Jnquam! Ten nędznik czytał w królewskiej myśli i pigmej, chce podnieść maczugę Herkulesa a chwyci tylko nóż rozbójnika. opryszka...

Zgniećcie go, bo pożar może nas strawić... wielki jest urok imienia Władysława między ludem... dla jego zepsutej krwi ten lud odważy się na wszystko... i zanim tam szlachta zwycięży wroga, tu może się nie doliczyć żon, matek i córek a dwory swoje ujrzéć w perzynie...

Inquam! nie dajcie zawładnąć szatanowi... uderzcie w wielki dzwon trwogi... Niech duchowni z krzyżem zbawiciela, przebiegają sioła i wioski—góry i lasy...

Oh, czemużem dożył takich dni... Służyłem téj Polsce, kiedy była wielką i kwitnącą; schodzę, gdy ją rak zniszczenia toczyć poczyna.

Piersi jego wznosiły się i opadały, jak fale morskie, oddech stawał się krótszym, w oczach dziwny ogień świecił, jak kiedy lampa bucha migotliwém światłem, zanim nie zgaśnie.

Zebrał wszystkie siły, podniósł się na łożu i wlepił wzrok straszny w Salomeję, jak gdyby ją przeniknąć pragnął.

— Ty dziewko z błyszczącemi oczyma, wedrzéj się jak Judyt do obozu tego Flistyńczyka i odrąb mu głowę. Jego matka zrobiła by to samo. Ale ty go pewnie miłujesz i z płaczem przychodzisz rady méj prosić. Daję ci jednę: wydaj go w ręce sprawiedliwości, a zbawisz kraj od nieszczęścia. *Inquam*, innéj ci dać nie mogę a wierz mi, że mówię prawdę, bom już grobu bliski i z Bogiem się pojednałem...

Kochałem go, jak syna i wpoiłem weń zasób cnót chrześcijańskich, lecz zmarniały. Myślałem, że schyłek mego życia ozłoci mi sławy promieniem a zatruł mi goryczą... Przeklinam go!

Salomeja padła na kolana, składając błagalnie ręce.

— Nie przeklinajcie ojcze—wykrzyknęła z głębi piersi...—jeszcze on złego nie spełnił... jeszcze go powstrzymamy, zanim bratobójcze utopi żelazo!

Starzec nie słyszał jéj słów, ale pociągnięty urokiem postaci i błagalną tą prośbą, jakby w nim iskra litości się ozwała, rzekł:

— Wstrzymaj go—przywiedź przed króla a potém błagaj dlań litości. Daję ci błogosławieństwo moje.

Upadł na łoże i już nie przemówił do nas słowa.

Zbliżyliśmy się doń i ucałowali ręce, których nam nie bronił, lecz już żadnym ruchem ani skinieniem nie odpowiedział.

Wyczerpane siły potrzebowały spoczynku.

Sługa czy przyjaciel. zabronił nam już więcej doń przemawiać, mówiąc, że dłuższy nasz pobyt pogorszy tylko stan chorego, któremu już do życia nie wiele chwil zostaje.

Pożegnawszy też wejrzeniem tylko tę dziką ustroń, siedliśmy do wózka i jechali ku Krakowu.

Te słowa starca zda się, że ponad nami krążyły i zagrzewały do czynu.

Śmiała nam się okolica śliczna i ludzie inni, lepsi jacyś i szczęśliwsi, niż w naszych stronach. Śmiała się wiosna całą krasą i wszystkiemi barwy, jednak nie potrafiła nam przemówić do duszy.

Pochowaliśmy wszystko inne gdzieś głęboko a postanowili bez wytchnienia, bez odpoczynku dążyć tam, gdzie nam obowiązek kazał. choćby dlań głową nałożyć przyszło.

Przed wieczorem stanęliśmy w Krakowie.

Trzeba nam było czegoś się dowiedzieć, wytropić ślad jakiś, pochwycić jakąś nitkę, coby nas na trop naprowadzić mogła.

Podzieliliśmy się też zaraz robotą.

Ja miałem się kręcić między mieszczaństwem i szlachtą. Salomeja z Stanisławem między chłopstwem.

Stanęliśmy gospodą na Szpitalnej ulicy i czasu obiadu. mieliśmy się wspólnie schodzić na naradę.

Pierwszy dzień nic nam nie przyniósł, nie słyszano tu o żadnym Bzowskim, nikt taki nie przybył do miasta, boć snadnie by go teraz zauważono, ile że ruch przyjezdnych ustał bardzo.

Od wschodu i od południa nie przyjeżdżali kupcy a od północy i zachodu także ich niewiele napływało dla bezpieczeństwa dróg, od hultai wszelkich i luźnego narodu, który się temi czasy błąkał wszędzie.

Czasem jakichś leniwych pospolitaków, przesunęło się coś przez miasto, czasem przyleciał goniec jakiś od wojska.

Lud za to napływał tłumnie do miasta i z Podgórza i od zachodu a nawet z węgierskiéj strony, a lud ten dziwne miał zachowanie.

Nie przygnała ich tu robota jakaś albo kupno, ale świętowanie i zabawa.

Całemi gromadami można ich było spotkać włóczących się po mieście i rozglądających ciekawie, szczególniéj górale tatrzańscy odznaczali się z pomiędzy wszystkich swoją rosłą posturą i zuchwałém, jakby bezczelném obejściem.

Gdy nadchodził wieczór i miano bramy zamykać, znikało to gdzieś wszystko, jakby w norach po przedmieściach, albo wracało na swoich wózkach do domów.

Gdym się pytał, co znaczy ten ruch chłopstwa, odpowiadano obojętnie, ruszano ramionami:

— Ot przednówek, niéma roboty, niéma chleba, to i włóczy się wszystko do miasta.

Niedobre to zapowiadało sprawy.

Tymczasem gruchła wieść po Krakowie. że przejęto listy Chmielnickiego do Rakoczego. że Rakoczy ma uderzyć na Kraków.

Rozruch się zrobił w mieście okrutny. młódź szkolna, że to zawsze w takich rozruchach rej wiedzie, uderzyła na Żydów... hałas... rwetes...

W tym tumulcie, w tym nieładzie, jak w mętnej wodzie pływały wszelkie plugastwa bezkarnie, bo i miejska i starościńska władza, były bezsilnie.

Wstąpiłem do rusznikarza, aby mi opatrzył pistolety, bo mi jeden zawodził, zanieczyszczony i pordzewiały jakoś w środku... aż ten mi prawi, że trzebaby je rozebrać, co i parę dni czasu zejdzie, a tu roboty dużo i pilnéj.

— Cóż nowe wojsko uzbrajają?

— Niby to aszmość nie wiesz.

— Wczorajem przyjechał.

— A to chyba. Jest u nas Imć pan Kostka ze Sternbergu Napierski, pułkownik królewski. co urządza zaciągi i sztyftuje regiment ochotnika.

— Pierwsze słyszę o takim.

— Człek młody bardzo, ale prezencyi pańskiéj i rycerskiego rzemiosła świadom, a płaci dobrze. Pięćdziesiąt strzelb zamówił, z tych dwadzieścia krótkich rusznic norymbergskich i trzydzieści rusznic brunszwickich. Połowę się już odesłało a drugą trzeba kończyć.

— No toć znajdę innego majstra.

Idąc, myślałem o tym Kostce. Czyżby to był syn malborskiego starosty?... ale dlaczego Napierski i ze Sternbergu? Nie słyszałem o takim rodzie. Pułkownik królewski... Człek młody a w rycerskim rzemiośle biegły.

Wróciłem z tém do gospody.

Czekali już na mnie Salomeja z Stanisławem.

— Mamy go wujaszku — krzyknął ten, ujrzawszy mnie z progu.

— Kogo?

— Bzowskiego. Spotkałem Krzemienia...

— To jeszcze nie Bzowski.

— Bah, poszedłem za nim w ślady... i wywiedziałem się o wszystkiém. W domu Brickmana na Wiślnej ulicy. mieszka Imć pan Leon ze Sternbergu Kostka Napierski.

— To on!

— To i ty wiesz wuju?

— Pułkownik królewski. Zakupił pięćdziesiąt strzelb u rusznikarza Lottera. Zbiera zaciągi i uzbraja je na usługi króla i Rzeczypospolitej.

— A ja wam dopowiem reszty — rzecze Salomeja.

Lud świętuje i wiecuje wszędzie. Powiada, że skończyły się czasy niewoli i poddaństwa. Król obiecuje im wszystkie wolności i ziemie, które dziś posiada szlachta. byle wyruszyli zbrojnie mu z pomocą. Szlachta podnosi przeciw królowi rokosz, wy go podnieście przeciw szlachcie. Niech kamień na kamieniu nie zostanie z ich bogactwa

i państwa. Widziałem między nimi ludzi, którzy niby apostołowie, wpajają owe przeklęte myśli; a największym z nich wszystkich ma być Martinus Radocki, bakałarz w Pcimiu na Podgórzu. Jego słowa mają siłę wyroczni.

— A o Bzowskim co mówią?

— Jeszcze on im nieznany, lecz oczekują kogoś widocznie. I tu szpiegów Chmielnickiego pełno. Na Kleparzu, na Piasku, na Stradomiu, spotkasz między chłopstwem takie twarze, że cię uderzyć muszą.

— I co poczniemy dalej?—spytałem.

— Trzeba nam cierpliwie dalej badać i śledzić jego kroki. Mamyż go pod ręką. Potem, myślę czyby się czemś nie zabezpieczyć, bo pewnie ich szpiegi nie próżnują.

— Czémże się zabezpieczyć możemy—rzekłem.

—Iść do biskupa i wyznać mu całą prawdę, odmalować straszne nieszczęście, co nam grozi i wskazać na Bzowskiego: Oto człowiek, którego pochwycić trzeba. Innej drogi nie widzę.

— Ale ja znajdę inną. Muszę go widzieć, muszę z nim mówić. On nie wie o śmierci swojej matki. Czy sądzisz, że przyjmie to obojętnie? Ja mam mu powiedzieć to, co mi umierająca powiedzieć zleciła. On ją kochał i czcił zawsze a bał się jej gniewu. Ta wieść może go powstrzyma i pewnie powstrzyma. On nie będzie w stanie dźwigać na duszy jej przekleństwa, idąc w tę drogę straszną. Jeszcze nic straconego. Wydać

go w ręce sprawiedliwości! a czyś pewny. że ta sprawiedliwość nie obróci się dla niego w nieubłaganego wroga? Jeszczeż jego ręce czyste — jeszcze nie spełnił żadnego okrutnego czynu — mamyż wrogom jego, sami broń wcisnąć w ręce?

Mówiła to z wzburzeniem wielkiém. którém jak gdyby przygnieść mnie chciała za to, żem śmiał podobną myśl wyjawić.

— Kocha go zawsze. bez upamiętania—pomyślałem i jeszcze na szubienicy kochać go będzie. Ha, to darmo!

I w téj saméj chwili, stanęła mi w myśli cała młodość nasza, razem przebyta a przypomniał mi ją promień słońca, który zajrzał do izby i wzdrygnąłem się i zawstydziłem mojéj słabości. Czyż w śnie tych dni szczęśliwych nie powinienem być dlań tém, czém i ona? Czy nie powinienem utopić téj przeklętéj miłości, co mi nie pozwala braterskim płonąć afektem i do czystego poświęcenia mieszała mi ciągle krople jadu i trucizny.

Otrząsnąwszy się z tego przygnębiającego mnie stanu, co hamował wszystkie moje uczciwe popędy, rzekłem doń:

— Masz słuszność Salomejo, przebacz mi, wypowiedziałem to wszystko bezmyślnie. Tak, tak, ja wierzę w skuteczność twoich zamiarów. Idź doń! Siłą twéj wymowy, potęgą twéj miłości sprowadzisz tego nieszczęśnika z drogi przepaści. Idź! Przebacz mi samolubne moje myśli—dyktowała je niegodna żądza. Czyń wszystko, co uznasz

za dobre, ja będę twoim obrońcą, pomocą, twym sługą.

Popatrzała na mnie tak, jak nigdy jeszcze, potém wyciągnęła ku mnie rękę.

— Takim będę cię kochać Krzysztofie.

Wybiegłem, aby iść do kościoła i w modlitwie szukać lekarstwa na te męki, co mi duszę szarpały.

W kościele Reformatów przypomniał mi się Bzowski, kiedyśmy obaj święcili w nim braterstwo i przyjaźń dozgonną.

Ten sam nawet ksiądz odprawiał mszę świętą, co wówczas błogosławił naszym ślubom, po owéj bezsennie spędzonéj nocy, gdzie to duma jego się kruszyła, takim samym był poranek jasny i ptactwo z świegotem zaglądało w okna kościelne.

Oh Boże, tylko w naszych sercach robak złego się lęże. Ani jeden nie dotrzymał tego, cośmy tu czystemi usty w obec kapłana przyrzekli. Spraw panie, niech ja wolen będę téj zmazy, daj mi moc i wytrwanie, wyrwij z serca nieczystą siłę i dozwól dokonać dzieła uczciwie poczętéj sprawy.

Ukrzepiony na duchu wracałem już do gospody, by powziąść dalsze plany.

Spotkałem Stanisława, którego Salomeja wysłała za jakimś sprawunkiem, zawachałem się, czy wejść teraz do domu, kiedy może potrzebuje być samą, jednak jak gdyby siła nieprzeparta jakaś popychała mnie naprzód.

Poszedłem — ale zaledwiem stąpił na parę sto-

pni. usłyszałem krzyk a potém dudnienie po schodach.

Wyleciał Żyd jakiś, który krzyczał:

— Gwałtu, rozbój, morderstwo!

— Kto, gdzie?—krzyknąłem, chwytając go za gardło.

Zaczął mi się szamotać.

Popatrzałem w tę twarz i poznałem... Fiodora.

— Ach, już teraz mi się nie wymkniesz psi synu.

Narodu otoczyła nas gromada.

Uczułem, jak dwóch porwało mnie z tyłu za barki, a zbrodzień silnie pchnął w piersi.

Upadłem, ale jednocześnie czterech ceklarzy miéjskich, co przybiegło na krzyk, pochwyciło złoczyńcę.

Tamci rzucili się zajadle, aby go odbić.

Zaczęła się walka.

Przybyło więcéj miejskiéj służby, ale poradzić było trudno.

Wtém wypadł strzał i powalił hultaja na miejscu.

Tamci się rozbiegli, jakby ich ziemia skryła.

Strzał wypadł z naszych okien.

Pobiegłem na górę.

Zastałem Salomeję na ziemi, broczącą krwią.

W oknie stał Stanisław z świeżo wystrzeloną strzelbą.

— To on był, zbrodzień, Kozak, Fiodor czar-

ny—rzekła słabym głosem.—Odkryli nas. Chciał mnie zamordować.

Tu!—wskazała na ramię,—zadał mi ranę. Krew uchodzi.

Ratujcie!

— Już on nie powstanie więcéj — rzekł Stanisław.

Krzyknąłem, zbiegli się ludzie, znalazł się na podręczy i cyrulik.

Posłałem po doktora.

Ranił ją kindżałem głęboko, ale nie bardzo szkodliwie.

Żelazo obsunęło się po jabłku.

Ocalenie zawdzięczała swéj sile i energii.

Wleźliśmy w straszną sieć zasadzek i pułapek.

Już teraz i Bzowski nie był panem siebie, bo i jego otaczała cała zgraja szpiegów, na których czele słał Fiodor, a która teraz mścić się będzie jego śmierci.

Iść za nim, gonić go, znaczyło to, rzucić się na śmierć pewną, jaka nam zewsząd groziła.

A jednak nic nam innego nie zostało.

Po dwóch tygodniach odzyskała zdrowie.

Podczas tego, trzeba było stawać w grodzkim sądzie i manowcami wykręcać się z téj sprawy, aby się nie wikłać niepotrzebnie.

Uradziliśmy, że znów wezmę chłopską sukma-

nę, bo i teraz nie można było inaczéj — włażąc w samo czeluście tego piekła.

Stanisława mieliśmy zostawić w Krakowie.

Wolno nam było szafować naszém życiem, ale się nie godziło narażać życia młodzieńca.

Udało mi się go umieścić przy dworze biskupim.

Bzowski dawno zniknął.

Byliśmy pewni, że już rebelia na dobre się rozpoczęła.

Z obozu dobrych wieści nie było.

Posępne a ciężkie oczekiwanie czegoś, widne było na wszystkich.

Miasto się wyludniło i posmutniało.

Podwojono warty i straże.

Rankiem we Środę, nazajutrz po święcie Świętego Stanisława, ruszyliśmy drogą do Nowego Targu.

W Pcimiu stanęliśmy dla popasu.

Uderzyła nas szczególniej jedna okoliczność.

Oto wszystkie chaty umajone były świerkiem, młodą brzeziną i wikliną.

Do zielonych świątek było jeszcze daleko, zkądże ten nowy zwyczaj?

Robót żadnych nie widziałeś.

Chłopstwo ubrane odświętnie, gwarzyło w gromadkach przy dworze, przed domami, przed karczmą—a w karczmie saméj, trudno się było przecisnąć przed tłumami.

— Czy tu święto jakie?—pytam baby siedzącej na przydrożnym kamieniu.

— A no święto—co niema być święto.

— A jakiegoż świętego dzisiaj?

— A zkądżeście wy ludzie?

— My zdaleka.

— To u was jeszcze nie świętują?

— Nie.

— No to będą.

— A jakże się ten święty nowy nazywa — pytam znowu.

— A kto go tam wie. Wynalazł go nam nasz bakałarz Radocki. Nazywa się pono *Swoboda*... czy jakoś tam. Ciągle oni tam wszyscy o tym *Swobodzie* rozmawiają. Dyć jeno posłuchać.

I w samej rzeczy wyraz ten był na ustach u wszystkich. Młodzi szczególniej wykrzykiwali. starzy niedowierzająco kiwali głowami.

Wtem na drodze pokazał się chłop jakiś w szybkim pędzie, zmierzając ku karczmie i zwołując do siebie tłumy.

Wszystko się poruszyło.

On tylko kiwał ręką i wołał:

— Do ojca Marcina! do ojca Marcina!

Poszliśmy za nimi i zmieszali się w tłumie.

Przed budynkiem szkolnym, na ławie, przy samej ścianie pobielanej wapnem, stał człowiek wysokiego wzrostu, odziany w długą czarną suknię.

Miał lat pięćdziesiąt kilka. Twarz to była bez żadnego zarostu, poorana zmarszczkami, niby

bruzdami. wklęsłe policzki, oczy czarne, nad którémi brew gęsta. o długich włosach w doktorskim birecie.

Usta miał zaciśnięte, wodził wzrokiem po tłumie, który coraz gęściéj przybywał.

Dla ostentacyi stało przy nim dwóch drabów.

Gdy się już uciszyło wszystko, przemówił:

— Pozdrawiam was w imię Chrystusa.

Cały tłum dziękczynnie odpowiedział:

— Posłuszni prawom królewskim, których tłumaczem jest Imć pan Leon ze Sternbergu Kostka Napierski pułkownik jego królewskiéj mości, zebrać się macie w Rzeczycy, gdzie usłyszycie jego wolę. Przestrzegać wszystkiego, co wam już było objawioném przezemnie. Nie słuchać nieprzyjaciół króla, tych przewrotnych Filistynów. Wierzyć w miłosierdzie pańskie, albowiem przyszły czasy zadosyćuczynienia krzywdom waszym. Teraz odejdźcie wpokoju. Pozdrawiam was.

I znów tłum cały ryknął na pożegnanie.

Starzec ich pobłogosławił i zszedł z powagą z swéj ławki do wnętrza domu.

— Wiemy już, gdzie go szukać—rzeknę do Salomei.

— Im bliższą godzina naszego z nim spotkania, tém większą czuję trwogę i jakby jakieś złe przeczucie mnie ogarnia. Nie wiem, jak się skończy ta sprawa, ale skończyć się musi niedługo, bo czuję, jak gdyby mi życia już niewiele zostało.

— Oh. nie mów tak. bo cóżby się stało ze mną?

— Popłaczesz za mną i zapomnisz.

— Prędzej zapomnę Boga, Salomejo.

— Nie bluźnij, człowieku. Słuchaj! Jeżeli umrę, przysięgnij mi. że pogrzebiesz moje szczątki tam na zgliszczach naszego dworku, na Ukrainie i usypiesz mi mogiłę wysoką. podobną do tych. jakie tam sypią zmarłym wojownikom. Będą się na niej uśmiechać kwiaty i zielenić zioła. Przyrzekasz mi to?

— Salomejo, zkąd ci te myśli?

— Te myśli to przeczucie niedługiego już końca—za wielem zniosła w mojem krótkiem życiu. Gdy powróci spokój do tej znękanej ziemi i znów miodem i mlekiem zasłynie. będą ludzie wspominać o jednej szalonej dziewczynie, co chciała dokonać dzieł niepodobnych do wiary.

— Salomejo, miej ufność w Bogu. dokonamy ch oboje i ty żyć będziesz dla szczęścia mego

— Dla szczęścia?..

— Nie ufasz mi?

— Oh, ufam... jesteś dobry... tylko widzisz losów naszych my nie mocni zawrócić. spełnić się one muszą.

Oparła się na mem ramieniu wiotka, jak trzcina.

Wróciliśmy do karczmy.

Posadziłem ją na ławie bladą, zmęczoną. wyczerpaną z sił tak. jakby już śmierci blizką—aleć to było chwilowe. miała ona dokonać jesz-

cze takich rzeczy, co zdumieniem potomne przejmą wieki.

Przysłuchywaliśmy się rozmowom chłopskim.

Jak między ludźmi: byli tam zaciekli buntownicy. byli i ludzie rozważni.

— Zanim pójdę do Rzeczycy, wstąpię do księdza Dziekana w Jordanowie, — mówił jeden — a jak on powie, tak będzie.

— Wiem ci ja naprzód. co powie. Przecie oni za szlachtą.

— A nieprawda, bo za sprawiedliwością. A nie pamiętacie, jak się ujął za Wołczakiem, kiedy go Podstarości pognębił?

— Bo i prawda. A kto pokutę ciężką zadał panu Domaradzkiemu za znęcanie się nad ludem?

— A kto w czasie moru chodził po wsi z żywnością?

— Kto wypędził żyda zdziercę z arendy w Sieklinie?

— A kto nam na przednówku pożycza ziarna?

— A kto wyleczył z ciężkiéj niemocy Bartkową Nawitkę.

I tak tym „*A kto?*“ nie było końca.

Pokazało się z tego, że on, ksiądz Dziekan Stanisław Domachowski. był prawdziwym opiekunem i opatrznością ludu, prawie już świętym za życia.

— Do Jordanowa! Do Jordanowa! — krzyknięto.

— Do Rzeczycy! Do Rzeczycy! — wrzeszczeli inni.

I tak dwie stanęły partye, jakby u nas na sejmie.

Przyłączyliśmy się do pierwszej i nie zwlekając, pociągnęli do Jordanowa.

Cudnym podgórskim krajem w dzień jasny i pogodny Maja, stanęliśmy z chłopstwem w Jordanowie.

Słońce miało się ku zachodowi.

W małym domku, przy kościele zwanym wikaryjką, otoczonym lipami do około, mieszkał ksiądz Stanisław, drugi dom wielki, plebanią odstąpił swym wikaryuszom i ubogim.

Mieszkał sam jeden, obsługę spełniali mu kolejno chłopi z dobrej woli.

Połowę swoich dochodów rozdzielał między biednych, drugą połowę łożył na szkoły, które po wsiach swego dekanatu zakładał.

Prawie dzień cały przepędzał staruszek na wózku, niosąc wszędzie ulgę i pomoc w cierpieniu. I dziś tylko co powrócił.

Skromne pożywienie przynoszono mu z plebanii.

Gdy wyszedł przed dom, wszystko chłopstwo rzuciło się doń, całując ręce i nogi, i suknie.

Zdawało mi się widzieć świętego apostoła i niby jakiś jasny nimbus nad jego głową.

Staruszek był czerstwy, rumiany z włosem białym, jak gołąbek. Duże niebieskie oczy patrzyły z dobrocią i słodyczą na ludzi.

— Czegoż to chcecie moje dzieci?—zapytał.

— Pozwólcie mnie ojcze czcigodny i tej oto dziewczynie, — rzekłem, — uczynić przed wami spowiedź, ma ona związek z tém wszystkiém, co się i tych ludzi tycze.

— Wejdźcie.

W domku owym były dwie izby. W jednéj sypiał, w drugiéj było laboratoryum, gdzie wyrabiał lekarstwa.

Czyste, białe ściany zawieszone półkami, na których stały słoiki, maście i zioła.

Opowiedziałem mu, ktośmy i za czém jedziemy.

— Dobrzeście zrobili, żeście do mnie przyszli, pójdę z wami wszędzie, będę wam obrońcą i stróżem od rozbójniczych noży. Wiedziałem już o wszystkiém. Przed kilku godzinami spotkałem tego młodzieńca w Nowym Targu, w towarzystwie zbójców. Ma on przy sobie uniwersały królewskie, które mu sfałszował bakałarz z Pcimia, i niemi łudzi wszystkich. Potrafił nawet uwieść podstarostę Zdanowskiego, który mu się oddał duszą i ciałem.

Potém wyszedł przed dom i rzekł do chłopstwa:

— Wiem wszystko. Będę pojutrze w Rzeczycy i wy tam bądźcie. Jeżeli to sprawa czysta,

będziecie jéj służyć dzieci moje, gdy niegodna, będziemy przeciw niéj walczyć. Bóg z wami.

Dawnom tak nie zasypiał rozkosznie, jak pod tym dachem, zdało mi się, że święte zastępy aniołów unoszą się po nad domkiem, chroniąc go od złéj przygody.

Salunia spała w drugiéj izbie.

Zjawiła nam się zrana uśmiechnięta z dawno nie widzianym rumieńcem na licu.

— Ojcze Święty,—rzekła, całując go w rękę.— chciałabym życie całe mieszkać pod waszą opieką. Bóg tu z wami przebywa.

— Przebywa on wszędzie, córko moja, tylko nasze serca nie zawsze godne na jego przyjęcie. Skołatana dusza widmami zbrodni i zgrozy zapomina o nim, a przecież w nim tylko uspokojenie i szczęśliwość. Używajcie u mnie spokoju, aby zaczerpnąć sił do jutrzejszéj wyprawy.

W dolinie zamkniętéj ze wszystkich stron górami, gdzie niepodobno się dostać ani wozem, ani konno, chyba na małym góralskim cherlaku, co więcéj podobny do szczura, niż do konia, między Nowym Targiem a Czorsztynem, siedzi wioseczka Rzeczyca, gniazdo rabusiów, opryszków i wszelakiego rodzaju drapieżnego tłumu, co się przed okiem sprawiedliwości zwykł chronić.

Prowadzą do téj doliny ścieżki, krzyżujące się w przeróżnych kierunkach po urwiskach i prze-

paściach, a nieświadomego tych dróg, gotowe zaprowadzić i na węgierską stronę, i z powrotem do Nowego Targu, i do Czorsztyna, i do Krościenka albo Staréj wsi, lub Poronin, ale nigdy na miejsce, bo trzeba właśnie przebyć w bród kilka razy Dunajec, który się tu wije wężykiem, potém obejść skałę wielką, co ją tu lud dyabelskim stołkiem nazywa, bo i podobna do stołka, a wreszcie spuścić się wązkim parowem, przebyć gęsty las świerkowy, aby się znaléźć na miejscu.

Istne to przedpiekle.

Gdzie okiem rzucisz, do okoła nagie skały, niby olbrzymy stojące na czatach i gotowe spaść z piekielnym grzmotem na stojące u ich podnóży ubogie chatki góralskie.

Słońca tam skąpo, bo zaledwie kilka godzin o południu się pokaże, a reszta dnia pogrążona w cieniu.

Nic tam nie sieją ni sadzą, bo i niéma gdzie, kozy tylko i czasem owce czepiają się po skałach.

Konie z wózkiem zostawiliśmy w Poroninach, a ztamtąd piechotą z przewodnikiem naszym, księdzem Stanisławem, dostaliśmy się do Rzeczycy.

Zastaliśmy już przed karczmą tłumy górali i rozbójników pijanych, spiewających i tańczących, przy kobzie.

Szliśmy wprost za naszym staruszkiem, który nie obzierając się na nikogo i nie mówiąc z nikim, choć chłopstwo znało go dobrze i usuwało się

z drogi, wszedł do chaty tuż przy karczmie stojącéj.

Zastaliśmy w niéj starego chłopa, który gdy ujrzał księdza, zerwał się prędko z ławy, przypadł mu do nóg i mówił błagalnym głosem:

— Jam tu nie winien. Bóg mi świadek. Znacie ojcze święty, Stanisława z Łętowni, znacie Bajusa strasznego. Kazali—a im się nie sprzeciwiać. To rozkaz królewski, prawi. Dziwném mi się wydało, aby król z rozbójnikami wchodził w spółkę... Nie macie to miejsca na węgierskiéj stronie, w Oparach albo Rudnicy, mówię. Nie... my tutaj wiecować będziem... A potém wszystko spadnie na sołtysa.

— Nie czynię ci wyrzutów żadnych. Wiem, żeś niewinny. A gdzież syn twój?

— A ot przy karczmie, docina tam tym rabusiom i przekomarza się z nimi.

— Słuchajno Antoni, wyjdź sobie do nich z chałupy i baw się, jak umiesz i możesz a my tu zostaniemy. Siądziem przy oknie i patrzéć i słuchać będziem, co się opodal przed karczmą dzieje. A twojaż kobieta jak się ma?

— A ot w komorze ciągle, niedomaga jeszcze, ale już nie tyle.

— Mam dla niéj leki, które ją pokrzepią. Gdyby się spytano, po com przyszedł, powiesz, że do twojéj choréj baby, a to są ludzie z Staréj wsi, których spotkałem po drodze i których zabieram

z sobą do Jordanowa, bo dziewczyna ta chora na zimnicę.

— Rozumiem.

Chłop otworzył okienko, pod którém rosły krzewy kwiecia tak, że niewidziani od tamtych, wszystkośmy widziéć i słyszéć mogli.

Chłopstwa przybywało, jak na odpust, niektórzy uzbrojeni w kosy i pałki, niektórzy mieli strzelby.

Za nimi postępowały baby i dzieci, popłakując.

Zaledwieśmy siedli na owym posterunku, rozległy się szalone krzyki i wiwaty.

Witano nowo przybyłego chłopa z kilkoma towarzyszami.

Kobiety powychodziły z chałup na jego spotkanie i wszyscy pociągnęli ku karczmie.

Ozwały się krzyki: Bajus! Bajus! Witajcie! Witajcie!

Ten, co się nazywał Bajusem, był chłop niskiéj postawy, ale krępy i zwięzły w sobie.

Przywitał się ze wszystkimi wesoło. Kazał wytoczyć z karczmy beczkę wódki; rozlano ją w szklenice i rozpoczęła się zabawa.

Skinął na kobziarza, co siedział dotąd pod ścianą, kazał mu wléźć na stół i przygrywać sobie do tańca i spiewu.

A co to były za spiewki!

Zapamiętałem je dobrze i ciągle jeszcze w uszach mi dzwonią.

„Niemasz ci to niemasz, jako panom w piekle
Użyją, napiją, nasiedzą się w cieple.“

I po każdéj takiéj spiewce, puszczał się w taniec z góralką.

— Bodaj i prawda. Psiawiary, im i w piekle dobrze—powiada jeden z górali.

Nastąpiła druga zwrotka.

„Nie boję się pana, ani jegomości,
Wezmę siekiereczkę, porąbię w nim kości.“

— I dotrzyma, jak amen w pacierzu. Nie jeden tam już ziemię gryzie.

A wtém wystąpił młody i raźny parobczak, i rzecze:

— Ale i jemu dotrzymają.

Muzyka wciąż brzmiała w jeden ton. Wziął sobie góralkę i odciął mu się takim wierszem.

„Bratowie, bratowie, kochani bratowie,
Będą wam ścinali główeczki katowie.“

— Niech tam! Co będzie jutro, nie dbam. Masz mnie Bajusie, jam twój duszą i ciałem... i porwał góralkę i do muzyki mu zaspiewał:

„Owce moje owce
Niech was pasie, kto chce.
My was paść nie będziem
Bo na rozbój pudziem.“

— Niech żyje Bajus i cała banda!

A Bajus na to:

„Kiedy ja podskoczę z buczaka na pniaka
Nie z jednego pana urobię żebraka.“

— A dobrze! niechby pokosztowali owsianego chleba.

I znów wystąpił ów dziarski góral i odciął mu:

„Na dole, na dole szubieniczek dwoje,
Wybieraj se chłopcze, które będą twoje.“

Tego było już za dużo owemu Bajusowi, wyrwał toporek z za pasa i rzucił się na górala.

— A nie pójdziesz mi ty psie, co ciągiem doszczekujesz. Duszę z ciebie wypędzę!..

I byłby mu łeb rozpłatał, gdyby sołtys nie stanął między nimi.

— Hola Bajusie! wolno ci bandy werbować, ale od topora wara!

— Nie bójcie się ojcze, zna on już rękę Antka Smolika.

— Czego mi ten pies warczy, kiedym wesół— prawi Bajus. — Głuptasy wy, kiedy wam mówię, że się niewola skończyła i że co pańskie, to nasze, nie wierzycie mi?... Panowie na zatratę skarani. Tam na Ukrainie. wygubią ich Kozacy, a my tu resztę zdławim. A przypatrzcie mi się niewiary! Wczoraj zabiłem Trojanowskiego w Januszkowicach, jutro zgładzę Domaradzkiego w Ropie... i nic mi nie zrobią. W biały dzień po Nowym Targu chodzić będę, A ot moja zdobycz dzisiejsza!

I tu skinął na chłopa, który rzucił na stół duży

tłómok. Z tłómoka tego wydobywał drogie pasy, klejnoty, krzyże, bogate ubrania męzkie i białogłowskie, poplamione krwią. Wreszcie odpiął z siebie trzos wyładowany pieniądzmi i rzucając go na stół, rzecze:

— Za to kupiłbym połowę Podhala.

Potem zanucił:

Polana polana
Nie jednego pana —
Polanę skosili,
Pana obwiesili.

Dajcie wódki. A wy gazdowie, majcie chaty zielono, wiecować i świętować będziemy.

— Tam w waszych norach, w czarnéj turni, przy Suczym stawie, gdzie słońce Boże niezaświeci, gdzie jak krety chować się musicie, wiecować będziecie... ale tu niedoczekanie wasze... mówił sołtys,—aleśmy czuli, że to więcéj mówił dlatego, abyśmy go słyszeli, a nie z duszy i przekonania.

Pijatyka szła okrutnie.

Dzikie wrzaski pijanych kobiet i dzieci. Coraz ohydniejsze piosenki nie ustawały.

Cóż to za straszne obrazy przesuwały się przed nami.

Nieraz zdawało mi się, że marzę, że to wszystko snem zwodnym a nie rzeczywistością.

Byłem, jak ten lunatyk lub pijany.

Patrzyłem na Salomeję, pytając ją, czy to prawda?

— Widziałam ja straszniejsze rzeczy i niczemu się już nie dziwię. Patrz teraz i słuchaj.

I rozległ się z gór przeciągły okrzyk, który echa powtórzyły:

— Hej ha! Witajcie!

I zsunął się ze skał młody góral.

— Janosik!—krzyknięto razem.

— W imię ojca... a ty zkąd?

— Ze dworu—odpowiedział.

— A tam po co?

— Nic. Już cicho! Podstarościego w łeb, gospodynię w piersi i hajże do hal! Ale dziwniejsze ja wam rzeczy powiem. Koniec świata moi ludzie. Sawkę i Czepca wieszać mieli w Nowym Targu, aż tu zjawia się pan młodziutki, królewic jakiś, piękny. jak anioł. Każe ich uwolnić i powiada, że mu będą potrzebni, aby iść w pomoc królowi na szlachtę.

— To Bzowski—rzekłem.

I znów rozbrzmiały okrzyki i nowa banda wtoczyła się w dolinę, a z niemi Martinus Radocki, bakałarz z Pcimia.

— Ha, ha, ojciec Marcin!—krzyknięto.

— Pozdrawiam was dziatwo bożego ludu — ozwał się z powagą uroczystą.

— Witajcie! witajcie!

Przestano spiewu, nastała cisza. Wszyscy otoczyli go kołem.

Popatrzał po tłumie, podniósł ręce do góry i rzekł stentorowym głosem:

— Witajcie i radujcie się w panu! Nie przychodzę dziś do was z próżnemi sakwy. abyście mi je chlebem powszednim napełnili. Nie dzieci moje, dobrą nowinę wam zwiastuję, albowiem spełniona jest wielka obietnica Pana, „wybawię lud mój z niewoli.“

Patrzcie dzieci! usta moje są czyste. Pan przezemnie przemawia. Wołajcie tu wszystkich. Rozgrzmiejcie imie Pańskie na wsze strony świata, niech echo gór powtórzy najdalszym stronom, wielką swobodę ludu.

— Hola, wyłaźcie z chałup gazdowie. Pójdźcie słuchać mądrych słów ojca Marcina — wrzeszczał ten, co go Janosikiem zwano.

— Rzucajcie jarzmo niewoli, poczujcie dziś w sobie znamiona człowieka, co jęczał wieków tyle pod batem tyranii nieludzkiéj, albowiem dzień wesela dla was przychodzi. Ci, co was gnębili, ugną karki przed wami i połowę ziemskiego mienia dać wam muszą, bo Pan powiada „dziel się z bliźnim.“

Cała jego postać nabierała, jak gdyby natchnienia, ręce drżały, zdawał się rość co raz większy.

— Długo pokutowałem, odziany worem zgrzebnym niedostatku, dręczyłem ciało moje i odprawowałem posty nędzy, poddawałem grzbiet mój uciskowi i plagom, gryząc ręce w wściekłości

niemej i rozpaczy, aż oto objawił mi się Pan i rzekł:

„Marcinie! idź między lud mój wierny i powiedz mu, żem zesłał na ziemię człowieka, który ich oswobodzi i szatana pychy, co ich gnębił dotychczas, zdepcze."

I oto przepasawszy biodra moje i wziąwszy kostur, przychodzę do was i wołam:

Dzieci kochane! chcecież zakosztować ziemskiego dobra i wolności świętej, której lada ptaszynie Bóg udziela? Więc wstawajcie! Do broni! Pójdziemy jak Izrael z mieczem ognistym i tępić będziemy Filistynów.

A wiecie, kto są Filistynowie, co umęczyli Boga, depcząc bezkarnie nędznych i małuczkich swych braci?... to są panowie, to są Lachowie przeklęci, rodzeni bracia Lewiatana i Astarota, poganie, co tam na równinach hołd nieprawemu cielcowi niosą i króla od Boga nam danego, który was zawsze kocha i broni, za nic ważą. U których miłosierne uczynki, w ustach tylko szumnie brzmiących a w sercu zło, pycha, gadziny nieprawości i występku. Więc w imię króla zemsta im!

— Zemsta!—ryknęli zbójcy.

— Niech kamień na kamieniu nie zostanie z ich pałaców, pysznych siedlisk zbytku i rozpusty, a ktokolwiek z was rękę im poda i bronić ich będzie, tego rozsiekać i dzikiemu ptactwu dać na pożarcie.

Wołajcie mi sołtysa! Palcie ognie na górach, niech lud się zbiera i łączy z nami, aby na wrogów uderzyć.

— A za czyim rozkazem?—spytał sołtys.

— Za królewskim. Lada chwila, stanie tu pomiędzy nami Leon ze Sternbergu Kostka Napierski, w którego żyłach krew królewska. Pod jego chorągwią pójdziemy wszyscy, na zburzenie Babilonu. Pod jego chorągwią, deptać będziemy pychę i nieprawości tych, co nas gnębili i zabijali. Pod jego chorągwią stanie nowa Polska szczęśliwa, błogosławiona, wolna i bezpieczna.

— Koniec świata—i komu tu wierzyć!— rzekł Sołtys.

Ksiądz Stanisław stał za nami i patrzał na tego strasznego człowieka, co wymową swoją rozpalał te dzikie tłumy, garnęło się wszystko do niego i przypadało plackiem do ziemi.

Staruszek był wzburzony, bo ci właśnie, na których liczył najwięcéj, ci otaczali bakałarza i krzyczeli najwięcéj,

— Oh, szatanie zniszczenia i zagłady — rzekł —dziś dzień próby, dziś zobaczę, ile mam ziarna w tym kąkolu.

— Hola!—krzyknął Bajus—Świstak! Kruczek! Leć mi do czarnéj turni, niech chłopcy moi przybywają wszyscy.

— Prawda ojcze — rzekł Janosik do Bakałarza—że w Żeglcu i w Budzynie już się ruszyli?

— Tak, Pan oświecił ich umysł i już padło

kilku Filistynów z ich ręki. Wszyscy tu ciągną w Rzeczycką dolinę. Widzicie tam przy Smerczyńskim stawie coraz więcej ich przybywa. Niech pan pochwalony będzie.

Rozległy się krzyki.

— Hola! bywaj! bywaj!

— Huha!

— To Czepiec i Sawka z pod szubiennicy wracają.

— Wydarci z paszczy Lewiatana — rzekł Bakałarz.

Pan za narzędzie zemsty. wybiera najstraszliwszych. Niech się wielkie dzieło pełni.

Rozległ się spiew:

„Pójdziemy, pójdziemy na pana jednego,
Będziemy się dzielić, dukatami jego.“

I dwóch zbójców niesionych przez tłumy, zjawiło się przed karczmą.

— Ho. to ztamtego świata—zakrzyczał któryś.

— Jużem czuł zapach piekielnej siarki—rzekł jeden ze zbójców, nazwany Sawką.

— Mnie sto świeczek w oczach stanęło i przysiągłem, że już noża do ręki nie wezmę—powiedział Czepiec.

— Tylko siekierę—rzekł Janosik.

— A po drodze zrabował podstarościego w Koziglowie.

— Bom był głodny. Pić dajcie.

I przyłożył usta do kurka u beczki i byłby pił do śmierci, gdyby go nie odsadzono.

— Jest to jeden z hultai, którego ja już raz wyprosiłem od śmierci—rzekł ksiądz Stanisław—drugi raz uwolnił go Bzowski. Tego dnia, kiedyście do mnie zawitali, byłem w Nowym Targu i widziałem go na pół żywym, wracał z pod szubienicy—gdy mnie zobaczył, upadł do kolan i poprzysiągł mi, że to po raz ostatni.

Podczas tych słów księdza, wszczęła się między nimi żywa kłótnia i zaledwie ksiądz domówił słów swoich, gdy się odezwał Czepiec:

— Mówię wam, że nie pójdę, bo to wszystko czarta dzieło: Ksiądz Stanisław z Jordanowa, kiedy mnie zobaczył, powiedział: „Czepiec, już drugi raz Bóg cię ocala od śmierci okrutnéj, to cud zdziałał nad tobą...“ a i ja widzę, że cud. Dość mam tego. Do hal pójdę paść owce, a was znać nie chcę więcéj.

Zaledwieśmy uszom naszym dowierzać mogli.—Przypadliśmy do starca, całując jego ręce—a on:

— Więcej się pocieszysz z jednego nawróconego, niż z 99 sprawiedliwych.

Wtém Bajus dobył noża i postąpił ku niemu.

— Ja ci pokażę drogę do hal twoich — rzecze.

Bakałarz go powstrzymał.

— Stój! — a ty człeku słuchaj: Byłeś zbójcą dotychczas, teraz pójdziesz bić się za króla i swobodę ludu.

— Króla znać nie chcę... a swobody w górach użyć można do syta.

— Nędzny, a któż cię uwolnił od śmierci niechybnej — prawił Bakałarz — jeżeli nie ten młodzieniec, wysłannik królewski. Starosta cię wieszać kazał. Król miłościwy uwolnił.

— Bóg mnie uwolnił, abym żałował za grzechy.

— Czekajcie, zaraz ja mu tę skruchę z serca wypędzę — rzekł Janosik. — Czepiec, a kogo to wygnał podstarości z chaty w Liptowie—nie matkę twoję?

— To i cóż, podstarości już zgnił — pchnąłem go za to pod żebro.

— I zostałeś zbójcą—rzekł Bakałarz, zbliżając się doń, biorąc go za rękę i wprowadzając w środek koła.—I za tę śmierć lichą, która była tylko zadosyćuczynieniem twéj krzywdy wielkiéj, tułałeś się jak zwierz dziki po lasach, bo tylko dla nas biedaków ich prawa surowe i okrutne.

A wiecież ilu zbójców siedzi w zamkach i dworach pańskich, wiecież nieszczęśni, ile krwi, ile okrucieństw spełnia każdego dnia, każdéj godziny, każdéj minuty i sekundy nieludzka tyrania panów? A prawa milczą, a gromy zawieszone nad ich głowami także milczą, milczy Bóg i wszyscy święci, bo za ich zbrodnie plugawe, wznoszą do Boga modły całe zastępy księży i mnichów i szepczą pacierze dziady i baby kościelne.

Gdy my chcemy pomścić krzywdy wielkie, czeka nas za to szubienica, ich zbrodnie wygła-

dzone i przebaczone za życia, otwierają im bramy raju po śmierci i śpią w pysznych swoich grobowcach, na których ręka pochlebcy, ryje złotem słowa chwały, sławy i uwielbienia.

Trząsł jego ręce w wściekłości dzikiéj.

— Słuchaj nędzny! Wróconyś po to z pod szubienicy, aby pomścić w trójnasób krzywdy twoje i twoich nieszczęsnych braci. Wróconyś po to, by ich przeklętemu prawu siły i tyranii, rzucić w twarz prawem słuszności i prawdy, prawem odwiecznéj sprawiedliwości, które jest fundamentem ewangelii Chrystusa Pana.

Zbudź się człeku! Czy zamarło w tobie poczucie zemsty, które robakowi nawet dała mądra przyroda. Oko za oko, ząb za ząb. Słyszysz! Zemsta, zemsta im!

— Zemsta! zemsta! Niech giną marnie!

Chłopstwo zasłuchane patrzyło w niego, jak w obraz święty, zda się wydobywał im z pod duszy myśli, które tam dawno spały a na głos tego szatana, budzić się zaczęły w całéj swéj nagiéj okropności.

Wymowę jego przerywały od czasu do czasu wykrzykniki dzikie, lub westchnienia tłumionéj wściekłości.

I byłby rozprawiał tak bez końca, gdyby nie nadeszła wreszcie chwila, któréjśmy tak gorąco oczekiwali. Rozległy się dzikie wrzaski i wszedł Bzowski.

Cały tłum pochylił się przed nim głowami ku ziemi.

Wyglądał iście wspaniale.

Strój na nim był czarny.

Twarz blada i posępna.

Tuż przy nim postępował olbrzym, Stanisław z Łętowni, zwany marszałkiem, herszt wszystkich zbójców w górach.

Za nim Krzemień i kilka nieznanych nam twarzy, znać Chmielnickiego hultaje.

Patrzał dumnie na tłumy.

Bakałarz powitał go przemową:

— Bądź pozdrowiony, wodzu ludu bożego! Ukazanie się wasze, to promień słońca, co do serc naszych zajrzało i rozradowało je. Zaledwie tydzień minął, jak stanąłeś w naszych górach, już wszystko kornie u nóg twoich leży. Od Babiéj góry, Krywaniu, Gerlachu, Łomnicy do Pienin i Dukielskiéj grzmią echa swobody. Bieskidy Tatrom, a Tatry Karpatom wtórzą, o zjawieniu się twoim. Pasterz porzuca ciche owce i topór chwyta. Niech drży Lach ciemiężyciel!... Chwała panu nad pany!...

— Widzicie tu regimentarza króla jegomości— rzekł olbrzym, który ich wszystkich wprzód zlustrował do koła—w którego obronie przeciw panom w ogień pójdziemy. Słuchajcie Bajusie, Sawku, Czepiec, Janosik, Bartosz, Żmija, Cyganie i wy wszyscy! Ja Stanisław z Łętowni, obrany przez was marszałkiem, ja idę pod rozkazy jego

a kto ze mną nie trzyma, temu śmierć. Niech chata każdego z was, począwszy od Nowego Targu do Krakowa, w zieloną wiechę się przystroi na znak. że z nami trzyma, bo czyj dom jéj mieć nie będzie, spalę go, rozorzę i konopie posieję.

— Hura! my z wami!

— Tak, za króla i dla króla walczyć będziemy—rzekł Bzowski,— bo i któż był zawsze waszym obrońcą, orędownikiem i opiekunem? Do niego wam były zawsze otwarte wrota i on litował się nędzy waszéj.

Gdyby nie miłość królewska, wygubiłaby was szlachta doszczętnie, gdyby nie miłość królewska nie mielibyście kęsa téj ziemi, którą uprawiacie z łaski jego. Więc powstajecie w imię waszego bytu i uzbrajacie dłonie za króla przeciw panom. Bo i wiecież, co grozi temu królowi od szlachty? Rokosz, nieposłuszeństwo, bunt, swywola. Mają oni w niwecz was obrócić do ostatka. lepiéj że wy ich obrócicie.

Obiecuję wam w imieniu królewskiém wszystkie wolności — dwory szlacheckie i wszystko, co w nich, będzie wasze. Wszystko, co spotkacie w pochodzie, prócz świątyń pańskich, niech miecz sprawiedliwości zmiecie.

Przysięgacie iść za mną i walczyć za życie na śmierć?

— Przysięgamy! — huknęły wszystkie gardła.

— Nie przysięgam!—krzyknął Czepiec.

Nastało ogólne zdumienie i cisza z początku. jak gdyby makiem posiał.

— Czepiec! Zdrajca!—ozwały się głosy.

— Ja nie zdrajca, ale przysięgać nie będę, bo z wami nie pójdę.

— Czemu?—spytał Bzowski.

— Wracam do hal. paść trzodę.

— Tyś pijany?—ryknął olbrzym.

— Za słuszną sprawę nie chcesz walczyć człowieku. wolisz ukryty w lesie napadać na bezbronego?

— Eh, ta wasza sprawa dyabła warta, mówicie. że za króla bić się będziemy. a król tam ze szlachtą i panami poszedł na Kozaków, a kiedy ich zdławi, do nas się weźmie.

Potem odwracając się do innych, dodał, wskazując na Bzowskiego:

— Nie wierzcie ani krzty temu oto.

— Nędzniku! tak-że mi to odpłacasz za uratowanie życia?—rzekł z gniewem Bzowski.

— To ja wam i dziękuję... ale duszy mojéj nie zaprzedam. Przysiągłem księdzu Stanisławowi, że już broni do ręki nie wezmę.

— Aleś nie przewidział nędzny tchórzu, że od naszéj szubienicy, nawet Pan Bóg cię nie wyprosi. Na gałąź z nim!

Ksiądz Stanisław już był przy nim.

— Ha, to wy ojcze święty? Widzicie, że dotrzymałem, ale widać, że od szubienicy się nie wyproszę... trzeci raz nie chybi... a mówią, że do

trzech sztuka. Dziéj się wola boża... Pomodlić się choć dajcie.

— Niéma czasu — rzekł bakałarz i przebił go sztyletem.

Upadł, krzyknąwszy:

— Jezus Marya!

— Na twojéj duszy ta krew. potworze. Bogdaj ci zaciężyła na strasznym dniu sądnym — rzekł ksiądz Stanisław.

— Wszystkich twoich wychowanków taki los czeka, a potém i na ciebie kolej przyjdzie stary obłudniku—mówił bakałarz, mierząc księdza dzikim wzrokiem. — Wiedziałem, żeś tu u sołtysa ukryty i dlatego zgotowałem ci tę zabawkę.

Ksiądz nie słuchał, zajęty nieszczęśliwym, który w mękach konania, czynił spowiedź i żałował za grzechy.

— Na przyszłość mistrzu, nie bądź tak porywczy—rzekł chmurnie Bzowski. — Czekać rozkazów moich.

— Lud poczuć musi wagę kary i żelaznéj prawicy, co nim rządzi, inaczéj go w karbach nie utrzymasz—szepnął mu bakałarz.

Bzowski popatrzał na tłumy groźnie i krzyknął:

— W drogę! Tobie Stanisławie, powierzam dowództwo Tatrzańskich Górali—ja z moimi ludźmi i rektorem Radockim, posuniemy się naprzód. a wy w trop nasz pójdziecie. Weźmiemy Czorsztyn. Ten Czorsztyn dany warchołowi, kosterze,

dziś w arendzie u żyda będący. Czorsztyn, który stanowi jednę z potężnych warowni na krańcach Rzeczypospolitéj, odbierzemy z rąk niegodnych i tam założemy kwaterę główną naszę. Tam z téj opoki granitowéj, któréj grzbiet po nad chmury wystrzelił, rzucimy grozę na wrogów. Jak orły spuścimy się na te nędzne puchaczy gniazda, by ich zdławić. Daléj więc do Czorsztyna!

— Do Czorsztyna!—powtórzyli wszyscy.

Wtedy ksiądz Stanisław wyprowadził Salomeję i tak we dwoje zastąpili mu drogę.

— W imię przenajświętsze Chrystusa...

— Salomeja!—krzyknął Bzowski! — Ty tu Salomejo?... a matka?.. matka moja?... Oh, nie mów, bo z twarzy twojéj czytam wszystko... Umarła?

— Umarła.

— Jam ją zabił — wyjąknął i zakrył twarz rękoma.

Stał tak długo, wreszcie przezwyciężając ten ból i jakby go zrzucał z siebie, rzekł:

— Ha, tém gorzéj! Umarła, złorzecząc mi matka moja. Ostatni węzeł zerwany. Nic, nic już nie mam na tym świecie, coby szacunku mego było warte... A więc w bój z nim, w bój straszny bez odpoczynku, bez wytchnienia. Zapłacę mu, krwawo zapłacę. Aż dotąd jeszcze skrupuły i wątpliwości jakieś wrzały mi w sercu—teraz już nie mam nic. prócz krwi pragnienia i mordów. Daléj więc za mną, drużyno!

— Wstrzymaj się!—rzekł ksiądz Stanisław.

— Precz z drogi starcze! Z drogi! Nie ufaj twéj kapłańskiéj sukni. bo ja dziś już nic uszanować nie potrafię... przejdę po trupie twoim.

— Przejdziesz, ale niedaleko zajdziesz młodzieńcze. Ten duch nienawiści i zemsty. który cię pchnął na tę drogę dziś, jutro w przepaść cię pogrąży bezdenną.

— Nie dbam, kiedy ostatnia godzina wydzwoni. byłem dziś ręce we krwi ubroczył.

— Ubroczysz ręce. ale sam zginiesz marnie. Cała Polska uderzy w ciebie i zdruzgoce i przeklinać cię będą w najdalsze pokolenia. Imię twoje, jako postrach. trwogę i oburzenie budzić będzie.

— Ja chcę tego.

— Precz sługo Molocha — krzyknął bakałarz, podsuwając się groźnie ku księdzu.

— Wara! — krzyknięto z tłumu — nie tykaj świętego człowieka.

Wtedy staruszek dotąd jakby zgarbiony, wyprostował się tak, że go zdaje się na łokieć przybyło, z oczu mu błyskawice się posypały. Wyglądał, jak archanioł depczący smoka.

I zaczęła się walka, walka anioła z szatanem.

— Synu ciemności i fałszu — rzekł ksiądz — gorszyś od psa, bo kąsasz rękę. która cię wykarmiła. Nikczemny wyrzutku. lud podburzasz na panów twoich. których kosztem zdobyłeś wiedzę—walczysz bronią ukutą z ich szczodrobliwo-

ści i dobroci. Niegodny stróżu i szafarzu światła, także to niecnie niém frymarczysz? wkładasz miecz obosieczny w dłoń dziecka, aby mordowało swych starszych braci i dobroczyńców.

— Nędzny sługo starego porządku i pleśni — krzyknął bakałarz. — Minęły apostolstwa czasy. Są chrześcijanie, są słudzy Chrystusa gnębieni i tępieni przez silnych i możnych, którym ty królestwo niebieskie obiecujesz.

Tam do nich idź, z swoją wymową ocukrzoną teologicznym syropem. Idź tumanić im głowy, że odrobiną rzuconą nam z swego stołu, uczynią zadość odwiecznéj sprawiedliwości. Tu zaś nie ustraszysz ich piekłem, ani mękami w przyszłém życiu, bo oni już poznali na ziemi piekło straszniejsze od waszego.

Jałowy głupcze ty!... Czy sądzisz, że gołębie serce twoje, którém się z niemi dzielisz, potrafi zatrzeć w ich pamięci odwieczną nienawiść ucisku i nędzy. Spojrzyj po tych twarzach. Szyderstwo mają tylko dla ciebie.

— Szydzić będą z miłości i poświęcenia tylko ci, w których duszach ciemno, jak w twojéj szatanie zniszczenia i złości, ale jak nie umiałeś w téj oto duszy prostéj, zbłąkanéj a uczciwéj, zasiać ziarna jadu i trucizny i dopiero twój sztylet umiał zamknąć te usta, tak nie potrafisz pociągnąć ich do mordu i pożogi.

Przystąpił do trupa i obnażył jego ranę.

— Patrzcie, patrzcie tu, jak ten szatan umie

nagradzać cnotę. Taki los czeka was wszystkich, gdy nie spełnicie tego, co on wam każe.

Szatanie ty, nie wiesz o tém, że wpierw musiałbyś wytoczyć wszystką krew moję, tak jak tę oto, zanim bym ci pozwolił zabrać choć jednę z mych owieczek—one pozostaną czyste, niewinne i uczciwe tak, jak ty zostaniesz brudnym i skalanym.

Nie będę ich straszył piekłem, ani dobierał słów miodopłynnych, bo oni znają głąb méj duszy i patrzą na czyny moje, bo oni odczują prawdę, jaką im przed oczy roztoczę.

I obracając się do ludu, mówił głosem wielkim:

— Oh, dzieci moje! Pójdzieciež za nieludzkim głosem tego szatana, aby mordować bezbronnych, niemowlęta, starce i kobiety, podczas kiedy panowie wasi walczą tam z wrogiem Chrystusa? Utorujecież drogę pogaństwu dzikiemu i pójdziecie sami w niewolę Tatarzyna? Uwierzyliście, że ten oto młodzieniec duchem zemsty natchniony, z królewskiéj woli do was przyszedł? Nie — on was poświęca na ofiarę swéj chuci.

— Starcze! — wrzasnął Bzowski, dobywając miecza.

— Mówcie, mówcie ojcze—ozwały się głosy.

— Uderz młodziku w te piersi, rozpocznij odemnie zniszczenia dzieło. Chełpisz się, żeś Władysława synem—nie—w tobie krwi królewskiéj niéma. Władysław był opiekunem maluczkich, a ty nędzny na zagładę ich wiedziesz. Człeku

małego ducha, ty szatańskiéj swéj chuci, spokojny lud poświęcasz, bo i jak daleko z nim zajdziesz? Zbudź się szatanie! Zaledwie wieść gruchnęła po kraju, żeś rokosz podniósł, już spieszy oddział wojsk na twoję zagładę. Upamiętaj się synu. Młodości twéj, dużo wybaczyć można. Zagłusz w sobie tę pychę, która tak szlachetnego ducha gniecie, skieruj te dary w dobrą sprawę młodzieńcze. Patrz—ja starzec do nóg się twoich chylę i wołam: Upamiętaj się!

— Szymonie!—zawołała Salomeja.

— Dosyć! W drogę! Za mną! — krzyknął Bzowski.

— Pędź, gdzie cię duch zniszczenia prowadzi. Ale wy zostaniecie — mówił, zwracając się do chłopstwa.—Dzieci moje, ja kapłan, którego ust nigdy nie splamiło kłamstwo, ja wam przysięgam na Chrystusa, że czarta sprawie służycie i że zginiecie marnie a żony wasze i dzieci przeklinać was będą. Kto sprawiedliwy a Boga się bojący, stanie po mojéj stronie.

— A ja wam przysięgam—ryknął bakałarz,—że opatrzność wiedzie was do wielkiego dzieła wolności. Słuchajcie mnie... ten starzec już tak lat pięćdziesiąt was durzy i obiecuje polepszenie doli waszéj — a czyż przez ten czas zmieniły się choć na odrobinę tyrania i ucisk waszych panów? Poddacież głowę pod jarzmo stokroć gorsze, bo dziś zemsta ich z całą wściekłością wybuchnie za to tylko, żeście zgrzeszyli myślą. Nie

lepiéjże zrzucić kajdany i pójść w bój z odwiecznym waszym wrogiem? Nie lepiéjże stworzyć dzieciom i wnukom swoim szczęśliwość, za którą wiecznie błogosławić was będą?

— Do mnie dzieci!—wołał ksiądz Stanisław.

— Do mnie!—krzyczał bakałarz.

Wtém wystąpił z tłumu chłop, stary Grzela z Rzepnika, zwany Kulasem, bo utykał na jednę nogę.

Miał on wielki mir i poważanie między chłopstwem, bo rozstrzygał ich spory i bójki, a był przyjazny dworom.

Siedział on dotąd milczący, mając przy sobie czterech synów, nie mieszał się dotąd do rozmów i sporów, a wszyscy chłopi patrzyli w niego, jak w tęczę, bo jego wystąpienie miało zdecydować o wyprawie.

— Co tu dużo rozprawiać—rzekł on, zbliżając się do środka koła i utykając na nogę.—I wy mówicie pięknie i pan bakałarz mądre racye gada.

Zrobiła się cisza wielka.

Wszyscy wrośli w swe miejsca i zbójcy, i ci, których już słowa księdza zaczęły ostudzać tak, że przeszli na jego stronę.

— Jeżeli za rozkazaniem królewskiém pójść mamy, to żeby tu takich, jak wy tysiące przyszło i jeszcze piękniej gadało—pójdziemy, bo król był ojcem i dobrodziejem naszym a panowie tyranami—ale król ten dzisiejszy ze szlachtą bije chłopstwo, więc to jest król szlachecki, nie nasz. Nasz

zmarł przed dwoma laty, a nazywał się Władysław... a tu Jan Kazimierz do nas się odzywa... to więc jest wszystko fałszem wierutnym... a kiedy król trzyma ze szlachtą, to my nic nie poradzim...

Potém przystąpił do Bzowskiego i pokłonił się:

— Ten młody pan jest synem nieboszczyka króla... widać to dobrze, bo i podobny do niego... ale on nas zbawić nie mocen przed szlachtą, gdy król nie trzyma z nami.

Potém obracając się do ludu, rzekł:

— Idźcie do domów chłopi.

Machnął ręką i kulejąc, zniknął w tłumie.

I wszystko prawie przeszło na stronę księdza— przy Bzowskim zostali tylko zbójcy z swoim marszałkiem.

— Hej do mnie Jantku—krzyknął olbrzym.

— Wiązać ich, wieś w perzynę obrócić—wołał bakałarz.

— Palić! mordować!—krzyczano.

Posypały się strzały.

— Zostawić ich!—krzyknął Bzowski.—Nie chcę krwi rozlewu, powrócą oni. Czas nam zbyt drogi. Rozprawimy się później. Dalej w pochód!

— Stracony,—rzekł ksiądz Stanisław, smutnie zwieszając głowę.

— Nie — ja go ocalić muszę. Błogosławcie mnie ojcze.

Ksiądz położył dłonie na jéj głowie, a nim się ruszyli z miejsca, przypadła do Bzowskiego.

— Słuchaj! Przysięgłam matce, że pójdę za tobą wszędzie, że nie spocznę, póki cię ojczyźnie nie wrócę. Zresztą, ja nie mam domu, nie mam gdzie głowy położyć i wszystko mi już jedno, czy między zbójcami wieść życie, albo zacnymi ludźmi. Ty wiesz, jestem trochę szalona, alem już taką na świat przyszła. Pozwól mi zostać przy tobie. Nie wypędzaj mnie. Wszak prócz ciebie, nie mam już nikogo na świecie całym. Ulituj się nademną. Będę twoją sługą, będę strzedz życia twego. Już nie wspomnę o tém, co gniew taki obudza w tobie—w niczém się nie sprzeciwię woli twojéj, tylko mi zostać pozwól.

— Zostań biedna dziewczyno. Byłżebym tak okrutnym dla ciebie?!... Przebacz mi. Jesteś tu samowładną panią. Ktokolwiek by czci twéj uchybił—zginie.

— Daléj w drogę.

I cała ta banda z pieśnią i okrzykami wyruszyła z doliny i za chwilę tylko echa dolatywały po nich.

Ciągle mi się jeszcze wydało, że śnię i że się przecie zbudzę w Jurkowicach lub w moich Trzykozach, tymczasem sen ten utrapiony trwał daléj a przebudzenie miało być straszne.

Zostawiony sam w onéj piekielnéj kotlinie, bo księżyna popędził z ludźmi do Jordanowa, sze-

rząc wszędzie trwogę téj chłopskiéj rebelii, nie wiedziałem na razie, co z sobą począć.

Wrócić się do dom, czy jechać do obozu, boć już chyba na nic nie mogłem się przydać téj szalonéj dziewce, co tak ochotnie poszła z tą bandą zbójców, niegodna wstydu i czci panieńskiéj.

Noc tymczasem zapadła, trzeba było się wprosić na nocleg do owego sołtysa, gdyż tak samemu trudno się było błąkać w tym labirencie górskim a tymczasem pomyśléć, co jutro mam poczynać.

Całą tę wioszczynę przed chwilą tak gwarną, ruchliwą, zaległa cichość ponura.

Wierzchołki gór oblane światłem zachodzącego słońca, rzucały jakiś czarodziejski odblask w tę ustroń smutną.

Siadłem na progu chaty, wpatrując się w wszystkie dziwa boskiéj ręki i jąłem rozpamiętywać przeszłość całą tego osobliwego człeka, co w zaraniu lat swoich tyle już przeżył, a tak smutnie miał zakończyć swój krótki żywot.

Piekielne fatum zawisło po nad tą młodą głową, tak uposażoną wysoko wszystkiemi dary.

Cóżby to było z tego człeka, gdyby losy uśmiechnęły mu się przyjaźnie?

Przy boku króla byłby zajaśniał talentami i wzbił się na wyżyny.

W tém sercu dumném a żądném sławy, niechby mu dano możność dobro spełniać, rozkwitłyby najwspanialsze czyny, coby podziwem przejęły ludzi.

Jego hart silny i energia pchały by go wciąż naprzód w raz obranéj drodze cnoty.

Jego pogarda dla uciech niskich i tego wszystkiego, za czém poziomy człowiek goni, utrzymywałaby go na wyżynie, gdzie wielkie duchy przebywać rade.

Wiedza jego wzbogacona wciąż doświadczeniem, byłaby wzrosła potężnie i działała cuda na pożytek ludzi.

Dziś zdeptany haniebnie, postradawszy cześć, upokorzony najokrutniéj w swéj dumie, a za mało mając wytrwania i praktyki, które się przez życie długie tylko zdobywa, chwycił się zła, co mu niejako uderzało w ton dawno marzonych pragnień, polepszenia chłopskiéj doli a przytém dźwięczało zemstą za doznane krzywdy.

Pobyt u Chmielnickiego wymazał do szczętu wszystkie zasoby dobra w téj krewkiéj piersi, a natomiast rozpalił żądze pychy i zemsty.

Rozkołysany szalonemi marzeniami tego pijanicy, dla którego tron Polski już nawet mały się wydawał w chwilach szału, i który myślał o podbiciu połowy Europy, przylgnął do nich duszą całą, bo mu się śmiało jakie udzielne księztwo pod kozackim cezarem.

I tak błądząc myślą, po wspólnie przeżytéj przeszłości, zamyśliłem się nad sobą.

Cóż się ze mną stało?...

Nie zaraziłżem się od niego szaloną żądzą szukania przygód i niepodobieństw?

Mnież trzeba było przylgnąć do téj dziewki, co pokrewna mu duchem, stawia czoło niebezpieczeństwu i chce spełnić czyn niepodobny do prawdy.

Jak się pokażę światu?

Co powiem tym, co tam krew leją za ojczyznę, gdy się spytają, gdzie byłeś i coś robił tego czasu, gdyśmy walczyli z wrogiem?

Chciałem ratować przyjaciela, odpowiem i skłamię, bo nie czyste pobudki pchnęły mnie na tę drogę.

Odnalazłem wprawdzie w duszy poczucie obowiązku dla tego nieszczęśnika, ale w skuteczność przedsiewzięcia nie wierzyłem nigdy.

Szedłem w tę pogoń bez wiary, jedynie za głosem téj syreny, co mnie zwabiła.

Czemum raczéj nie został w usługach nowego króla, kiedy mnie chciał przygarnąć? byłbym razem z innymi tam; szaloną passyą, co mi żre piersi, utopiłbym, zaprzepaścił w boju i wrócił szczęśliwy pod własną strzechę.

Ha, stało się—wytrwajmyż do końca.

I zaledwiem powziął to postanowienie, gdy przybieżał ku mnie młody góral, syn właśnie sołtysów, który się to tak dobrze odcinał zbójcom.

Stanął przedemną i zapytał:

— Wy się zowiecie Krzysztof Scipio?

— Ja.

— Oto owa panna, co tu z wami była, każe wam, abyście zamieszkali u sołtysa w Maniowéj,

do którego was jutro zaprowadzę i abyście byli gotowi na każde jéj wezwanie. Na dowód, ten pierścień mam wam oddać.

Przyjąłem pierścień z rąk chłopa, był to jéj, z turkusem w kształcie serca.

Patrzę się nań w téj chwili, gdy to piszę i łza mi spada na papier. To wszystko, co mi po niéj zostało...

Ale idźmy daléj.

— Gdzież teraz ta panna?—spytałem chłopa.

— W Czorsztynie.

— Więc wzięli Czorsztyn?

— A co by nie mieli wziąść? Żyd otworzył zaraz bramy, ale i tak psiawiary mu nie darowali, bo go zaraz bakałarz kazał powiesić na baszcie, przez co była kłótnia wielka z tym młodym panem.

Rankiem wybrałem się z moim góralem do Poronin, gdzie znalazłem swój wózek, a ztamtąd ruszyliśmy do Maniowéj.

Wioseczka to na trakcie do Nowego Targu.

Dom sołtysów przy drodze, mogłem więc całemi dniami siedzieć na przyźbie i przypatrywać się przechodniom i przejezdnym.

Chłopstwo przemykało chyłkiem ku Czorsztynowi, byli to zbiegi z dóbr pańskich.

Żydzi znów całą zgrają biegli kryć się w Nowym Targu, bo już ani mienia ani życia, nie byli pewni.

Do upornych wysłał Bzowski uniwersał tej treści:

Pokój Chrystusów!

Wszem wobec i każdemu z osobna, wiernym poddanym Jkr. mości pana naszego miłościwego, dobrego zdrowia, swobody i wolności życząc, oznajmuję wolę bożą. a także i wolę Jkr. mości. Szlachta chce rokosz przeciw królowi, panu naszemu miłościwemu podnieść, a przeto kto życzliwy jest Jego kr. mości, niechaj czémprędzéj garnie się pod skrzydła moje, pod Czorsztyn, przy panu rektorze Pcimskim, jako pułkowniku Jego kr. mości, który jako wierny poddany przyprowadzi was do mnie i będzie wami regimentował, dawając we wszystkiém informacyą. Obiecuje przytém Jkr. mość wszystkie wolności tym, którzy teraz stać przy mnie będą, dwory szlacheckie i co w nich będzie wasze. Chciejcie więc wybić się z téj niewoli ciężkiéj. Mają li oni was w niwecz obracać do ostatka, lepiéj, że wy ich obrócicie. Już się was dosyć namordowali ci pankowie tak, że głos wasz płaczących o pomstę na nich do Boga woła. Przeto ten uniwersał wydawam już po raz drugi przestrzegając i w tym: abyście (jako mam in comissis od króla jegomości), żadnym uniwersałom choćby z pieczęcią i ręką króla Imci były, wiary nie dawali, gdyż je musi wydawać, bojąc się szlachty. Ale my czynimy, co mamy czynić jak najprędzéj, a na Ś-go Jana pójdziemy pod Kraków. Jużem ja téż wszę-

dzie porozsyłał uniwersały do chłopów,. którzy się ochotnie stawią. Nie tykać tych wszystkich wsi, gdzie obaczycie wiechę. Kościołom także proszę. ażeby zawsze była obrona, gdyż o Boga i krzywdę ludzką i o nieposłuszeństwo dla króla wojować będziemy.

Dan w Czorsztynie 22 Czerwca 1651.

Zdrowia dobrego wam życzliwy

Aleksander ze Sternbergu Kostka,

Starosta Czorsztyński.

Z uniwersałami temi, wyjechał bakałarz z Pcimia i werbował ochotników, których płynęło co raz więcej do Czorsztyna.

Dopókiż spać będzie na oba uszy czujność stróży naszych, myślałem, aż tu od Nowego Targu wali dragonija i kopijnicy a na ich czele pan Jordan starosta dobrzycki z panem Chrząstowieckim i oddziałem biskupiego wojska.

Krew zagrała mi w żyłach.

Bić zbójców i herszta, który takie uniwersały wydaje.

Tém pismem potargał wszystkie struny, jakie jeszcze dźwięczały dla niego w méj duszy.

— Hola panowie bracia — krzyknę. — Jest tu szlachcic choć w chłopskiéj sukni, co się do was przyłączyć pragnie.

— Ktoś aść?

— To zaraz zobaczycie.

I wbiegłem do izby i przywdziałem suknie, przypasawszy szablę, wsiadłem oklep na buła-

nego, który i pod wierzchem chodził nie źle i takem ci się zaprezentował staroście.

Patrzało to wszystko zdziwione, jak na waryata, aleć niedługo dobra komitywa między nami zakwitła.

Opowiedziałem im, jak mogłem, przez drogę moje przygody, koloryzując i kłamiąc, jak umiałem.

Jordan człek był leciwy, ale wcale na żołnierza niesposobny, tłusty, raczéj mu nad szpargałami siedzieć przy piórze.

Chrząstowiecki znów junak, warchoł i kostera, ciągle prawił o swoich sukcessach kuflowych i karcianych.

Noc już była, kiedyśmy przybyli pod Czorsztyn.

Spojrzałem w górę na te olbrzymie, ciemne mury zamczyska, co się rysowały na jasném niebie usianém gwiazdami i gdzieś w obłokach kończyły i zwątpiłem od razu w pomyślność wyprawy.

Cóż znaczyła ta garstka, przeciw temu olbrzymowi z granitu, który patrzał na nas kilkunastu błyszczącemi oczyma, swoich okien oświeconych jarzącém światłem.

Dochodziły nas ztamtąd wesołe okrzyki i spiewy—snać ucztowano, nie myśląc o napadzie.

Jordan też dobréj myśli, poustawiał swoich kopijników i dragonów między skałami, których tu

pełno. Rozpalono ognie i dawajże wyprzątać tłómoki i baryłki.

Zjedzono. wypito i ułożono się potém do snu smacznego.

Patrzałem na to wszystko i mory mnie brały.

Nad ranem, nie czekając wschodu słońca, warchoł Chrząstowiecki bez porady z Jordanem, wziął z sobą piętnastu ochotnika i szybko postąpił pod zamek.

Udało im się wpaść bramą pierwszą, która nie była dobrze zamknięta, wyłamali nawet drugą. lecz w trzeciéj przywitał ich taki grad kamieni. że kilku towarzyszy padło ciężko rannych a sam Chrząstowiecki oberwał guza.

To rozbudziło załogę całą, a i nasi zerwali się na równe nogi zaspani, niewytrzeźwieli jeszcze.

— Co to? jak to? gdzie?—pytano.

— Czy im odsiecz przyszła?

— Kto pierwszy uderzył?

Chrząstowiecki obwijał sobie łeb chustką.

— Mości podczaszycu— rzecze Jordan — przy mnie kommenda, a kto waści tam leźć kazał? Ja tu pogadam z tém chamstwem.

— Takiś ty dobry, jak i tamten— pomyślałem.

Na murach ukazał się Bzowski.

— Kto wy? po coście tu przyszli?

— Po ciebie—ozwie się Jordan zaspany.

— Ty bryło opasła, to po mnie się przychodzi. jak po zbiegłego czeladnika? Kto cię tu przysłał?

— Sprawiedliwość.

— Wasza sprawiedliwość chodzi w szlafmycy i ma zawiązane oczy, inaczej by widziała, że takich kpów nie pod Czorsztyn, ale pod żydowską kuckę wysłać się godzi.

— Buntowniku! rebelizancie! chłopski patronie, oddaj mi zamek!

— Wieprzu! sączykuflu! batożniku! garbarzu skóry chłopskiéj, ugryź go!

Nadciągnął oddział biskupi, który się najdłużéj zbierał.

Stanęło wcale pokaźne wojsko, gdyby miało zdrową głowę na karku.

Chrząstowiecki choć z guzem, przecie jeszcze próbować szczęścia pragnął.

Postąpił on ku bramie od Wzaru Kluszkowieckiego, kazał obłożyć drzewem i chrustem i podpalić ją.

Ogień prędko ugaszono, bo w zamku było wody dostatkiem, ale jak nie pluną z hakownic i arkabuzów, a celowano z góry dobrze.

Padło trupa i rannych.

Konie ogłuszone, przestraszone, poniosły jeźdźców, pędzili jak szaleni, a największy junak Chrzęstowiecki uciekał, aż się kurzyło za nim.

Niektórzy powpadali do Dunajca.

Ot, tobie wyprawa.

Jużem też wytrzymać nie mógł.

— Albo zdajcie kommendę jednemu, albo nie

dyshonorujcie tego królewskiego znaku — mówię im.

Chrząstowiecki dał za wygraną i z swoimi kilkunastoma czeladzi. wrócił do Nowego Targu, został się Jordan i oddział biskupi.

Uradziliśmy, żeby przypuścić szturm do północnéj bramy, która była najsłabsza i volens-nolens wedrzéć się do zamku, bośmy byli pewni. że załoga w nim nie duża.

I gdy tak radzim. pada mi przy nogach kamień owinięty papierem.

Rozwijam—pismo Salomei.

„Nie hazarduj życia, bo ono drogie dla mnie. Nic tu nie wskóracie. Pomoc im przychodzi lada chwila.“

Zaledwiem im pokazał ową kartkę. aż tu od Wzaru Kluszkowieckiego sunie chłopstwo, które prowadzi Sawka, jeden z owych uwolnionych w Nowym Targu hultai.

Było ich tego do tysiąca.

Wystrzeliliśmy z rusznic i muszkietów i w porządku wrócili tam, zkąd przyszli.

Tak się skończyła pierwsza wyprawa pod Czorsztynem.

Opisał ją wierszem Bzowski i rozpuścił go po okolicy. wyszydzając okrutnie Jordana i Chrząstowieckiego.

Rozzuchwaliła ona też chłopstwo okrutnie.

Podziałało to więcéj, aniżeli wszystkie uniwersały Kostki.

Przestrach padł na Kraków i Małopolskę całą.

Biskup Gembicki zakrzątnął się gorąco koło obrony.

Zbierano wojsko.

Do króla słano gońców jeden po drugim.

Księża z ambon upominali lud i odwodzili od ognia.

Imię Kostki Napierskiego, rozlegało się echem po Polsce całéj.

Nie czuły już tą razą na spiew syreny, lubo mnie zapewniała w swéj karteczce, że drogie jéj moje życie, postanowiłem je zanieść świętéj sprawie i na Krościenko, Łącko, Stary Sącz, Grybów puściłem się do Lwowa.

Lecz snać już przeznaczone mi było, abym go nigdy nie widział.

Pod Starym Sączem, spotkałem Platemberga czorsztyńskiego Starostę, a z nim 2,000 pospolitaków.

Regimentował im Podgórski, chorąży sochaczewski.

Byli z niemi: Rylski, Majdel, Trzciński, Rokosowski, Sulerzycki i Kostuś.

Rozstąp się ziemio! Toż wpadłem, jak w garnek z ukropem. Cała miniona a tak niedawna jeszcze przeszłość stanęła mi przed oczyma.

Zdawało mi się, żem w służbie dworskiéj, jak ongi i że jéj nigdy nie porzucałem.

— Scypio! Scypio!—krzyknięto.

— Gdzie? dokąd?

— Witaj miły towarzyszu.

— A panowie po co?—pytam.

— A no po tego utrapionego Kostkę. co mi mój zamek zajął—mówi Platemberg.

— A ty zkąd?

Nie mogłem im przecie powiedzieć, że z porażki Czorsztyńskiej.

Wymyśliłem jakichś krewnych na Podolu, od których ledwiem się wyrwał, by pospieszyć do króla.

— A gdzie król z wojskiem?—pytam.

— Pod Beresteczkiem.

— Cóż to ono za Beresteczko?

— Ot sobie mieścina, czapką by ją przykryć można, tam zatoczono obóz i tam spodziewają się bitwę stoczyć.

Nie przeczuwaliśmy, że będziemy kiedyś nazwisko to ze czcią powtarzać.

— Gadaj-no waść o tym Kostce — mówi Platemberg—cóż to za takie ciekawe subjectum. Naprożnośmy tam wszyscy łamali nad tém głowę. Zuchwałości to wielkiej człowiek.

Nie wiedzieli kto to, a ja też nie chciałem ich wyprowadzać z błędu.

— Tyle wiem, co i wy wszyscy—mówię.—Kostka i Kostka, poburzył chłopów, pofałszował królewskie uniwersały. Był nawet tyle zuchwały, że pisał do biskupa Gębickiego, aby mu ammunicyi przysłał, co było rzeczywiście prawdą. Dowie-

działem się o tém od Jordana, który mi nawet pokazał kopią onego listu do biskupa.

— To ptaszek nie lada. I nic nie zrobiono dotychczas? A toż my go tam żywcem upieczemy w tym Czorsztynie.

Nie śmiałem im mówić o wyprawie Jordana.

— Jedziesz waść z nami — rzekł pan Podgórski—tam byś już przyszedł, jakby po nabożeństwie świece gasić, a tu nam będziesz potrzebny. Znasz i okolicę i ludzi.

Sprzeciwiać się ani bezpiecznie, ani całkiem rozumnie, wróciłem się tedy pod Czorsztyn.

Tutaj to miała się odegrać owa scena, najważniejsza w życiu Bzowskiego.

Tu miał mu błysnąć na chwilę płomień zemsty tak upragnionéj i oczekiwanéj przez niego, aby go potém pogrążyć w nocy niedoli strasznéj i rozpaczy.

Szedłem z tém wojskiem, jak delikwent jaki prowadzony pod szubienicę.

Nie śmiałem moim dawnym kollegom i towarzyszom, w oczy patrzéć.

Zdawało mi się, żem wspólnikiem tego nieszczęsnego człeka, którym oni tak pogardzali, tak go nienawidzili zawsze, bo trzeba właśnie takiego fatum, że ci wszyscy przyjęli udział w téj nieszczęsnéj wyprawie, przeciw dawnemu kolledze.

Wahałem się ciągle, czy ich oświecić, kto jest owym Napierskim, czy zostawić.

Chciałem to spełnić kilkakrotnie, lecz gdym już otwierał usta, pierwsze słowo uwięzło mi zawsze w gardle, jakby je kto ścisnął.

Krew mi uderzała do głowy i milczałem.

O ileż oni wszyscy, wydali mi się dziś lepsi od niego.

Byli źli, nieludzcy—to prawda, ale spełnili sumiennie swój obowiązek, byli czyści w obec ojczyzny.

Taki Rylski, co wciąż podszczuwał i burzył innych przeciw niemu, taki Platemberg, co pałał nienawiścią zawsze i gdzie mógł okazywał mu pogardę i zawiść skrytą, a matkę jego haniebnie zbeszcześcił w obec wszystkich, taki Trzciński, Rokossowski, Sulerzycki, co układali ciągle niegodziwe kabały i jątrzyli w nim ducha złości okrutnéj, taki Kostuś wreszcie, na którego widok krew burzyła się we mnie, bom wiedział o wszystkich jego szelmostwach — dziś przywrócony do łaski, obdarzony starostwem Roszkowskiém, pan wielkiéj fortuny po matce, zakupił był dobra Szczurowieckie, noszący dziś głowę dumnie, jakby udzielny książe.

Wszyscy oni ze swemi wady, wydali mi się jeszcze bieli, jak aniołowie, wobec jego okrutnéj zbrodni, bo większéj chyba świat nie pokaże.

Ależ nie byli oni w części jéj sprawcami?

Nie ich-że to przeklęta nienawiść budziła wciąż w tém sercu gorącém pragnienia odwetu!

Nie oniż to wygnali go ze dworu, jątrząc przeciw niemu wszystkich dygnitarzy i królowę?... i pomyślałem, że w sumieniu ciężki rachunek zdać im przyjdzie... że ludzka krzywda na dobre wyjść nie może.

Rozłożyli się tedy pod Czorsztynem.

Całe podzamcze zaroiło się szlachtą, która porozpinała różnobarwne namioty, niektórzy znów rozbiegli się po okolicy.

Ładu, składu, subordynacyi za trzy grosze.

Patrzyłem na utrapienia tego biednego Podgórskiego, który sobie poradzić z nimi nie mógł — zwyczajnie, jak z pospolitém ruszeniem.

Gdy ich prosił i mitygował, odpowiadano:

— Albo to wojna — czy co? Siedzieć nam tu spokojnie i wypoczywać a pilnować tylko, żeby się i mysz do zamku nie dostała — głodem weźmiemy bestyą.

Inni znów splądrowawszy okolicę, wracali z chłopstwem zrabowaném i męczoném niewinnie, bo prawdziwi winowajcy siedzieli zamknięci w zamku.

Szlachta się nad nimi znęcała nieludzko.

Platemberg i całe towarzystwo dworzan zatoczyło namiot na wzgórku tak, że dominował po nad wszystkiemi a stał najbliżej murów tak, że z zamku można było widzieć, co się w nim dzieje a omal, że i rozmowę słyszeć.

Napróżnom im perswadował, że tak lekce cenić nie można tego herszta. Platemberg rozśmiał mi się w oczy.

Powiewała na namiocie chorągiew z herbem Inflantczyka, a namiot był strojny, barwisty.

Zaprosili oni mnie do swéj kompanii tak, żem się wymówić nie mógł.

Rozpoczęły się bankiety, karty i pijatyka, jak za dobrych czasów.

Co też to z tego będzie? myślałem.

Po dobrym obiedzie w pogodny dzień czerwcowy, baraszkowaliśmy sobie w namiocie; zeszła rozmowa na dawne czasy. Gadało się o tém i o-wém, wspomniano Bzowskiego.

— Gdzież się teraz podziewa ten hołysz?— spytał Platemberg.

— Nie daleko—mówię, bo mnie już korciła ta ich bezczelna otucha w swoje siły i niedołęztwo, ale jak gdyby mnie coś tknęło podnoszę się i mówię im:

— Posłuchajcie méj rady, panowie bracia, odsuńmy się od tych murów daléj nieco, bo tu może nam spaść niespodzianie coś takiego na głowy, że się już i schylić po nie nie będzie warto.

— Toż ten zbój musi chyba wiedzieć, że tu siedzi Czorsztyński starosta i taki głupi nie będzie, aby nas pierwszy śmiał zaczepić.

— Oj, wie on dobrze—mówię.

Ale potém ugryzłem się w język.

— Powiadam wam, że człowiek, którego tak

lekceważycie. przez samą złość za to psotę wam zrobić może i radzę się usunąć. Gdyście rozbić namiot z rana kazali, pamiętacie, żem protestował najuroczyściej przeciw temu i teraz jeszcze powtarzam.

— Nie psuj-że waść miłéj ochoty swém Kassandrowem proroctwem, prawi. Nalejcie-no nam kielichy.

Pijatyka szła na dobre, przyszły i kostki, w które starosta grywał z dziwnem szczęściem.

Podgórski się krzątał po obozie.

Ustawiał tabor, kazał sypać okopy, ale gdzie tam bractwu o tém gadać!...

Spędzono do nich chłopstwo, wzięte z pobliskich wsi.

Niby pracowali, ale ustawicznie oglądali się na zamek i gdy upatrzyli porę, kiedy wszystko oddane spoczynkowi. uciekli w bramę, którą im otworzono.

Przybiegł Podgórski, cały pieniąc się ze złości.

— Wolałbym regimentować stu dyabłom, niżeli pospolitemu ruszeniu. Panie starosto, czy myślisz, że ci wyciągnę gorące kasztany z pieca? Leżąc tu do góry brzuchem, nie zobaczysz się z Czorsztyńskim zamkiem.

— On sam nam bramy otworzy i poprosi nas do niego—rzucił Platemberg.

Uradzono jednak, że jutro zaraz z rana szturm przypuszczą.

Żal mi było człowieka tego, Podgórskiego, bo

to żołnierz był dobry i wypróbowany, a praca jego cała i zachód były jakby to wodę sitem czerpać.

Wziąłem go jednak na stronę i wyspiewałem wszystko.

— Nic my tu nie poradzim—rzecze—będę czekał na respons mego pisma do biskupa.

Postanowiliśmy jednak tymczasem robić wszystko, co można.

Opowiedziałem mu o niefortunnéj wyprawie Jordana.

Wskazałem mu słabsze miejsca.

Miał on z sobą cztery małe działka falkoneciki zwane i dwa większe dobelt-falkonety.

Ustawiliśmy je na wzgórku od onego Wzaru Kluszkowieckiego.

Spędzili bracię do roboty z pachołkami, co ich było—a tymczasem przed namiotem Platemberga coś się gotowało.

Złapano jakiegoś chłopa, który się przekradał z zamku.

Jęli go badać.

Wyspiewał im, że załoga nie wynosi dwustu ludzi, że się spodziewają pomocy, ale nie rychło, bo chłopstwo się boi i ociąga, że Napierski myśli o poddaniu.

— Nie wierzcie temu psu!—krzyczę— wysłany umyślnie, aby uspić czujność waszę.

Ale kto potrafi wmówić i wypersfadować to.

co nam sprawia nieprzyjemność i mąci błogi spoczynek!

Męczono chłopa i bito, ale hultaj wytrzymał i powtarzał wciąż swoję piosenkę.

— Jutro będziem w Czorsztynie!— wrzeszczał Platemberg.

— Vivat starosta!

— A nie zapłacił mi żyd arendy tegorocznej, powiesili go podobno hultaje. Ten Kostka mi zapłaci.

I dawaj karbować na Kostce wszystkie urojone krzywdy.

Kostka tymczasem sprawy nie zasypiał.

Nalano kielichy, aleśmy już ich wypić nie zdążyli.

Zrobił się po za namiotem rozruch jakiś— zdala okrzyki: do broni! i w tejże chwili, pokazały się w namiocie dzikie twarze hultajstwa.

Rzuciło się na nas to wszystko, nim Jezus Marya wymówić zdążyliśmy.

Ten i ów wydobył szabli, lecz ćma ta obsiadła nas, jak szarańcza, związała i nie wyszło pacierza, zobaczyliśmy się wszyscy w Czorsztyńskim zamku.

Prowadził nas olbrzym, Stanisław z Łętowni marszałek zbójców.

Na dziedzińcu naszykowało się wszystko, aby nas powitać szyderstwem i urąganiem.

Serce waliło we mnie, jakby młotem.

Bzowskiego jeszcze nie było.

— Przyszliście bankietować pod Czorsztyn pogańskie syny — mówił Bajus. — Odgrażaliście się, że w smole nas zgotujecie. Ot wam teraz smoła.

— Z pierzyn ich wywlekliśmy — rzekł marszałek.

— Będziesz nam tu starostował w Czorsztynie, ty obżartuchu—i podsunął się do Platemberga i zrobił gest, jakby mu w brzuch kosę chciał wpakować, ale go Bajus powstrzymał.

— Dajcie mu lepiej papierowy kołpak i wiechę w ręce, pokażemy go tak pospolitakom z baszty.

— Obedrzeć ich z tych szat pięknych — krzyknął jeden ze zbójców.

— Na wesele się do nas wybraliście strojnisie!

— A co to za kędziory... barany nasze takich nie mają... a jakie miękie i pachnące.

— Szubienicę wystawimy na wieży, niech im się dobrze przyjrzą.

Wszedł Bzowski.

Któż opisać zdoła okrzyk podziwu, przerażenia, przestrachu, ogłupienia.

— Bzowski! Bzowski! to on! Kostka Napierski! — wołali na różne tony i z rozmaitym akcentem.

— Ot, cośmy ci przywiedli—rzekł marszałek.

— Puśćcie ich i zostawcie nas—przemówił surowo Bzowski.

— Jabym z nimi ceregieli nie robił.

— Niech wyspiewają nam trochę.

— A tortury są w zamku?

— Precz!

Odeszli. mrucząc.

Zostaliśmy z Bzowskim.

— Witam was przezacne towarzystwo. Patrzcie! wszystkich mi dały dobroczynne losy, ani jednego nie brakuje.

Wtem mnie dojrzał.

— I ty tu między nimi? Słusznie—za chléb przyjaźni, trzeba zapłacić kamieniem niewdzięczności.

— Nie jestem twoim przyjacielem od chwili, jakeś się w zdrajcę przeistoczył.

— Powiedz raczéj, jakeś swój rozum utopił w dziewce—ale pogadamy z sobą.

Teraz najprzód do ciebie.

Skinął na Platemberga, ten wysunął się drżący z naszej kupy.

— I cóż panie starosto czorsztyński? Wypędziłem żyda z tego zamku i zająłem go, jako moję własność. Za tanio sprzedałeś go starosto, trzeba było dobrze kazać zapłacić, bo wy wszystko dobrze sprzedać umiecie. Sprzedaje się sumienie, przyjaźń, wiarę i matkę nawet własną—a kupuje się estymę u ludzi, sławę, urzędy i epitaphium po śmierci — ale są rzeczy, których kupić nie można panie starosto. Jest niezbłagana bogini, którą Nemezys zowią. Ona to wówczas, kiedy my szczęśni frymarczym boskiem prawem...

niza na nitkę wszystkie nasze czyny wielkie..· i grom z pogodnego nieba spuszcza.

— Szymonie!—wyszeptał.

— W ten ton uderzasz? Już on dawno zamarł w mej piersi i nie odpowie ci echem. Już ten Szymon pogrzebion dawno. Czysty anioł niewinności zapłakał na jego grobie. Stoi przed tobą Kostka-Napierski, któregoście hersztem nazwali. a który jest zemstą.

— Łaski! — zawołał nędznik. trzęsąc się. jak w febrze.

— Łaski niema! Nemezys nie przebacza. Wlecze swoje koło zniszczenia niezbłagana i druzgoce wszystko. co jej stoi na drodze.

Patrząc przed chwilą na twój wspaniały namiot. nie myślałem, że w nim dawny kollega mój spoczywa. Kazałem wziąść, co w nim znajdą i wzięli ciebie z towarzyszami, abyś tu zdał mi sprawę z twych czynów.

No, nie upadlaj się i nie każ mi się rumienić za ciebie, bo wszakże my kollegami byliśmy i z jednego stołu chléb jedli pański, a tam moi ludzie i twoi towarzysze na nas patrzą.

— Oh, w imię naszej młodości, nie gub-że mnie. Zabierz wszystko, tylko życia mi nie bierz.

— Bo tobie tak dobrze na świecie. A czemuś o tem nie pamiętał nędzniku, że i innym z tego bożego życia choć cząsteczka mała się należy. Czemuś nieszczęśliwym pogardą i urąganiem płacił? Czy jęk z uciśnionej piersi poruszył na chwilę

kamienną twoję duszą? Czyś jednę łzę otarł nędzy? Nie—tyś się pastwił potworze, kiedy ofiarę szarpały tortury cierpień. Śmiechem szyderskim bryzgałeś w oczy nieszczczęściu i otóż widzisz, jak prędko Bóg domierzył ci kary.

— Jam młody...

— Nie, tyś był starcem... starcem zużytym w czynach... młodymś w rozpuście tylko. Ojczyzna nic w tobie nie straci, prócz jednego żarłoka i pijanicę. Czyś spłacił jéj dług należny? Nie poszedłeś w gwar bitwy tam, gdzie król z całym narodem poszedł — przyszedłeś pod Czorsztyn ze zgrają warchołów, których się chciano pozbyć z obozu... przyszedłeś tu, aby umorzyć głodem twego dawnego brata. Inaczéj obróciło się koło fortuny... ja ciebie umorzę nędzniku.

— Oh. Szymonie, miłosierdzia!

I padł mu do nóg niegodziwiec a myśmy na to wszystko patrzyli... to też już oburzenie nasze granic nie miało.

Rokosowski splunął.

— Niech cię dyabli wezmą inflantczyku. Snać, to jakaś zakażona krew w tobie.

Nawet Kostuś szepnął:

— A toż tchórz!

Bzowski odskoczył, jak od padalca.

— Precz od kolan, podły gadzie! Staw mi się mężem, choć na chwilę... jednem męzkiém słowem przekonania. jakiekolwiek ono w tobie, zadaj mi kłam a poszanuję je i po rycersku postąpię.

Patrz! nie chcę się pastwić nad tobą, byliśmy kollegami, razem uroczą młodości dobę przebyliśmy.

Skinął na chłopa stojącego opodal i kazał sobie przynieść dwie szablice.

— Oto są dwie nagie szable... wybieraj i walczmy, jak męże.

— Ja z tobą... nie! ja przebaczenia proszę za wszystko złe, jakie ci wyrządziłem.

— Niéma przebaczenia! Przez ciebie, podły, robak goryczy do serca mego wpełznął. żem znienawidził świat cały. Ty jadem szyderstwa i potwarzy. hydziłeś moję postać przed ludźmi. Tyś matkę moję potrącił nędzniku!... Ty to wreszcie szatanie pchnąłeś mnie na tę drogę, z któréj nie wrócę więcéj.

Daléj, bierz broń, albo łeb zmiotę z karku!

— Miłosierdzia! miłosierdzia!.. — jęczał bestya tak, że nam się wnętrzności przewracały z oburzenia.

— Patrzcie teraz, to jest starosta czorsztyński. koniuszy nadworny Jego kr mości, wasz miły towarzysz i zwierzchnik.

— Pies, tchórz, nędznik ostatniego rzędu! — krzyknął Trzciński.

— Wyrzuć go za wrota — rzekł Rokosowski — dość masz z nas jeńca..... my nie chcemy być z nim razem.

— Wyzwij nas wszystkich na rękę, dotrzymamy ci za niego — mówił Majdel.

— Słyszysz starosto! niegodzien jesteś ginąć mężnych śmiercią. Cóżbym robił z takiem stworzeniem, którego żywot nie wart halerza. Jednak tyś starostował niegdyś w Czorsztynie. Należy ci honorowa odznaka. Tyś poganinie osadził na swoim stołku pijawkę żydowską, co ssała krew biednego ludu. Temu ludowi, zadosyć-uczynienie dać muszę. Hola!—krzyknął na służbę.

— Wyprowadźcie go za bramy a przystrójcie w żydowski kołpak i cycele, które tam znajdziecie po zabitym arendarzu... i tak z całą paradą i muzyką cygańską, wobec jego podwładnych i towarzyszy, płazem szabli sto plag wyliczcie. Niech ręka każdego z chłopów dotknie się téj szlacheckiéj skóry. Precz!

Wyprowadzili chłopi z uciechą wielką onego tchórza drżącego i omdlałego ze strachu.

Bzowski popatrzał na nas chwilę i rzecze:

— Krwi królewskiéj i przyjaźni dawnéj wybaczam. Konstanty i Scipio wolni — reszta do lochu!

Kostuś już się pokwapił, aby mu dziękować, alem go powstrzymał.

— Łaskę twoję odrzucamy. Albo uwolnisz wszystkich, albo ani jednego.

— A więc uwalniam wszystkich. Nie stoję o zakładnika. Czorsztyńska skała podoła tysiącom takich. Idźcie i plujcie na mnie ołowiem, który mnie nie dosięże, ja was rozgniotę, jak ża-

by kamieniami. a potém sam się w tych murach zagrzebię.

— Oby się to stało jak najprędzéj!—rzekłem.

— Tylko wprzód drogo za to zapłacicie.

— I wartoż było karmić się szczytnemi marzeniami, aby skończyć, jak opryszek—rzekłem.

— Jeszczem nie skończył, ty ciasna głowo. to dopiero początek — spadnę na was z téj baszty. jak huragan, zaleję wasze dwory i wioski i nie oprę się z tym sztandarem, jak na Wawelu murach; tak gwiazdy mi napisały.

— Wierz im szaleńcze! Nim dojdziesz pod Wawel. rozniesiemy cię na szablach naszych. Twoim uniwersałem ohydnym wypisałeś dla siebie wyrok potępienia na wieki. Zaparłeś się Boga, sumienia i cześci. Matka twoja przewróciła się w grobie ze zgrozy. Zasłoniłeś się niegodnie imieniem królewskiém, podły szalbierzu, ale ten lud, co łatwo ci uwierzył, tak jeszcze łatwiéj opuści i wyda cię na jatki.

— Bądź zdrów mierny człeku o ciasnéj głowie, dla którego ojczyzna w starych spruchniałych ramach zamknięta. dla mnie ona w nowych i zdrowych się rodzi. Idź i nie próbój nadużywać méj cierpliwośoi. bo możesz jeszcze nie oglądać twych skrzydlatych towarzyszy.

— Możesz mnie kazać zciąć twym chłopom — pokażę ci, jak się umiera za wiarę. którą się z mlekiem matki wyssało. Nauczy cię to może

nowy człowieku. że aby coś zbudować na ziemi. trzeba na to większego ducha. niżeli twój nadęty pychą i zarażony jadem nienawiści.

Wtem jakiś niezwykły ruch zapanował w zamku.

Poza murami. dały się słyszeć jakieś okrzyki, czy wiwaty.

Wbiegł marszałek z Łętowni.

— Co tam zaszło? Popiła się szlachta i z kielichem szturm do zamku przypuszcza? — spytał Bzowski.

— Przybyło dwa tysiące biskupiego wojska. A ci jeszcze tu?—rzekł, patrząc po nas.— Daj ich Bajusowi, niech się z nimi rozprawi, a sam weź się do obrony.

— Ci są wolni. Zawiąż im oczy i każ ich wyprowadzić z zamku.

Olbrzym spełnił zlecenie z niechęcią wielką.

Zanim mi oczy zawiązano, patrzałem bacznie wszędzie, czy nie zobaczę Salomei.

Spostrzegłem parę niewieścich postaci między chłopstwem, ale jej nie widziałem.

— Przedzierzgnęła się w jakąś inną osobę— pomyślałem.

Na podzamczu ruch panował niezwykły.

Przybyła z Jarockim pułkownikiem dragonja biskupia.

Przybył starosta z Lubowli, z dwoma wielkiemi działami.

Szturm się rozpoczął.

Ale chłopi nie próżnowali.

Po górach paliły się ognie, wzywające do obrony Czorsztyńskiego zamku.

Przychodziły kupy zbrojne ze wszystkich stron pod zamek, z niesłychaną i niebywałą dotąd zuchwałością, napadając nas z tyłu podczas szturmu.

Bzowski prażył straszliwie ołowiem roztopionym, który z dachów zamczyska pozrywać kazał. Prażył smołą i kamieniami.

Żywności mieli poddostatkiem, ale brakło im ammunicyi.

Bzowski kazał zbierać kule, które wpadały do zamku i odsyłał nam je z swoich dział, a raził piekielnie.

Ranny w głowę odłamem kamienia, nie ustawał ani na chwilę.

Wyrzucał z siebie wściekłe słowa, co oburzeniem nas przejmowały a zagrzewały chłopstwo.

Na wszystkich punktach poobsadzał załogę tak, że dostęp do zamku stał się niepodobny.

Każdy pocisk z tėj wyżyny, był dla nas śmiertelny.

Dwa dni trwał ogień bez skutku.

Przywiezione przez Jarockiego działka wydawały się komarami wobec tėj niespożytėj opoki i jak komary też ją kąsały.

Zwątpiliśmy całkiem w nasze powodzenie.

Wysłano do Lwowa po wielkie działa.

Na dobitek od dwóch dni trwała ulewa taka, jak gdyby w niebie upusty kto pootwierał.

Pospolite ruszenie pochowało się po wsiach pobliskich.

Wytrwała dragonja biskupia i kopijnicy z Lubowli, szczerbili mury bez skutku.

Trzeciego dnia nad ranem, pojawiło się na murach dwóch chłopów, a między nimi kobieta, wzywająca Jarockiego do rozmowy.

Obiecano mu wydać zamek, jeżeli wolność wszystkim zapewni.

Jarocki poprzysiągł i podpisał warunki, nie dowierzając temu wszystkiemu.

Słońce wzbiło się już wysoko.

Bzowski rozpoczął strzelanie, gdy otwarły się bramy zamku, przed naszemi zdumionemi oczyma.

W tej właśnie chwili, chłopstwo z okrzykami schodziło z gór, jako nowe posiłki, lecz widząc co się dzieje, pierzchło.

Wojsko i szlachta weszli w bramy zamku.

Został tylko na placu tabór wozów i koni.

Przysiadłem na odłamie skały i patrzyłem na mury, nie umiejąc sobie zdać sprawy z tego, co się działo przed mojemi oczyma.

Z zamku wyszło troje ludzi.

Byli to Bajus, Sawka a między nimi Salomeja.

— Dotrzymalim ci słowa wiernie — rzekł Bajus.

— Dawaj, coś obiecała—dorzucił Sawka.

Salomeja wydobyła jakieś papiery i worek i oddała im to wszystko.

Chłopi obejrzeli— zabrali po jednym koniu, co stały przy wozach, a których im nikt nie bronił i znikli.

Pobiegłem ku niej.

Rzuciła mi się w ramiona bezwładna.

— Toś ty zdziałała Salomejo?—spytałem.

— To ja. A teraz precz z tych miejsc!.. Nie chcę nic widzieć i słyszeć.

Przykląkłem, jak przed świętą, całując rąbek jej szaty i uczułem się wówczas tak małym, tak nędznym, żem był gotów głowę o skałę roztrzaskać.

Spostrzegła to i głosem niewymownej słodyczy rzekła:

— Zdziałaliśmy to wspólnie, mój dobry Krzysztofie—ty siłą męzkiego ramienia, ja przebiegłością niewieścią. A teraz uciekajmy z tych miejsc przeklętych. Co dalej czynić mamy, opowiem ci przez drogę, bo to dopiero połowa tego, co się zrobiło.

Posadziłem ją na wóz omdlałą prawie i puściliśmy się do Krakowa.

Rzeczpospolita święciła tryumf wielkiego zwycięztwa nad Chmielnickim i Tatarami pod Beresteczkiem.

Jednocześnie z wzięciem czorsztyńskiego zamku, przybiegły wieści, że orda i Kozacy rozgromieni, ale jak do każdej wielkiej radości, kropla

goryczy się przyczepi. tak i tu sarkano na króla że po zwycięztwie nie poszedł dalej na Ukrainę i nie zajął jéj całéj. ale wrócił się prędko do Warszawy.

Po czyjéj stronie była prawda. tośmy dopiero później dowiedzieć się mieli, że to nie król, ale szlachta spieszyła do swoich pierzyn miękkich i właśnie udaremniła królewskie zamysły.

Tymczasem radowano się wielce.

Od Lwowa, ciągnęła szlachta zwycięzka.

Od gór Czorsztyńskich, wjeżdżał na wozie Bzowski w otoczeniu całéj dragonii a pospiewywał sobie i z szyderstwem patrzał po tłumach.

Za nim wieziono skrępowanego olbrzymiego marszałka.

Wszystek lud wyległ patrzeć na to dziwowisko.

Zamknięto Bzowskiego w szlacheckiéj, marszałka w złodziejskiéj wieży.

Ja z moją świętą dziewczyną zajechałem na Stradom. przed klasztor panien bernardynek, bo już nie chciała stanąć w żadnéj gospodzie, chociaż tłumaczyłem jéj, że niebezpieczeństwo minęło.

Przyjęto ją tam, jak gdyby już oczekiwano jéj przybycia. co mnie zdziwiło niezmiernie.

— O każdéj dnia porze, widzieć się zemną tu możesz—rzekła mi na pożegnanie. — Będziesz mi donosił o wszystkiém. Tymczasem bądź gotowy. bo musimy odbyć daleką podróż.

Zamknęła się za nią krata, a ja stałem jeszcze długo pod drzwiami, wlepiając w nie źrenice, jak gdybym niemi chciał przebić zapory, co mnie od niéj dzieliły.

Była ona dziś dla mnie czémś nadludzkiém.

Do wielkiéj miłości, którąm zawsze czuł dla niéj, przyłączyła się dziś cześć głęboka i uwielbienie.

Lżyłem siebie i zohydzałem w własnych oczach, że mogłem ją posądzać na chwilę o affekt dla tego nędznika, kiedy ona cała poświęcała się dobréj sprawie... a jakże ją poprowadziła świetnie!

Opowiedziała mi przez drogę, jak potrafiła wzbudzić nienawiść w dwóch największych zbójcach, Bajusie i Sawce do marszałka, któremu zazdrościli jego władzy.

Dowiodła im, że Bzowski popełnił błąd, zamykając się w Czorsztynie, bo na wolności byłby niezwyciężony, a tu prędzéj czy późniéj wzięty będzie.

A kto temu wszystkiemu winien?—marszałek. On to namówił Bzowskiego, że się zamknął w Czorsztynie, bo chłop chce nad wami panować.

Pokazała im i odczytała listy Chmielnickiego, który wyraźnie żądał, aby Bzowski ukrywał się w górach i werbował ciągle jak najwięcéj ludu, żeby nawet z nim przeszedł na węgierską granicę, nie budząc podejrzenia i tam dopiero po złą-

czeniu się z Rakoczym, napadł od razu na Kraków.

Tego wszystkiego Bzowski nie posłuchał.

Zamknął się w Czorsztynie, przez co obudził czujność szlachty, która go opasała i już nie dopuści Rakoczego, aby się z nim złączył.

Obiecała im dać te papiery, jeżeli porzucą Bzowskiego, aby się mieli czém zasłonić przed Chmielnickim.

Chłopi drżeli do wolności i do Chmielnickiego, którego oczekiwali daremnie, niewsmak im było siedzieć zamkniętymi w ciasnym zamku.

Nagroda pieniężna i wolność wszystkich, przyobiecana przez Jarockiego, dokonały reszty.

A ile to ona trudów zażyła, aby pozyskać zaufanie tych dwóch zbójców, którzy ją podejrzewali, że ich bierze na próbę.

Trzeba było grać przed nimi komedyą nienawiści do szlachty i panów, a udawać Chmielnickiego przyjaciółkę.

Trzeba było pozyskać sobie i Kozaków kilku, których wciągnęła do spisku, a którzy również byli oburzeni, że się zamknął w Czorsztynie.

Gdyby żył Fiodor, nie dokazałaby tego.

Śmierć tego zbója, jakkolwiek okupiona cierpieniem, była pierwszym szczeblem, któryśmy zdobyli w naszéj wyprawie.

Pobiegłem téż zaraz do biskupiego pałacu, aby uściskać mojego Stacha, który tak dzielnie nam pomógł, zabijając tego hultaja.

Przed pałacem biskupim. znalazłem mnóztwo szlachty i panów.

Docisnąć się nie można było do jego komnat. Wszystko to szło mu winszować świetnego zwycięztwa nad Kostką Napierskim.

Porównywano go z księciem Jeremiaszem, który tam nad hultajstwem i Tatarami, pod Beresteczkiem odniósł walne zwycięztwo, a tu biskup zbawił kraj od zguby niechybnéj, zapobiegając energią swoją rebelii chłopskiéj i ujmując herszta wojskiem swojém.

Śmiałem się na to gorzko i myślałem sobie: jak to nieraz człowiek niespodzianie przyjść może do wielkiéj sławy i zaszczytów, gdy prawdziwa zasługa i wielkość gdzieś w cieniu po za kratą klasztorną kryć się muszą.

Biskup przyjmował te hołdy obojętnie, bo wiedział, że na nie nie zasłużył.

Dojrzał mnie w tłumie i skinął.

Przystąpiłem doń z powitaniem — wziął mnie na stronę.

— Zdał mi Jarocki sprawę. Gdzież jest to bohaterskie dziewczę?

— W klasztorze bernardynek.

— Pójdę ją odwiedzić. Cóż ją skłoniło do tego? Wszak to krewna jego podobno i bodaj miłośnica.

— Skłoniła ją miłość dla świętéj sprawy.

— Dziwna. Ten nieszczęsny człowiek będzie karany okrutnie i nic go od téj kary uwolnić nie

jest wstanie. Ot, nie omyliły mnie przeczucia moje. Pamiętasz jego pojawienie się pierwsze w Kielcach?

— Nie zapomnę do końca życia.

— Wszystko to króla grzechy. Niech mu tam na sądzie odpuszczone będą.

Pożegnał mnie skinieniem, bo gratulantów coraz więcej przybywało.

Znalazłem mego Stacha, zmienionym i posmutniałym wielce.

Nie chciał za nic w świecie zostać na dworskiej służbie a i mnie markotno było za nim.

Postanowiłem też wysłać go do domu, który na łasce sług zostawał.

Kraków roił się ludźmi, jak dawno nie pamiętam, a wszystkie lica kraśniały radością.

Od lat to już wielu, nie święcono takiego tryumfu.

Spotykałem znajomych i sąsiadów.

W rozmowie zaczepiono o Kostce Napierskim, ale nikt nie wiedział prawdziwego jego nazwiska.

Snać świadomi nie chcieli tego.

Kostuś stanął kwaterą w rynku, w domu Szlichtinga i ugaszczał u siebie, od rana do wieczora.

Estymowany i chwalony przez wszystkich, co maczali gęby w jego kieliszku, a była ich liczba niezmierna.

Senator, nie senator szedł proszony, a niektóry ciągniony gwałtem do jego uprzejmego domu.

Spotkałem pana Radziejowskiego, spotkałem

Denhofa, Sieniawskiego, Koniecpolskiego, dobrze podciętych wychodzących od niego.

Marszałek jego łapał na ulicy i ciągnął do domu.

Chciano i mnie tam zabrać gwałtem, alem się wykręcił.

Ot, fortuna kołem się toczy, ślepa, niegodna, nierządnica.

Czy nie lepiéj, zagrzebać się gdzieś w dzikiem ustroniu, aby nie widzić tego obrzydliwego świata.

Chciałem gdzieś uciec, aby już nie spotykać ludzi, gdy w rynku przed Sukiennicami, spotkałem się oko w oko z panem Wypyskim.

— Ot, góra z górą nie tego... a człowiek ten... —rzekł, jąkając się uradowany wielce.

— Służby moje panu... — i uciąłem nagle—bo nie wiem, jak mam was mianować...

— Mostowniczym tego... nurskim, kochany panie Scypionie.

— Więc służby moje panie mostowniczy. Zkąd Bóg prowadzi?

— A zkądżeby!... a to dopiero!... a nie wiesz to waść nic... tego... A chodź-że do mojéj gospody... Miło tego... przed takim przyjacielem wywnętrzyć się ten... Zbiliśmy na miazgę Chmiela... Zbiliśmy... tego... Tatarów. Pokażę waści moje tego... trofea wojenne. Oczy waść ten... otworzysz. Bonifacy!

Zjawił się zaraz pajuk, potężnego wzrostu.

— Biegnij mi do gospody jednym tego... su-

sem... Niech tam zaraz nagotują... śniadanie... Jeńca ten... czysto umyć... Zobaczysz waść, zobaczysz.

I plótł mi przez drogę, ciągnąc za sobą, by jak najprędzej pokazać owe cuda, które przywiózł z wyprawy. a krzyczał przytem głośno tak. że przystawali przechodnie.

Bonifacy w mig się sprawił, a było to widać już tak raz na zawsze ułożone, żeby gościom go odwiedzającym, pokazać wszystko.

I w samej rzeczy było co widzieć.

Najprzód cztery pary tureckich prześlicznych koni. Dalej czterech Tatarów, biedactwo jakieś straszne, pokiereszowane, obłożone plastrami.

Pilnował ich Kozak okulawiony, z obciętym uchem.

— Sam wziąłem tego bestyą... ten... kiedy mi jechał okrutnym cięciem w głowę... No powiedz Dmitro, psia wiaro tego...

— Taki ono bűło — rzekł tamten z lekkiém skrzywieniem.

— Tatarów tych wydzielono mi z tego... z łupu... przydadzą się bestye, choć tego... pokaleczeni okrutnie.

Poprowadził mnie do izby.

Cały tu kram znalazłem.

Tureckich siodeł, rzędów, sreber, materyi przeróżnéj, pasów, broni.

Wszystko to podziwiałem, nie dosyć jednak gorąco jak dla niego, bo ciągle dogadywał.

— Ale to u was nic tego... niech mi kto pokaże tyle łupów... Jednak przyszedłeś aść zapóźno ten... nie zobaczysz już sreber i drogich kamieni. bo je tego... porozwieszałem jako votum po tego... kościołach. Chorągiew jednę zawiesiłem u tego... jezuitów. Ale musisz kochany panie Scipio, pójść ze mną po kościołach, pokażę ci to... ten... wszystko.

Wpadło mi w oko jakieś puzdro, suto okute srebrem.

— Cóż aść tu chowasz?—pytam.

— Ciekawyś? Ho! ho! Zobaczysz... ale tego... aż po śniadaniu. Bonifacy.

Podano jadło i napitek.

Zjawiło się paru jego sąsiadów a między nimi pan Jundziłł, podkomorzy nurski. człek miłego obejścia i rozumny.

Pan Wypyski chciał opowiadać o swych czynach, ale go Jundziłł powstrzymał.

— Zostaw to potomnym, panie mostowniczy— mówi — oni będą prawić o twoich czynach. Aść bez urazy, nie masz daru wymowy. Trudnoż być wielkim wojownikiem i mówcą, świadkiem nieboszczyk hetman Koniecpolski. Czyny mówią za asindzieja.

— Ho, ho!... nie tak to tego... mospanie podkomorzy i czyny tego... mogą pójść w zapomnienie. Prowadziłem dyaryusz naszej wyprawy. Już go Cezary tego... tłoczy. Przypisuję go najpoddańszym ten... afektem, księciu Jeremiaszowi

Wiśniowieckiemu... Herby tego... będą wyrżnięte pięknie i ten... ozdobnie. Illuminacya prześliczna naszego ten... wojska i mojéj chorągwi.

Szczęście i duma promieniły z tego lica.

Po śniadaniu i gawędzie, pokazał nam ową osobliwość w puzdrze.

Był to turban ozdobny pięknie z jakiemiś znakami z alkoranu.

— Byłbym i tego... i łeb przywiózł z tym turbanem, ale mi to odradzono.

— Bogu dzięki, bo byśmy nieprzyjemny wcale mieli powrót od asindzieja.

Na ulicy mówię do pana Jundziłła, bośmy wyszli razem:

— Mój mości panie. Jesteś sąsiadem bliskim imć pana Wypyskiego i znasz go dobrze zapewne.

— Jak moje pięć palców.

— Zkądże obok niezaprzeczonych przymiotów, tyle głupiego samochwalstwa w tym człowieku.

— A no słabość widzisz aść, a słabość to nie szlachecka. Odziedziczył to po dziadzie, który był prostym chłopem, a wyrabiał kosy gdzieś tam w Lubelskiém. Chłop był bogatym i dostatnim. Za Batorego sprawnie się znalazł w wojnie moskiewskiéj, bo wystawił swoim kosztem rotę pieszych i uzbroił ich onemi kosami.

Król go nobilitował, kanclerz przyjął do swego herbu, ale obok jelit Zamojskiego, dodano mu kosę.

Chłop urósł w pychę wielką. porzucił rzemiosło i tytułować się kazał pułkownikiem królewskim —mierziła go jednak ciągle owa kosa. że mu to przypominało dawne rzemiosło i sąsiedzi go przedrwiwali.

Napróżno mu tłumaczono, że to największym zaszczytem, bo nikt jeszcze takiego herbu nie dostał. Nic to nie pomogło. Wyprowadził się z Lubelskiego i kupił wieś Wypychy w ziemi nurskiéj. od któréj się i nazwał zaraz, ale ta kosa utrapiona spać mu nie dawała.

Póty więc molestował po kancellaryach królewskich, póty się włóczył i wydawał pieniądze, kupując sobie wstawiennictwo u króla, aż znudzony tém wreszcie Batory, odrzekł:

— Niech-że bestya grabi, kiedy kosić nie chciał.

I dał mu grabie.

Przeszastał fortunę, jeżdżąc za królem i prosząc o tę łaskę. bo go ciągle wypychano i wyśmiewano. Urósł potém w okolicy wierszyk. Chcesz rozgniewać Wypyskiego, to mu jeno to powtórz:

Cóż za zyski
Imć Wypyski —
Grabie dostać
Z niczém ostać?
Dobra kosa,
Bo i nosa

Przyciąć łacno.
A grabima
Nie zgartujesz czego niema.

Ojciec naszego mostowniczego był człek rozumny i szlachcic zacny, jakby od króla Lecha, a syn... ot kiep. Wrodził się w dziada. Wszystko, coś aść widział, pokupował. Namówił nawet kozaka pokrakę, że opowiada, jak go pan mostowniczy wziął do niewoli;—ciekawe jest jego drzewo genealogiczne, które sobie kazał sporządzić, a które wisi w Wypychach. Mimo to wszystko, stawał w szeregu uczciwie i bił się po szlachecku.

Podziękowałem zacnemu staruszkowi za tę opowieść.

Pan Wypyski zniknął mi potém z oczu na długi czas.

Dowiedziałem się tylko potém, że się dobił kasztelaństwa i dochował dorodnych synów, z Łosiownéj strukczaszanki bolimowskiéj.

Czy będą takimi jak ojciec?

Chyba nie — musi to znowu przeskoczyć aż na którego wnuka.

Pilno mi było pójść do Jarockiego, aby się dowiedzieć o naszéj sprawie.

Żołnierz to znakomity i człek serca wielkiego. Nie mógł się naopowiadać o Bzowskim.

— Toć to dziecko jeszcze, — powiada — ale dziecko, z którego wyrość może mąż wielki. Zagniewany na ludzi i świat, bo go żółcią karmili

i kopali, jak szczenię... i ot pochwycił za batog i chciał nim smagać swoich prześladowców. On sam nie był świadom doniosłości tego, co robił. Zawróciła się młoda głowa, od poszeptów szatańskich i poszedł drogą przepaści. Ale ileż tam darów bożych! Przez całą drogę, śpiewał mi wesoło, jak ptak, i opowiadał swoje nieszczęsne życie. Pokochałem go, jak syna, bo tyle dzielności i hartu męzkiego, nie spotkałem w tak młodym wieku, a widziałem dużo już ludzi. Jutro będą go badać i przesłuchywać świadków — przyjdź aść. Wpuszczę cię, jako mego podkomendnego. Trzeba ratować tego chłopca, żeby mu chowaj Boże, co złego nie uczynili, bo tu na niego zażarci.

Aż mi się dobrze zrobiło.

Jutro miałem tedy zobaczyć coś takiego, czego nigdy nie zapomnę.

Zjechał pan Jerzy Lubomirski, starosta krakowski, i mając przy swym boku, dwóch sędziów grodzkich i podstarościego Smiętańskiego, zasiadł na sądy.

Zasiedli ławy świadkowie powołani i niepowołani.

Mnóztwo panów i szlachty przyszło gawronić się temu ciekawemu processowi.

Zasiadł także na ławie świadków, ksiądz Stanisław Domachowski.

Staruszek. powziął dla Bzowskiego przywiązanie. jak i każdy, kto tylko się z nim zetknął.

Strażnik grodzki, wyprowadził Kostkę z wieży i najprzód ukazał go tłumnie zebranemu ludowi, który go powitał wyciem i przekleństwami. Był blady — ponuro spojrzał po tém mrowisku głów ludzkich, potém nań splunął z pogardą.

Zawyło to wszystko okrutnie i posypało kamieniami, ale był za wysoko i żaden go dosięgnąć nie mógł.

Wprowadzono go do sali sądowéj.

Strażnik przedłożył sądowi protokół, akta, listy, uniwersały Bzowskiego i uniwersały Chmielnickiego. które przy nim znaleziono.

Rozpoczęło się badanie.

— Kto jesteś i jak się zwiesz? — zapytał podstarosta.

— Jestem i zwę się Zemsta!—odrzekł przybierając dumną postawę i patrząc im ponuro w oczy.

Podstarosta popatrzał na Lubomirskiego, jakby go pytał, co zrobić z tą odpowiedzią? ten skinął tylko głową, jak gdyby mówił: Mniejsza z tém— a patrzał się bystro w twarz winowajcy.

Podstarosta rzekł po chwili:

— Dobrze.

Potém wziął ze stołu papiery. odczytał mu je i zapytał:

— Czy przyznajesz autentyczność pism owych?

— Przyznaję... i dodam, żeście nie wszystkie znaleźli. Brak tu jest listów Rakoczego. w któ-

rych rozwija swój wysoce znamienity plan opanowania Krakowa a potem Małopolski całej; brak listów cudzoziemców, którzy nam pomoc przyrzekli.

— Czy zamiarem twoim było wszystko spełnić, czego tu żądano po tobie?

— Wszystko co do joty, a nawet więcej, bo chciałem i mieszczaństwo pociągnąć całe, któremu odmawiacie praw człowieczeństwa.

— W jakim celu?

— Aby was wszystkich wygubić.

I znów podstarości spojrzał na starostę, który tą razą nie okazał żadnego gestu i oczy spuścił ku ziemi.

Wszyscyśmy zrozumieli jasno, że Bzowski umyślnie tak oskarża siebie, aby rychłą śmierć wyjednać.

Podstarosta odpowiedział:

— Dobrze.

Po chwili znów spytał:

— Czyś ty zamordował starostę Czorsztyńskiego, Platemberga?

Zaśmiał się dziko—potém wyrzekł:

— Ja.

— Co, co?—odezwano się w tłumie.

Podstarosta na to nie zważał, zapisał do akt.

Potém odchrząknął, jak gdyby do głównego toku sprawy przystępował, popatrzał w stronę. kędy stał kat i jego pomocnicy, i rzekł:

— Teraz wymienisz nam wszystkich twoich spólników.

— Nie wymienię nikogo.

— Nie?

— Nie.

Podstarości popatrzał na starostę— ten kiwnął głową, i milczący dotąd, wyrzekł:

— Katu.

Dano znak dwom oprawcom.

Ci zaczęli go rozbierać.

Ani jeden muskuł nie zadrżał w jego twarzy, był spokojny i ponury.

Gdy mu zdjęto koszulę, zobaczyłem na piersiach szkaplerz.

Zerwał go i podeptał nogami.

W téj chwili zdawało mi się, żem zobaczył straszną postać Soboniewskiego, który złamał po nad nim sądu laskę.

Gdy go rozebrano, rzekł podstarości:

— Bierz go kat!

Wówczas dwóch oprawców przywiązało mu nogi do podłogi a do powały ręce i wyciągano stawy.

Podstarości rachował obroty koła.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm... i tak do dwudziestu.

Stawy trzeszczały, jakby kto po chruście suchym stąpał.

Twarz Bzowskiego była spokojna.

Podstarosta rzekł:

— Dość.

Po chwili dodał:

— Czy wymienisz wspólników?

Żadnéj nie było odpowiedzi.

Wydano katu nowy rozkaz.

— Pal go kat!

Przystąpili oprawcy z dwiema gorejącemi pochodniami, każdy po jednéj jego stronie, i palili mu boki.

Jęk wydobył się z piersi obecnych, zakryłem twarz rękami:

Bzowski stał, jak słup, z założonemi rękoma na piersiach.

Skóra pokurczyła się i popryszczyła od ognia.

Podstarości narachował do czterdziestu.

I znów to samo zapytanie.

I znów bez odpowiedzi.

— Pal go trzy!—krzyknął wreszcie z gniewem.

Kat bryzgnął mu trzy razy płonącą siarką na piersi.

Każda kropla siarki, to jedna rana.

Krzyk oburzenia wydały wszystkie piersi — potém ponure zapanowało milczenie.

Bzowski omdlał.

Kat wylał nań kubeł wody i wnet przyszedł do siebie.

Odzyskał dawną energią, popatrzał po sędziach i wreszcie rzekł mocnym głosem:

— No szlachetni panowie! nie spoczywajcież jeszcze! Zmęczyło was to kiwanie palcem, któ-

rym oprawcy znać dajecie... a może wam żal tych dwóch silnych parobków, co mi wyciągali stawy, albo trzeba nowej podniety, by wasz szlachetny gniew zapłonął!...

— Oh, ty kamienna duszo — rzekł wreszcie starosta z oburzeniem.

— Młodzieńcze, miej litość nad sobą—odezwał się doń ksiądz Stanisław.

— Oh, starcze! ja litość nad sobą? Daj mi nóż w rękę, a kawałami krajać będę ciało moje i tym psom głodnym na pożarcie je rzucać.

— Duch to Scewoli w tym młodzieńcu i na szacunek zasługuje—rzekł pan Jarocki wzburzony cały, występując na środek sali;—a choć wiem, że nic mu życia nie ocali, to przynajmniej raczcie mu szlachetni panowie cierpień i upokorzeń oszczędzić. Jam stary żołnierz i widziałem już nie jedno, co ludzi zgrozą przejmuje, ale na to patrzéć nie mogę.

— Możecie odejść—rzekł podstarosta.

— Dla czego znęcacie się nad tym młodzieńcem? Dostaliśmy w ręce już wszystkich. On przyznał się do wszystkiego, a nawet powiedział więcej, niż zdziałał, żeby sobie jak najprędzej śmierć wyprosić i zaostrzyć waszę nienawiść. Gdym go wiózł tu, błagał mnie kilkakrotnie, abym mu pozwolił życie sobie odebrać; teraz żałuję, żem tego nie uczynił.

Mówił to, prawie ze łzami w oczach.

— Szkoda— rzekł podstarości — możebyś był wasze głową swoją nałożył, a głowa to niebezpieczna, która za takim zdrajcą prosi.

— Prosi za człowiekiem nieszczęśliwym. lecz snadź litość tylko w ludzkiem sercu mieszka.

I wybiegł prędko z sali.

Pan Lubomierski siedział milczący i jak gdyby nie słuchał słów Jarockiego, uparcie patrzał w Bzowskiego. nareszcie wyrzekł:

— Wymień-że nędzniku wszystkich wspólników twoich. Niech tu na darmo drogiego czasu nie mitrężym.

Bzowski popatrzał nań z wyrazem pogardy okrutnéj i rzekł:

— Słuchaj-że senatorze! Jeżeli kiedy sprzedasz ojczyznę więcéj dającemu, jeżeli nią zawichrzysz a sąd zawiśnie nad tobą, niech każda para oczu, każde tchnienie piersi, słowo każde ma tysiące sztyletów dla ciebie, za to wyzwanie, które mi ciągle rzucasz.

Wspólnikiem moim było serce, pełne nienawiści dla was, szatani, ciemiężyciele, co krew ludu chłepczecie, jak szakale. Były moje talenta i wiedza zdeptane i sponiewierane przez was — było poczucie honoru i wyższości, było męztwo i żądza krwi waszéj.

Gdyby mi los dotrwał do końca, wygubiłbym was wszystkich i nowym ludem zapełnił wasze grody i dwory. Gdyby mi los dotrwał, postać

światabym zmienił, gdzie honor, cnota i szlachetne dary boże, tron swójby miały złoty.

Szalone to były żądze i sprawiedliwie, żeby kara wasza, odpowiedziała wielkości mojéj zbrodni. Więc daléj katowie, moje ciało pełne jeszcze sił i życia — męczcie je... ale nie pytajcie o nic więcéj, bom ja nie zbójca, nie opryszek, abym wam wspólników wydawał... bo tylko śmiechem szyderskim, albo przekleństwem wam odpowiem.

I siadł, odwróciwszy się do nich plecami.

Kazano go wyprowadzić, bo przesłuchywać miano marszałka i bakałarza Radockiego, którego w téj chwili przywieziono z Pcimia.

Ksiądz Stanisław nie odstępował Bzowskiego.

Poszedłem za nimi, i jako powinowaty oskarżonego, zostałem wpuszczony do wieży.

Izba to była wielka bez okien, oświecona słabym kagańcem u góry.

Przykuto Bzowskiego do łańcucha, bo się obawiano, aby sobie śmierci nie zadał.

Stanąłem w kącie, bom chciał widziéć i słyszéć wszystko, co z księdzem mówić będzie.

Na progu śmierci, miałem się dowiedziéć, czy mam potępić tego człowieka, albo tylko płakać nad nim.

Bzowski siadł na tapczanie, spuścił głowę i patrzał upornie w ziemię, nieruchomy, jak posąg.

— Oh, biedne, chore, nieszczęśliwe dziecko, za jakąż przewinę okrutną, ten los ci zgotowano? Czémeś zawinił Bogu, że cię tak z opieki swojéj

wypuścił? Dając ci tyle darów swoich, czemuż ci nie dał miłości i w samym pączku ten kwiat piękny zwarzył i zniszczył! Oh, czemuś szatanowi zemsty poszedł w służby, szalony, nieszczęśliwy młodzieńcze!

Bzowski jak gdyby go nie słyszał.

Starzec trącił go zlekka w ramię.

— Synu.

— Czego chcesz?

— Nie myślisz o tém, że się może niedługo w innym świecie zobaczysz?

— Wiem—i dziękuję za to Bogu.

— I mówisz to tak chłodno młodzieńcze? ty, któryś zaledwie krok postawił na drodze życia. Czy nie pozostawiasz za sobą nikogo, coby płakał po tobie?

— Nikogo.

— Oh, młodzieńcze! podziwiałem w tobie hart niezłomny, rozum dojrzałego człowieka, cześć dla cnoty i prawdy a litość dla niewoli... i te wszystkie bogate dary utopiłeś w ohydnéj zemsty kałuży.

— Tak.

— Dla téj chuci nieludzkiéj, własnąś matkę poświęcił, potargałeś węzły miłości i przyjaźni, zaparłeś się wszystkiego, czém oddychałeś od kolebki. Przekazałeś potomnym imię swoje na przekleństwo i wzgardę.

Bzowski podniósł głowę, potém się zaśmiał szyderczo—wreszcie smutnie pokiwał głową i rzekł:

— Starcze! dla słabych zmysłów twoich, obszar ludzkiego ducha za wielki, abyś go objąć zdołał. Czyś kiedy czuł w sobie potężne pragnienia czynów wielkich? Czy twoja dusza marzyła o dobru wszechludzkości? Czyś był przeświadczony o wyższości bożego ducha w sobie po nad poziom tych małych. nędznych karłów, którzy cię otaczali... i czując to wszystko w sobie, gdyby ten rój robaków wypijał ci krew z serca i mózg wyżerał z czaszki... czy stałbyś obojętnie i nie zapragnął go rozdeptać? We mnie wrzały tysiące serc uciśnionych i deptanych nieludzko, podniosłem okrzyk zemsty w imieniu wszystkich.

— Mylisz się młodzieńcze, ty brudnéj chuci twojéj stawiasz kruchy budynek pozoru, wywieszasz chorągiew uciśnionych. I gdzież to ich znalazłeś? Czy rozbójnicy, którzy poszli pod twe rozkazy i którzy cię zdradzili przed obawą kaźni, godni byli téj nazwy? Czy jedna uczciwa dusza rękę ci podała? Nie. Wszyscy szlachetni odstąpili ciebie ze wzgardą i przekleństwem; tylko wrogi ojczyzny dłoń ci haniebną podali, lecz Bóg nie dopuścił téj klęski.

Słuchaj mnie dziecko moje i wierz starcowi, który dziś. jutro podąży za tobą w lepsze światy. Widziałem ja dużo ludzi, kłótych haniebnie kolcami losu, a godni byli, by im fortuna kwieciem uścielała drogę. Widziałem, jak w walce krwawéj wyczerpywali siły ducha, jak padali pod brzemieniem nieszczęścia, ale widziałem w nich wiel-

kie chrześcijańskie cnoty. których tyś nie posiadał. miłość i poświęcenie; i ten sam tłum, który ich deptał i targał bezwiednie, wył potem z rozpaczy nad ich grobem.

Zbudź w sobie tę iskrę synu, która tam spi na dnie serca twojego, nie daj szatanowi pychy, by cię poprowadził w tę drogę wielką, z której już się nie wraca. Dziecko biedne, nieszczęśliwe, nie daj mnie starcowi. co cię pokochał jak syna, spędzić resztki dni w smutku, nad biedną duszą twoją. Okaż światu, nim zeń zejdziesz, wszystkie te dary, w które cię Stwórca ubogacił.

— Przeceniacie mnie ojcze, ja nic z tego wszystkiego nie mam w sobie. Nienawiść i obrzydzenie mam tylko i z temi mnie w grób położą.

Chcesz-że, bym tu odegrał z tobą komedyą skruchy i żalu? na co? po co? dlaczego? Śmierci się nie lękam, niech przybywa, wołam jéj spragniony, bo ona dobrodziejstwem dla mnie.

Tybyś wołał, abym jak zwyczajny rozbójnik, bił się w piersi przed szubienicą, a potem uprosił kata, aby mnie przyjął za swojego pachołka?

Umieram z wiarą niezłomną, że to, com zdziałał. zdziałałem dobrze, i więcéj nic już odemnie nie usłyszysz.

— Dobrze więc, pędź do kresu, kres to już niedaleki. Za parę dni, tygodni, stanie tu oprawca, aby cię poprowadzić na śmierć haniebną, okrutną—ja będę przy tobie aż do ostatniéj chwili, ja kapłańską szatę swoję splamię oddechem kata

a ciebie nie odstąpię, nie odstąpię cię synu, póki mi nie dasz łzy, łzy jednéj żalu i skruchy.

Głos tego świętego człowieka przenikał do głębi, poruszył téż i Bzowskiego, bo wyszeptał:

— Oh, starcze!

— Patrz synu drogi, ja Chrystusa sługa. . tego, który na krzyżu za nas umarł, a wrogom swoim przebaczył, jam mocen rozgrzeszyć cię i błogosławić na drogę wieczną. Jakżebyś stanął czarny tam, przed obliczem twéj matki, która cię tak ukochała... a którą zobaczyć pragniesz..... jakżebyś stanął z tém piętnem ohydnego gniewu? Czyż-by ona tam po raz drugi nie przeklęła ciebie i nie odtrąciła na wieki?

— Oh, matko moja biedna!—jęknął Bzowski.

— Synu drogi! wesprzéj się na méj piersi i ulżyj zbolałéj duszy.

— O tak, matkę moję zabiłem—rzekł, łkając. —Niechże mi się stanie to, co mi jest przeznaczoném. Dziękuję ci ojcze, żeś duszę mą zbudził. Nie—ja nie zło, ja dobro ludziom nieść chciałem. Niestety, chęci nie odpowiedziały czynom.

— Niestety—powtórzył starzec.

— Niech inni dokończą dzieła odrodzenia.

Potém wziął księdza za ręce.

— Słuchaj starcze. Niedługo pewnie moja godzina wydzwoni, a nie chcę odejść, nie zdziaławszy nic dobrego na świecie. Słuchaj starcze... Dwoje ludzi mnie kochało... a ja im wzgardę rzucałem. Powiedz im, niech mi przebaczą. Niech

się podzielą mym majątkiem. niech się połączą i niech będą szczęśliwi... Scipio i Salomeja.

— Mój synu drogi...

— Żegnaj mi ojcze. Siedząc w swym cichym domku, kiedy noc pokryje wierzchołki gór waszych, tych gór, gdziem po raz pierwszy był szczęśliwy, gdy wicher smutno zawyje, pomyśl, że tam moja dusza się skarży. i zmów zdrowaśkę za mnie. Oh, bo źle mi było na świecie!

— Oh, czegoż-bym nie dał, aby cię wrócić! Takim byłbyś wzorem człowieka.

— I jest nim, pomimo błędów swoich—rzekłem cały wzruszony, zbliżając się ku niemu.

— Tyś tu?

— Jam. Przebaczam ci, boś ty najnieszczęśliwszy z ludzi.

Rzuciłem mu się w objęcia i płakałem, jak dziecko.

Pierś wezbrana nie mogła się powstrzymać.

Starzec patrzał na nas i łzy ocierał.

Wszystkie dni szczęśliwe przeciągnęły nam w pamięci.

Zerwałem się jednak szybko, bo mi ocalenie jego spokoju nie dało i oczekująca tam Salomeja.

— Miéj nadzieję Szymonie i słuchaj głosu tego świętego człowieka.

Wybiegłem i popędziłem, jak szalony, do klasztoru Bernardynek.

W parlatoryum zastałem już Salomeję oczekującą na mnie.

Ubrana była w skromną czarną sukienkę, przy której dziwnie odbijała jéj twarz blada.

Przez te kilka tygodni walk, cierpień i udręczeń, zmieniła się dzieweczka moja.

Stała się wysmukłą, jak lilia.

Cera jéj twarzy okraszona niegdyś rumieńcem, przybrała jak gdyby jaką przezroczystość, oczy błyszczały dziwnem światłem, a były duże, ale czasami niby przez mgłę patrzące.

Gdym wszedł, rzuciła mi się na szyję i udarzyła pocałunkiem.

Dziwna. Dawniéj za taki pocałunek oddałbym połowę życia. Dziś stałem przed nią, jak gdyby zawstydzony i pognębiony.

Wielkość jéj duszy przygniatała mnie.

Dawna Salunia ze swym szczebiotem dziewczęcia, acz smutnego, ale żądnego życia i miłości, poruszała we mnie krew wszystką; dzisiejsza budziła podziw i cześć wysoką.

Czułem się wobec niéj małym robakiem, któremu się z łaski i jakby przez litość, okazuje przychylność jakąś.

— Jesteś smutny—rzekła.—Cóż się tam dzieje? Opowiedz mi. Ja tu liczę minuty i sekundy, a każda wiekiem dla mnie.

— Oh Salomejo, ten nieszczęsny człowiek sam zaostrza topór, który w niego ma ugodzić.

I tu opowiedziałem jéj wszystko, czego byłem świadkiem przed chwilą.

W miarę tych okropnych obrazów, które przed jéj oczy stawiałem, twarz jéj mieniła się, jak gdyby te wszystkie męczarnie, jakie mu zadawano, ten gniew jego, to oburzenie i ten stoicyzm, odczuwała w swém sercu głęboko.

Gdym skończył, rzekła:

— Tak być musiało. Wiedziałam, że takim będzie. Duma i nienawiść uczynią go kamiennym. Dla dumy potarga wszystko i zdepcze nogami nawet to, w co wierzył życie całe. Oh, okrutny! bogdaj ten podeptany talizman nieszczęścia mu nie przyniósł. Poszłam ślepo, za radą tego starca, co tam umierał na barłogu, bo jego słowa były natchnieniem z nieba.. ale czy nam się uda spełnić drugą część zadania? Czy go wrócimy światu?

— Bóg dobry i sprawiedliwy—rzekłem.

— Teraz Krzysztofie, mój przyjacielu, mój bracie, zobaczysz, co cię zdziwieniem wielkiém przejmie. Nie potępiaj za to nikogo, bo to była konieczność. Twoje poczciwe serce oceni ją łacno, skoro pozna przyczyny.

— Co chcesz mówić Salomejo?

— Zobaczysz.

Postąpiła ku drzwiom, co prowadziły do kurytarzy klasztornych, otworzyła je na rozcież, a za chwilę pokazała się w nich Bzowska.

Skamieniałem... pot mi wystąpił na czoło, a ręka mimowoli nakreśliła znak krzyża.

Bzowska!...

Była ubrana według reguły zakonnéj, postarzała o lat piętnaście.

Kosmyki włosów białych jak mleko, dobywały się z pod zakonnego czepca.

W ruchach tylko i w chodzie zachowała dawną powagę.

Cofnąłem się przerażony, lecz Salomeja chwyciła mnie za rękę.

— To ja, panie Scipio — rzekła ze smutkiem głębokim, a głowa jéj się trzęsła i w głosie jak gdyby drżenie jakieś czuć było.

— Umarłam dla świata, lecz nie umarłam dla udręczeń, jakie zniosłam i jakie mnie jeszcze czekają w życiu.

— Po cóż ta tajemnica?—rzekłem.

— I cóż mi czynić pozostało? Nie miałam odwagi patrzéć w oczy ludzkie, jak jéj nie mam dotąd, złamana cierpieniem i rozpaczą, straciłam siły, ażeby biedz za nim wraz z wami.

Powinnam go była zamordować, nim zrzucił z siebie więzy, a potém zabić się sama.

Chciałam. Ona mnie powstrzymała.

Gdy uszedł ze zbójcami, padłam nieżywa. Ona mnie przywróciła do życia, alem już zdrowia nie odzyskała, bo patrz synu, głowa moja jak gdyby na zawiasach.

Ona to potém kazała mi się zamknąć w tej trumnie i umrzeć dla świata. dopóki mi syna nie wróci.

Wy dwoje wiecie o mojém istnieniu, i was dwoje zamknie moje powieki na zawsze, albo wraz z mojém nieszczęsnem dzieckiem będę dźwigała kajdany życia, okupując pokutą jego zbrodnie i słabość moję.

Przebacz mi synu, przebacz matce nieszczęsnéj, że nie umiała umrzeć w porę i łudziła się zawsze nadzieją tak, jak i dziś się łudzi, że go jeszcze uratować można.

Nie potępiaj nieszczęsnéj, co zgrzeszyła zbytkiem miłości...

Widziałeś moje życie i widziałeś walki, jakie staczałam...

Widziałeś, jak ten okrutnik mimo przywiązania do mnie, łamał niemiłosiernie moję siłę i energią.

Zaślepiała mnie miłość macierzyńska, to prawda. Zgotowałam mu raz upokorzenie straszliwe. pociągnięta chucią zemsty, ale jakże gorzko odpokutowałam za to!..

Nie dziw się. byłam kobietą tylko, obrażaną i deptaną w najświętszych moich macierzyńskich affektach. lecz drogą honoru szłam zawsze i prowadziłam po niéj to wyrodne dziecko, a miłość ojczyzny kładłam po Bogu najwyżéj w jego duszy.

Robaka złego, co się tam lągł w tem sercu peł-

nem goryczy, nie miałam siły zabić, na to było trzeba męzkiej energii i wielkiego rozumu...

Jego talenta oślepiały mnie tak, jak oślepiały wszystkich, zdało mi się, że popełnię świętokradztwo, skazując go na życie ciche ziemianina, i rzuciłam go w wir świata zepsutego, ale i tu powodowana więcej wolą królewską, niż własną.

Potępisz-że mnie synu?

Stałem milczący, patrząc na tę kobietę nieszczęsną, a w duszy rozgrzeszyłem ją za winy, boć nie były tak wielkie.

— Dzieci moje drogie—rzekła, łkając i rzucając się przed nami na kolana—czy dacie mi jeszcze chwilę radości przed skonem, że zobaczę syna mego?

— Powstańcie, pani. Krew i życie poświęcę, aby go ratować. Miejcie w Bogu nadzieję. Są jeszcze serca u nas, co wyrozumieć potrafią, jakie to pobudki popchnęły na tę drogę tego człowieka nieszczęsnego. Młodość jego i zbytnia krewkość, oto winy, któremi zgrzeszył, a za które przecież nie daje się gardła, jak zbrodniarz w złem wytrawny.

Do króla nam spieszyć trzeba.

Będzież tak nieludzkim Jan Kazimierz, że wyda na śmierć i męki krew brata swego?

Nim tu wyrok zapadnie, który oni posłać muszą do potwierdzenia królowi, my już tam być musimy, aby przygotować grunt i ułaskawienie wyjednać.

— Saluniu, czy będziesz jeszcze miała tyle siły?

— Czy ją będę miała? starczyło jéj na coś więcéj, a tuby miało mi jéj zabraknąć?

— W waszém ręku życie nasze. Niechże on nie dowie się o mém istnieniu, dopóki ułaskawienia nie przywieziecie. Gdy ma paść jego głowa, niechże padnie wraz z moją. Wtenczas tylko tam spotkać się możem.

Jakże wielkie pokładała zaufanie, ta dumna kobieta, w miłości tego dziewczęcia!..

Wielbiłem ją też i podziwiałem, a gotów byłem za nią pójść wszędzie, bo ta jéj siła poświęcenia dla niego i na mnie podziałała tak, żem się jéj poddał duszą całą.

Podróż nasza tym razem miała odbywać się jawnie, we własnych osobach.

Trzeba było pomyśléć o wygodach dla Saluni i trzeba było postarać się o jaką poważną matronę, coby dla ludzkich oczu opiekować się nią mogła.

Zgodziła się na to imć pani Sobocka, wdowa po podsędku bocheńskim, z którą się zapoznałem w Krakowie, kontenta niezmiernie, że tanim kosztem zwiedzi Warszawę.

Jechaliśmy, jak wicher, ubitym traktem krakowskim.

Wesele, jakiém cały naród się cieszył z beresteckiéj wiktoryi, rozproszyło pomału nasz smutek i otucha do serc weszła.

Wszędzie na popasach i w drodze, spotykaliśmy szlachtę pospolitego ruszenia wracającą do domów.

Słyszéć można było o wielkiéj energii i odwadze króla i o cudach rycerskich księcia Jeremiasza, przy których znów powtarzano nazwisko, co w niedługim czasie miało zaćmić wszystkie inne, nazwisko naszego Czarnieckiego.

Było to pierwsze pole, gdzie jego wielkie wojenne talenta zajaśniały w całym blasku. Odtąd już czyny jego miały być wypisane w sercach narodu niezatartemi zgłoski.

Dowiedziałem się téż, że ów imć pan Dębicki, który to u Bełchackich tak podszczuwał na Bzowskiego, był obrany w obozie marszałkiem koła rycerskiego, i on to wymową swoją i popularnością, potrafił nakłonić do oporu szlachtę i przyniósł mu do namiotu ultimatum, że nie pójdą daléj ścigać kozaków.

Za takie czyny, niéma kar w księdze ustaw, niechże chociaż potomność piętnem je hańby naznaczy.

Powitano mnie na dworze z wielką serdecznością.

Żabicki nie posiadał się z radości.

Jemu téż zwierzyłem się z ciężkich kłopotów naszych i on obiecał nam wyrobić audyencyą.

— Nie uwierzysz — powiada — ile tu trzeba

sztuki użyć. ażeby we właściwą porę uderzyć do tego dziwnego człowieka, u którego humor zmienny bywa, jak pogoda marcowa. Przedewszystkiém, trzeba nam pozyskać Gremboszewskiego.

— Któż to taki?

— To człowiek od smutku, jak Ziemba jest od zabawy.

— Co mi ty prawisz?

— A no zobaczysz. Gdy król chce się śmiać i bawić, wzywa Ziembę, gdy chce płakać, woła Gremboszewskiego, modlić się — jest ojciec Tyrawski, o sprawach państwa radzić — wchodzi królowa, grzeszyć — jest Radziejowski. Każdy tu w swoim zakresie rozciąga nad nim władzę i jedni drugim pomagają. Najuczciwszym jednak ze wszystkich jest Gremboszewski, bo władzy swéj na dobre używa tylko.

— Czy to nie ten, co to na skrzypcach mu grywa?

— Ten sam. Dziwnym trafem dostał starostwo urzędowskie po Bzowskiem, niechże broni swojego poprzednika.

— Ha, prowadź mnie do tego Gremboszewskiego.

W oddalonym pawilenie zamkowym, tuż nad samą Wisłą mieszkał Gremboszewski.

Wybraliśmy się rankiem, aby go w mieszkaniu zastać.

Po południu zaczynała się jego służba przy królu.

Gdyśmy się zbliżali do drzwi, posłyszeliśmy muzykę. Przystanęliśmy i słuchali.

Muzyka to była dziwnie piękna i rozczulająca. Te skrzypce płakały i żaliły się jękiem, co za serce człowieka chwytał.

Niekiedy, jak słaby oddźwięk odzywały się w nich tony miękkie, pieszczące ucho przedziwnie, niby nadzieja jakaś błoga i uspokojenie, poczém przychodził znów zgrzyt rozpaczy lub zwątpienia.

— Z tego instrumentu, jak gdyby dusza ludzka przemawia—mówię do Żabickiego.

— Bo téż to tak jest—odpowiada.—Czarodziéj to istny. Całe poemata w swych skrzypcach kryje. To, co wylewamy z duszy przez wiersze, on przez tony dobywa.

— Toż i nie dziwię się, że król takiéj muzyki słuchać lubi, bo jabym tu stał do wieczora.

Muzyka ustała—zapukaliśmy do drzwi.

— Kto tam?—zapytano.

— Gość i przyjaciel.

— Proszę w progi—rzekł, otwierając.

Był to człowiek wysokiéj powierzchowności, lat trzydziestu, bladéj twarzy, ciemnych włosów i brody, melancholicznego wejrzenia, z dziwnie słodkim i miłym głosem.

Izba jego była obszerna, zawalona nutami i muzycznemi instrumenty—wszystko pokryte kurzem i w nieładzie leżące.

Sam pan, do połowy tylko ubrany, niedawno co powstał z łoża, które nieusłane było.

— Nie gniewajcie się, żeśmy wam przerwali pracę. Wysłuchaliśmy najprzód podedrzwiami całą piękną pieśń waszę, rozczuleni i z uwielbieniem wielkiém, jednak ważność sprawy, z jaką do was przychodzim, nie pozwoliła nam lubo z żalem wielkim daléj oddać się téj rozkoszy.

— Już skończyłem zwykłą moję ranną pracę i jestem do waszych usług.

Zaprezentował mnie Żabicki.

Znał on mnie już z opowiadań kollegów i przyjął bardzo mile.

Opowiadanie moje o Bzowskim, przyjął z takiém współczuciem, jakby go to dotykało osobiście.

— Widziałem ja w tym młodzieńcu — powiada—wielkie talenta. Muzykę lubił i rozumiał, jak gdyby sam był w niéj mistrzem, a kto muzykę miłuje, złym być nie może. Grał na klawikordzie i spiewał ładnie. Muzyka uszlachetnia człowieka. Kunszt to bozki, dany ludziom po to, aby im przypominał ich pochodzenie. Muzyka i tyranów w łaskawych zmienić umie.

I jął wywodzić pięknemi słowy, czém to ta muzyka w umiejętnych rękach stać się może. Zdało nam się, że Orfeusz jaki przemawia, a lico mu promieniało, jak u kaznodziei.

Mimo to staliśmy, jak na szpilkach, boć sprawa była paląca.

Gdy wreszcie wyłożył nam swój traktakt, rzekł ze stanowczością:

— Będę prosił króla za Bzowskim i mam w Bogu nadzieję. że go od haniebnéj śmierci wyproszę. Bądźcie dziś po południu. Dam wam znać przez pokojowca Strojnowskiego, abyście weszli w właściwą porę, kiedy ja króla nakieruję i instancyą za nim wniosę.

Czekaliśmy, licząc sekundy.

Żabicki tymczasem już wywiedział się od Drzewieckiego sekretarza przy referendarzu koronnym Laskowskim, że wyrok na Bzowskiego już do Warszawy nadszedł.

Lecieliśmy z nim w przegony.

Starosta nie zasypiał sprawy.

Pisał gorąco do referendarza o pośpiech. kładąc główny powód, że zbuntowani górale chcą odbić więźnia na Wawelu.

Tylem lat przebył w Zamku warszawskim, a nie wiedziałem o owych skrytkach, zakamarkach, krętych schodach, któremi nas Żabicki z Salomeją prowadził.

Nie widziała nas żywa dusza, bo tak i trzeba było.

Szpiegostwo tu rozpostarło się tak wielkie, że mysz się nie dostała do zamku, aby o niéj nie wiedział Radziejowski, królowa lub marszałek.

Gdyśmy już stanęli na miejscu, Żabicki nam otworzył drzwi z klucza i znaleźliśmy się w małym pokoju, którego okna wychodziły na Wisłę.

Za nieboszczyka króla mieszkał tu właśnie ów Trzebuchowski, co to biedaczysko zwaryował

z żalu po dobrym panu, a miał pod swoim nadzorem zbrojownię królewską — dziś izba ta opuszczona była składem królewskiéj niektórej pośledniejszéj garderoby.

Z tego pokoju, prowadził długi kurytarz. który się kończył kotarą.

Uchyliłem jéj, zajrzałem — patrzę, a tam król siedzi z fraucymerem i Ziembą i gra w karty.

Cofnąłem się przestraszony, a Żabicki mówi:

— Jeżeli chcesz, możesz posłuchać, jak się pan nasz zabawia—a my z panną Salomeją, pójdziemy do pokoju paziów, zkąd nas wprowadzi Gremboszewski do króla.

Zgodziłem się chętnie i już stałem jak przyrosły do miejsca, a było ono tak dogodne, że z boku widziałem i antykamerę paziowską a przed sobą króla i jego towarzystwo.

Było ich dwie—La Mariniere i Lussé.

Siedziały po obu stronach króla.

Ziemba uwijał się na około stołu.

Grano w drużbarta.

Była to ulubiona gra królewska, a grywał w nią słabo i potém gniewał się.

Tym jednak razem był w miłém usposobieniu.

— Patrzaj-że Maryniu! (tak nazywał de la Mariniere). Widzisz, jak to się dobrze składa—rzekł, biorąc karty i tłumacząc w dalszym ciągu rozmowę, któréj początku nie dosłyszałem—Lussy zabiła *starszą*, to Chmielnicki pod Beresteczkiem — ja zabiłem go królewskim *drużbartem*, a Ziemba

przykrył to wszystko *dolą* i w dodatku *okulary* mi pisze na urąganie.

— Więc na cóż się twoje zwycięztwa przydały królu?—rzekła Francuzka.—Nudna gra, nie cierpię jéj.

— Bardzo zabawna. Patrz tylko: Te siódemki, których zabić nie można niczém... a im więcéj ich w ręku, tém biéda większa — nie sąż-to szlachta braty, w obec których tuze, króle i wyżniki, wartości żadnéj nie mają.

— Nędzne siódemki, grajmy *l'hombra* królu.

— *Oui! l'hombre c'est un tres-joli jeu!* — rzekła Lussé swoim słodkim głosikiem.

— Ale ja pieniędzy nie mam moje gołąbki, wszystkoście już *tryszakiem* ze mnie wyciągnęły.

— Znów ci królu powtórzą swoję ulubioną piosneczkę. Wygraj—nie masz do nich szczęścia. Przegraj tylko a dużo — uśmieszkiem ładnym płacą.

— To nie może być inaczéj mój Ziembo. Za uśmiech ich płacić trzeba, Dajże mi jeszcze kilka dukatów i zaczynamy l'hombra.

— Na kilku się nie skończy. Wkr. mość źle grasz.

— Zobaczysz—odrzekł król, rozdając karty.

— Chyba wam panie pomagać będę. Wkr. mość dajesz się im łapać na jedno mgnienie fałszywe.

— Prawisz brednie Ziembo, to ja je wikłam w sidła.

Ziemba biegał od jednéj osoby do drugiéj, podglądał karty, co Francuzki gniewało i niecierpliwiło bardzo — wreszcie krzyknął królowi nad uchem:

— Kralką panie.

— Głupiś aść. Widzisz, kralka się na to przydała. Zgarniam im moje przegrane dukaty. Lussé rozdaj karty.

Ale Lussé zatrzęsła się ze złości i syknęła przez swoje ładne usteczka:

— *C'est mal.*

— Już pobladły—rzekł Ziemba.

Rozegrano—i tym razem znowu król był szczęśliwy, co go w złoty wprawiało humor.

— Może przestaniemy panie—rzekła de la Mariniere.

— Nie, wszystkie pieniądze wam zabiorę.

— Mój ostatni dukat—rzekła de la Mariniere, kładąc go na stół z przyciskiem.

— To znaczy, że teraz wam przegrać królu wypada.

— Nie mam litości. I to moje. Cóż nie grasz Maryniu? Ziemba ci pożyczy.

— Moje pieniądze szczęście przynoszą, gotowa się odegrać.

Król się śmiał, Francuzki gniewały, a Ziemba strzelał wciąż konceptami, gdy wszedł referendarz koronny.

Trzebaż było trafu szczególnego, że właśnie teraz wejść musiał.

Król zobaczywszy go, posmutniał nagle.

— Oho, to i po mojém szczęściu — rzekł.—Zawsze ono tak krótkie.

— Miłościwy panie, a wszakże to wy szafarzem jego — odpowiedział referendarz, kłaniając mu się z uśmiechem, jak gdyby za łaskę jakąś dziękował.

— Więc tylko dla drugich przyprawiać je umiem, a sam mam być głodnym zawsze? Ha, niechże i tak. Cóż mi powiecie referendarzu?

— Smutny spełniam dziś obowiązek. Z wyrokiem śmierci przychodzę, do podnóżka tronu wkr. mości.

— Z wyrokiem śmierci — rzekł król, zrywając się z siedzenia, a przeżegnaj-że się waszmość. Dla kogo ma być ten wyrok?

— Dla Kostki Napierskiego.

Mrowie mnie przeszło.

— Dla czegoż z tém do mnie?

— Wiecież miłościwy panie, kto ów herszt Kostka Napierski, co tyle wrzawy narobił? to nie byle *homo*, to były dworzanin nieboszczyka króla i jego bękart—to Bzowski.

Nastąpiło ogólne przerażenie.

— Bzowski, to mu z oczu patrzało — rzekł Ziemba.

— Bzowski!—zakrzyknęły Francuzki.

— Ach, przez Bóg żywy i wy chcecie, żebym ja go na śmierć skazywał?

— Tak miłościwy panie — ja imieniem całéj

Rzplitéj błagam cię o to — odpowiedział referendarz.

— Nigdy! nigdy! A to dopiero! Cóż to waści w głowie? Czym to ja król Herod, co niewinne dzieci morduje? Wszak to syn mego brata. I cóż wam zrobił ten Kostka? nahałasował trochę. aby wam strachu napędzić i na tém koniec. Wszak nie zabił nikogo?

— Nie ujrzysz już Platemberga królu.

— Platemberga? Tego tłustego Platemberga? Cóż mu się stało?

— Padł pod żelazem Kostki.

— Oh, to szkoda człowieka. Taki dobry towarzysz. A po cóż on mu tam wlazł w ręce?

— Poszedł bronić swego czorsztyńskiego zamku i jako bohater padł ze zbójeckiéj ręki.

Już chciałem wybiedz z méj kryjówki, aby paść do nóg królowi, a referendarzowi fałsz niegodny zarzucić, ale cóżby się było stało?

Platemberg wylizywał się z bizunów i jeszcze długo starostował potém w czorsztyńskim zamku.

Słuchałem daléj.

— Szkoda chłopca... Oh, szkoda!—biadał król. No, ale tak samo i Kostka, mógł zginąć w walce. In fundum go posadzić — ale na śmierć nigdy! nigdy!

Dobre serce królewskie zawsze odczuwało prawdę w pierwszéj chwili, dopiero niegodne wpływy ludzkie, umiały zachwiać jego szlachetne popędy.

Tak bywało w wielu razach.

I już sprawa zdawała się skończoną.

Król siadł napowrót przy stole i zaprosił Francuzki do gry, gdy referendarz jakby zbierając się na odwagę i postanowienie przemówił z wielkim naciskiem:

— Przebaczcie mi panie, ale zmuszony jestem tu wypowiedzieć, co ogół szlachty całéj głosi o téj nieszczęsnéj sprawie.

— Cóż głosi?

— Kostka w waszém imieniu panie, wydawał uniwersały. Pisał, że idzie się bić za was na szlachtę.

— Za mnie? Szalony dzieciak. I cóż mnie to obchodzi, że on to mówił? Wszak to fałsz?

— Fałsz... ale ludziom nie zamknie gęby gołosłownem twierdzeniem— im potrzeba przykładu. i od was panie go oczekują.

— To ja dla kilku krzykaczy mam przelać krew człowieka, co może i zawinił wiele, ale młody, dziecko prawie, któremu wąsik zaledwie odrósł pod nosem. Do karceresu go zamknąć na chléb i wodę—niech ochłodnie. Wszakże on węzłami krwi związany ze mną? Tego nie będzie.

— Nie kilku to krzykaczy, ale ogół cały tak mówi. Pomyśl Najjaśniejszy panie, na co się narazić możesz? Czy wiesz królu. jakie zbrodnicze myśli kłębiły się w téj głowie? zgroza pomyśléć o tém. Cały stan szlachecki miał wygubić. Rakoczy i Chmielnicki mieli mu przyjść z pomocą.

Całe Podhale, ziemia Sądecka, górale tatrzańscy-wszystko to chwyciło za siekierę, wymówiło posłuszeństwo swym panom. Wielkopolska i ziemia Sandomierska poszły w ich ślady. Tam już krew się polała panie. Gdybyśmy nie schwytali tego herszta, kto wie, czy wróciwszy z pod Beresteczka, znaleźlibyśmy jeszcze nasze domy, żony i dzieci. To sprawa straszna panie i lekceważyć jéj nie można, ani zwlekać dłużéj. Wieści krążą do koła, że chłopi ciągną pod Kraków, chcą go odbić. Cała załoga dzień i noc czuwa. Dla przykładu panie, skończyć trzeba.

Król był nieugięty.

— Dla przykładu, dla przykładu. Krew pochopnie przelana nigdy dobrych owoców nie zrodzi.

Przeszedł się parę razy po komnacie.

— Zobaczę... namyśle się... poradzę... czekać trzeba.

Wtém wsunął się do komnaty Radziejowski.

Chodem kocim kiwając się na oba boki, postąpił z uśmiechem ku królowi.

Chodziły teraz na dworze o nim dziwne wieści.

Że król rozkochany w jego żonie, niegdyś pani Kazanowskiej marszałkowéj; że on patrzy na to przez szpary, a nawet życzliwy temu.

Inaczéj trudno było wytłómaczyć tych łask wielkich, jakich mu król nie skąpił, mimo, że zalał mu za skórę szelmostwem swojém pod Beresteczkiem.

— Patrzno panie krajczy—rzeczy król — jaki mi tu pasztet pan refendarz zgotował.

Radziejowski popatrzał na wyrok i rzekł z powagą i stanowczością.

— Przecie!

— Co? i ty pochwalasz tę karę?

— A jakże można inaczéj? Wkr. mość się wahasz. Toż człowiek godzien nie jednéj, ale tysiąca śmierci. Zdrajca, jakiego nie było jeszcze. Przekupiony przez Chmielnickiego. Poprzysiągł nam zemstę. Gdy takich karać nie będziemy, to w cóż się już obróci powaga tronu i Rzplitéj!..

I to mówił Radziejowski... ten sam, który w niespełna lat parę po tych słowach, zalał nas morzem krwi i gwałtów, jakich Polska nie oglądała jeszcze, sprzedając ojczyznę Szwedowi.

Król pod wpływem tego jadowitego języka, zawahał się i westchnął głęboko.

— Biedny, obłąkany człowiek—rzekł smutnie.

Radziejowski rozłożył wyrok na stole i podał królowi pióro.

— Tego mi brat na bozkim sądzie nie przebaczy.

— On postąpiłby tak samo.

— Oh, nie! on kochał tego chłopca... i ja lubiłem go bardzo, choć dworzan moich paru obciął. Schwycił on dużo z braterskiego animuszu.

Król wziął pióro z rąk Radziejowskiego.

— Tylko co tam było wielkiém i majestatycznem, tu przybrało cechy sprosnéj, hajdamackiéj

gminności. Nie widziałem jak długo żyję, tyle pychy i zapamiętałości. jak w tym młodzieńcu — mówił Radziejowski, a w tych jego słowach, całą nienawiść dla Bzowskiego czuć było.

Nie mógł mu darować Rufiana.

Król stroskany siadł przy stole, umoczył pióro w inkauście i zabierał się nakreślić podpis, gdy Ziemba stojący dotąd obojętnie i przysłuchujący się téj rozmowie, rzecze w głos do de la Mariniere:

— I wy nie prosicie za nim, wszak to adonis wasz dawny?

— Co Maryniu? Tyś tego Kostkę kochała? On ci miłym był niegdyś— rzekł król, kładąc pióro i biorąc ją w objęcia.

— Ja?—wykrzyknęła Francuzka, cofając się.

— Ha, w takim razie, włoska mu z głowy zdjąć nie dam — i wstał z krzesła i postąpił za usuwającą się Francuzką.

— Do szatana! czyż zawsze królowie będą tylko krzykaczy sługami. Niech jedzie na wygnanie! Świat szeroki—niech jedzie.

— Niech ginie! — krzyknęła Francuzica. — Ja was proszę o to Najjaśniejszy panie. Potwarz niegodna. Widywałam go na dworzei odrazę czułam do niego zawsze. Jeżeli mam łaskę u was panie, błagam teraz tembardziej: nie ociągajcie się z wyrokiem—taka potwarz uwłacza mojéj dobréj sławie. A potém, to zdrajca niegodny i niebezpieczny krajowi. Żyć nie powinien.

— Zkąd-że ta nienawiść sroga? Zdradził cię dla innej Marynieczko?

— Najjaśniejszy panie, przysięgam ci, że tego człowieka nienawidziłam zawsze.

Wnętrzności mi się przewróciły, patrząc na tę żmiję.

Ziemba też nie mógł już wytrzymać, bo zaśmiał się po dyabelsku i rzecze do referendarza:

— No, ta przejdzie kiedyś szatana.

— Dziwne, dziwne—rzekł król smutny.—Biedny Kostka, niéma nikogo, ktoby po nim zapłakał.

Wtém jakby sobie coś przypomniał, rzekł prędko:

— A jegoż matka? ta nieszczęsna kobieta, któréj wydarto wszystko, a któréj poleciłem z mego stołu dożywotnie utrzymanie! Czy ona aby pobierała to wszystko? Wołajcie mi podskarbiego.

— Ta kobieta umarła — rzekł referendarz. — Syn jéj wyrodny, stawszy się zdrajcą ojczyzny, zgon jéj przyspieszył. Umarła, przeklinając go, bo była kość z kości i krew z krwi szlachetną.

— Niechże mu Pan Bóg przebaczy.

Siadł, podpisał i oddając papier referendarzowi:

— Odejdźcie teraz wszyscy. Zawołać Gremboszewskiego.

Wpadłem do antykamery, donosząc Żabickiemu, co się stało.

— Bądź spokojny— rzecze — ja w tém, że ten wyrok wyjdzie z kancellaryi. już po podpisaniu ułaskawienia.

Przyszła pora na smutek, pomyślałem sobie i znów skoczyłem do mojéj kryjówki.

Wszedł Gremboszewski.

Król chodził długo po pokoju, przystawał, myślał, potém znów chodził, wreszcie zatrzymawszy się przed muzykiem, rzecze:

— Powiedz mi Gremboszewski, czy ja dobrze zrobiłem, biorąc koronę?

— Nie panie.

— Więcem niezdolen być królem?

— Ty Najjaśniejszy panie? ty jesteś wzorem króli. Tak dobrego pana Polska nie miała jeszcze i dla tegoś korony brać był nie powinien.

— Prawdęś powiedział, korona cierniowa mi się dostała. Mój Boże, patrząc na rządy Władysława, tak spokojne i szczęśliwe, zazdrościłem mu, a dziś, ja biedny sternik na têm burzliwém morzu, podołać mu nie mogę.

— Mała tu zaszła pomyłka w sferach niebieskich. Wy panie powinniście królować za Władysława czasów, a Władysław za waszych.

— Co mówisz Gremboszewski... wolałbyś, żebym już nie żył w téj chwili?

— Tego nie miałem w myśli panie. Ty byłbyś głową a Władysław ręką twoją

— Czyż potrzebuję jego dłoni? Czym nie pokonał Chmielnickiego?

— Chmielnickiegoś pokonał, ale nie pokonasz Chmielnickich, królu.

— Prawda, coraz więcéj ich przybywa i przy-

bywać będzie. Każda twarz rokoszem grozi. Oh. nie takiego, nie takiego potrzeba im króla!

Słuchaj Gremboszewski i śmiej się ze mnie.

Wiesz, czém nie byłem, wiesz ilem świata przejechał... a zawsze — czy w rewerendzie jezuity— czy w kardynała purpurze, czy w zbroi rycerza. polskie serce mi biło w piersi—i gdziem nie był— czy na lagunach Wenecyi, czy pod Neapolu niebem, czy w gwarnym Paryżu, lub gospodarnéj Flandryi. tęsknota cisnęła duszę za tą Polską.

Wydrwiwano mnie, posądzano o niestatek, brat gromił mnie i lekkoduchem przezywał, a jam tylko do Polski ciągnął zawsze i Polskę jednę kochał duszą całą... i patrz-że Gremboszewski — ta Polska mi się odwdzięczyła, bo koronę mi dała, dała wszystko... a ja jestem tak nieszczęsnym. że jéj uszczęśliwić nie mogę.

I tu zapłakał.

Patrzałem i słuchałem zdziwiony.

I tenże to Jan Kazimierz, o którym tyle sprzecznych nasłuchałem się gadań? Wróg Polaków i Polski, człek chwiejny i ambitny, złego serca, rozpustnik bez czci i wiary?

Było tam prawda i tego, i owego dużo, boć sam widziałem, aleć o brak serca chyba nikt go posądzić nie może.

Gremboszewski przypadł mu do nóg.

— O mój dobry panie! uszczęśliwienie Polski w waszém wielkiém królewskiém sercu.

— Nie mój bracie, to za mało, powiek nie zam-

knę spokojnie, póki jéj przyszłości nie zbuduję— zobaczysz.

— Niech Bóg błogosławi waszym zamysłom.

— I ja mam mojego dobrego anioła... królowa...

Tu zawołał mnie Żabicki i już nie dosłyszałem reszty.

Trzeba się było mieć na baczności, bo Gremboszewski lada chwila mógł zawołać.

Byłem prawie pewien, że nam wyjedna posłuchanie i łaskę wyprosi.

Przez czas moich podsłuchów za kotarą, Salunia opowiadała Żabickiemu wszystkie swoje przygody, a patrzał w nią z uwielbieniem, jak w obraz święty.

Po półgodzinném oczekiwaniu, wyszedł paź i zaprosił mnie do króla.

Wszedłem drżący.

Miałem go prosić o łaskę, nie zasłużywszy w niczém na nią.

— Witaj mi—rzekł z dobrocią.

— Szczęśliwym, że mogę upaść do stóp Wkr. mości, pana mego miłościwego.

— Rad jestem widzieć cię w dobrém zdrowiu, panie Scypio... Czy nie biada jaka?

Zmieszałem się trochę, bom myślał, że odrazu mnie zagabnie, a to Gremboszewski widać na nas zwalił przedwstępne zagajenie sprawy.

— Miłościwy panie! — rzekłem — mam tyle z szczodrobliwości nieboszczyka króla, że mi na

życie wystarczy — nie za sobą też prosić przychodzę.

— Byłem tego pewny. mów panie Scypio. Jeślim w możności, nie odmówię.

Padłem do stóp królewskich i rzekłem ze łzami:

— Panie najdobrotliwszy! najprzód nie racz Wkr. mość brać za złe mej prośby—bo i za kimże to ja prosić będę! Prosić będę za człowiekiem który zdradził króla i ojczyznę, prosić będę za hersztem rozbójniczej bandy, za wichrzycielem. który pod mieczem kata ledz winien. Wstrząsnął kraj cały, zamącił umysł Wkr. mości w chwili. kiedy zwycięzki twój oręż, ratował z toni ojczyznę... a jednak najmiłościwszy królu, ja śmiem was błagać o życie tego człowieka.

— Powstań panie Scypio... O Kostce mówisz? Więc ten młodzieniec nie był tak złym, kiedy miał takich przyjaciół?

— Nie panie. Fatalność go popchnęła. Chowany na dworze, był celem urągania i szyderstwa rówienników. Zazdroszczono mu łask pańskich. Dumny a pełen szlachetnych popędów znienawidził ich i gorycz owładnęła mu duszę... W takiej to chwili szatan podsunął mu bratobójcze żelazo... Ale o panie! ten człowiek już, już gotów był pójść z nami na pole chwały i zapomnieć tych straszliwych pokus. które go szarpały, gdy posądzony przedwcześnie o zdradę, wołał ją spełnić. niżeli jęczeć pod zarzutem. Pobiegł w przepaść.

— Tak, straszliwe czasy... takich to one ludzi wydają. A któż zaręczy, że ocalony, znów nie podniesie rokoszu?

— Ja panie, bo znam tę duszę szlachetną w gruncie, ognistą a czynu chciwą, przytém ambitną. Daj mu miłościwy panie miejsce, jakie zdolnościom jego należy a wzrośnie z niego mąż, którym szczycić się będzie ojczyzna. Kopano go nogami dotychczas. W duszy zemsta piekielna się ozwała.

— Widzę, jak gorąco go miłowałeś panie Scypio i widzę, że wart był tego, ale cóż ja dla niego zrobić mogę? Tam senatorowie i szlachta żądają jego głowy... rokoszem grożą...

— Nie wszyscy—a w wrzawie bitwy, na którą ich znów poprowadzisz panie—zapomną.

— Podobno zbuntowane chłopstwo, posuwa się pod Kraków i uwolnić go pragnie.

— Płonne wieści.

— Przywiązanie twoje, mój Scypio, zbyt cię zaślepia, trzeba ważyć niebezpieczeństwo Rzpitéj—ja sam boleję wielce, bo lubiłem tego młodzieńca, ale dla przykładu paść musi.

— Innych-by to przykładem takim straszyć trzeba.

— Co mówisz panie Scypio?

Wtém Grembowszewski dał mi znak.

Zrozumiałem go dobrze.

Otwarłem drzwi i wprowadziłem Salomeję.

— Oto do mego rozpaczliwego głosu, jeszcze

jeden głos łączę—rzekłem. — Pozwól miłościwy panie i jéj litości błagać.

— Młode dziewczę—rzekł król zdziwiony—to jest...

— Panna Salomeja Krzysztofowiczówna. sędzianka stężycka...

— Czegóż żądacie mościa-panno?

— Ja miłościwy panie — odrzekła Salunia — blada cała i drżąca.

— Zbliż się... nie drżyj... to prawie dziecko.

I ona, co patrzała na śmierć z odwagą. tu straciła głowę zupełnie.

Trzeba było całéj dobroci króla, aby ją ośmielić.....

Powoli téż odzyskała całą swoję energią.

— Królu i panie miłościwy... cześć dla waszego majestatu... Jam nie zwyczajna żyć w wielkim świecie... mowa moja szorstka... wychowana w stepach... przebaczcie mi królu, że gładkich słówek nie znam...

— Mówcie, jak wam serce dyktuje—rzekł król.

— O tak, z serca téż jęk prośby mojéj dobywam, do waszego ucha panie mój miłościwy. Ratujcie mnie! Popełniłam czyn straszny... alem go spełnić musiała. Oto na dwie połowy rozdarte to serce, walczyć musiało z obowiązkiem. Byłam blizką szaleństwa, bo musiałam przytłumić w niém wszystkie tętna — oddać wszystkie jego rozkosze i nadzieje, aby potém z rąk waszych

królu miłościwy otrzymać wszystko to, com postawiła. Oh, spełnij prośby moje panie.

— Przebóg — mówcież, proszę. Co możność ludzka zdziałać może, to wam przyrzekam.

— Pozwólcie, niech do stóp waszych padnę i łzami wdzięczności je obmyję, boś ty panie pomścił krzywdę mojéj rodziny. Wymordowano mi ojca, matkę i braci. Ci sami zbójcy padli pod twym bohaterskim orężem. Niech Bóg ci za to zapłaci, panie! Dziś jestem błędną tułaczką. U matki tego człowieka, za którym tu prosić przyszłam, znalazłam dach i przytułek. Ona była i moją najczulszą i zaklęła, że jéj jedynego syna ratować będę.

— Ty dziecko?

— Pobiegła za nim w góry—rzekłem—aby go odwieść od zdrady. Przebiegała drogi, ostrzegając o rokoszu i wreszcie w Czorsztyńskim zamku...

— Oh, nie mówcie tego, co mi wstydem rumieni lica, ale mogłażem postąpić inaczéj? Zabić go chciałam, a ręka odmówiła mi posłuszeństwa i uczucie trwogi tłumiło mi oddech. I ja, com patrzała na śmierć mych rodziców i braci, drżałam w końcu o jego życie. Oh, bo nie wiecie miłościwy panie, ile w téj duszy Bóg skarbów złożył. Nazwano go hersztem, co szlachetnością duszy z bohaterami mierzyć się może. To prawdziwy syn królewski, którego świat niewdzięcz-

ny zamiast purpury, przyodział wzgardy szatą. Wróćcie mu miłościwy panie to, co lada żebrak mieć może—godność ludzką.

— Zadziwiasz mnie dzieweczko... w życiu mojém nic podobnego nie widziałem. Tyle odwagi, rozumu i serca. Ależ ja teraz widzę, że uwolnić Kostkę i pożenić was trzeba.

— Bolesny to żart panie. On po rękę księżniczki sięgnąć może.

— Ależ kto tak wymownemi słowy bronić potrafi, ten nie tylko samą litość uczuwa.

— O tak, panie! Nienawiść i miłość walczyły we mnie dotąd, teraz jedno ustąpiło drugiemu. Teraz już on nie hersztem i nie zdrajcą, ale nieszczęśliwym, którego ratować kosztem życia mojego muszę. Jam losem smutnym z nim związana. Jam nieszczęsna przyczyniła się do jego więzów, pozwól więc najmiłościwszy panie, abym go z nich wywiodła i wróciła ojczyźnie marnotrawnego syna, który życiem szlachetném odpłaci wszystkie te rany, co jéj zadał.

Król patrzał długo na Salomeję, ona się płoniła i mieszała, wreszcie zwracając się do Gremboszewskiego, spytał:

— I cóż mój Gremboszewski?—po któréj stronie prawda? Tam senatorowie i cały stan rycerski woła śmierci... a tu proszą o jego życie.

— Chyba tu królu.

— I mnie się tak zdaje. Podaj mi pióro i papier.

Siadł, napisał i oddając papier Salomei, rzekł z niewypowiedzianą dobrocią:

— Masz dzieweczko. Gdzie tacy proszą, tam królowie powinniby mieć więcéj, niż mają, aby nigdy odmówić nie mogli.

Tém mnie chwycił za serce tak, żem mu do końca mojego życia poprzysiągł miłość i wierność.

I Bóg widzi, że dotrzymałem słowa.

Salomeja padła mu do nóg.

— Oh, królu wielki i wspaniały — niech ubłogosławione będą wszystkie dni twego życia. Niech te łzy radości, które wyciskasz ludziom, Bóg zmieni w drogocenne perły dla ciebie.

— Dosyć panienko! Spiesz z tym papierem, abyś zapóźno nie przybiegła.

Ucałowaliśmy jego ręce i stopy i rzucili się w drogę.

— Oh, najukochańsi, wracacie mnie do życia— wołała Bzowska.— Spieszmyż wszyscy do niego. Dziś dzień szczęścia i wesela. Od dziś poczniemy inne życie. Dziś powitam syna mego, jak gdyby nowonarodzonym i od dziś dopiero będzie urastał w męża, co pożytek i sławę ojczyźnie nieść będzie—zobaczycie. Oh, jakżem szczęśliwa! Więc i dla mnie jeszcze wybiła godzina radości, za mąk tyle i cierpień. Pójdźmy! Lecz nie myślcie, bym w téj radości zapomniała o moich dziś obowiązkach? Oh, będę matką surową.

Łzami pokuty i żalem wielkim za grzechy. rozpocząć musi ten drugi żywot. Idźmy!

Ułożyliśmy, że Salomeja pobiegnie z listem ułaskawienia do starosty, podczas kiedy ja z Bzowską, udamy się do wieży.

Wprowadzono nas do jasnéj, dużéj izby.

Przy stole siedział Bzowski z panem Jarockim.

Zacny ten człowiek, staczał walki z starostą i wymógł tyle, że dano inną celę Bzowskiemu i pozwolono go odwiedzać.

Gdyśmy weszli, prowadzili ze sobą żywą dysputę.

Bzowski wyglądał znękany i przybity okrutnie.

Wycierpiane męki. żal i rozpacz, wyżłobiły swoje ślady na tém żelazném ciele.

Zobaczył nas u proga—zerwał się, wpatrywał czas jakiś, potém wykrzyknął przeraźliwie i padł znowu na krzesło, zakrywając twarz rękoma.

Bzowska chciała postąpić, ale jakby ją co przykuło do miejsca—została.

Jarocki patrzał. nic nie rozumiejąc.

— Kto jest ta kobieta? Co tobie?

Bzowski wstał. trzęsąc się, jak we febrze.

— Co się tu dzieje? Czy to sen—czy to widmo? Czy rozum mój się błąka? Ja szaleję! ratuj mnie panie Jarocki.

Potém postąpił ku niéj drżącym krokiem.

— Wielki Boże! Ona? Matka! Matka moja.

Bzowska patrzała nań ciągle milcząca, ale wi-

dać było, że walczy z sobą... wreszcie jakby przezwyciężając miłość macierzyńską, rzekła surowo:

— Na kolana nędzniku!

— Matko, ty żyjesz?

— Podniosłam trumny wieko i wyszłam z grobu, aby wyrodne dziecko moje wrócić światu i aby pokutą okupiło zbrodnie swoje.

— Matko! — wołał wciąż Bzowski, nie mogąc się oswoić z swym stanem i przecierając ręką po czole, jakby mary jakieś odpędzał.

— To ja, matka twoja. Na kolana padnij synu wyrodny. Żyję dla tego, że i ty żyć będziesz, bo gdyby na rusztowaniu upadła głowa twoja, jużbym z grobu mego nie wyjrzała.

— Oh, matko! — krzyknął Bzowski, rzucając się przed nią na kolana i całując jéj nogi.

— Gdyś wstąpił w zbójców zgraję, jam zmarła dla ciebie i dla świata, a tyś nędzny łzy jednéj nie uronił za matką i wydrwił jéj przekleństwo. Poszedłeś w bój z ojczyzną i ona wydała sąd na wyrodnego syna i za chwilę głowa twoja miała się stoczyć. Łaska królewska darowała ci życie i ja matka biorę cię wraz z niém i temu światu, który laskę sądu złamał nad tobą, dam syna drugiego, oczyszczonego pokutą, odrodzonego cnotą. Czy ty to pojmujesz niegodny? Nie mam uścisku dla ciebie, nie mam jednego przychylnego słowa. Tę wielką miłość, którąm niegdyś grzeszyła, wyrwałam z serca i na ołtarzu utrapionéj złożyłam ojczyzny, tam tylko podjąć syn mój ją może.

— Matko!

— Jeszcze się patrzysz we mnie niewiary wzrokiem; także to zagrzązł nieszczęsny w zbrodni, żeś prostéj cnoty we mnie odczuć niezdolen? Rozgłosiłam śmierć moję przed światem i przed tobą, bo dwukrotnéj hańby nie chciałam dźwigać w obec ludzi. Mury klasztorne mnie schroniły. Czekałam śmierci, albo ocalenia twojego. Nie przyszła— a ty mi wracasz, snać Bóg litościwy, na większe próby mnie zachował.

— Matko, matko moja najdroższa, oto w proch wyrodne dziecko twoje pada i kraj twéj szaty łzami radości zlewa. Oh, najszlachetniejsza z matek — gdybym miał nie jedno życie, ale ich tysiąc, wszystkie-bym oddał za ciebie. Ty żyjesz—a ja rozpaczą i bólem wściekłym targałem piersi moje, bom nie miał już nikogo na tym świecie, bo ta święta iskra miłości, którąm żywił dla ciebie, ustąpiła miejsca wściekłości dzikiéj... lecz teraz wraca... Oh, wraca na nowo do duszy. Ty żyjesz, a więc i ja żyć pragnę... a pragnę żyć tak, że światu wzorem stanę. Oh, więc jest Bóg wielki i sprawiedliwy, kiedy mi takie szczęście zgotował. A jam bluźnił szalony! Oh, precz wy myśli szatana, coście na skrzydłach pychy do mordów i pożogi mnie wiodły. Precz dzikie żądze niegodnéj sławy... ty nienawiści padaj tu przed tym aniołem miłości i poświęcenia!

— Jam dziś aniołem kary i pokuty dla ciebie. W téj kaźni zostaje Kostka, dumny herszt, nie-

szczęsny syn królewski, a wychodzi zeń biedne szlacheckie chłopię, którego przeznaczeniem praca i miłość ojczyzny. Wszystkie dobra ziemskie rozdałam klasztorom i ubóztwu, zostały nam tylko ręce.

— Oh, tak! przez ten ogień piekielny odrodzę się na nowo, matko droga. Spaliły się już wszystkie żądze, co mi targały duszę — nic, nic więcej nie czuję, prócz miłości wielkiej dla ciebie. Oh, matko droga, to szczęście, które mnie teraz spotyka, jest tak wielkie, że ja nie wierzę w jego trwałość, zdaje mi się snem wszystko, a przecież to prawdą jasną.

— Niech Bóg pochwalon będzie—rzekł Jarocki, ocierając oczy.

— Tu na zadatek twego przyszłego życia, ten szlachetny młodzieniec przebaczenie i przyjaźń ci swoję wraca.

— Wrócił on mi ją wtenczas, kiedym jej najbardziej potrzebował.

— Jam go kochać umiała, tylko zaślepiona i bezrozumna. Czém dziś zaś jestem, zawdzięczam nie sobie.

— Salomeja!—wykrzyknął Bzowski.

— Ona oddała cię w ręce wojska, ona wyprosiła ułaskawienie królewskie.

Byliśmy wszyscy szczęśliwi i dobréj myśli, brakło nam tylko jej. Salomei, aby się oddać radości zupełnej.

Czemuż nie wraca tak długo!...

Jakieś przeczucie złego wionęło po nas.

Gdy wtém usłyszeliśmy z dołu jéj przeraźliwe krzyki. które nas przejęły dreszczem.

W chwilę potém otwarły się drzwi i wpadła do izby blada śmiertelnie w pół obłąkana, krzycząc:

— Wydarto mi łaskę królewską i zniszczono w mych oczach.

— Co mówisz, nieszczęsna?—zawoła Bzowska.

— Odrzucili, nie poszanowali woli monarchy— zelżyli majestat dobrego króla.

— Tak być musiało — rzekł Bzowski z rezygnacyą.

— Dziewczyno okrutna — wrzasła Bzowska, chwytając ją za ręce—dałaś mi szczęścia szczyptę, a teraz sztylet wbijasz w serce?

— O tak, prawda, grzmij przekleństwami matko! Jam go zdradziła, jam potém wyprosiła dlań łaskę, a ci zniszczyli wszystko.

— Starosta?—zapytałem.

— On, nieugięty, straszny.

— Król ułaskawił dziecko moje, a oni... Oh, nie doczekacie tego szatani. Czyż władza królewska cieniem już w tym narodzie?

— Niestety.

— Szymonie! ty pod katowską rękę dasz głowę? Oh, Bóg nie będzie tak okrutnym! Na to— żem przemodliła resztę mojego życia w ustroniu, postami i pokutą gnębiłam ciało, abym widziała w nagrodę. jak mi zabijają syna? I ty niegodna pozwoliłaś wydrzéć z rąk swoich królewską ła-

skę? Oh, ja szalona. komuż to powierzyłam życie mojego dziecka!...

— Oh, prawda—rzekła z rozpaczą.

— Matko moja biedna!

— Nie... przebacz mi Salomejo... przebacz mi bohaterko ty moja... wszakżeś ty poszła za nim... tyś mnie już gasnącą pokrzepiała w rozpaczy i powróciła mi syna. Oh Szymonie, tyś pojąć niezdolny. czém jest dla mnie to dziewczę! Tyś nadludzkiej cnoty dziewica... i oni poszanować to w tobie muszą. Oni się zlitują méj doli strasznéj. Oni nie podniosą ręki na to dziecko. Szymonie, oh Szymonie, zabijają cię razem ze mną!

I rzuciła mu się na szyję. cisnąc go do piersi.

Bzowski wybladły chwiał się na nogach.

— Oh, straszna godzino! Matko moja najdroższa, czyś po to mi wrócona, abym cię stracił na nowo i w tak okrutnej chwili. Szedłem na śmierć z rozkoszą, bom myślał, że nic nie zostawiam na ziemi, biegłem, aby się z tobą złączyć... teraz gotówem błagać o życie dla ciebie matko.

— Tak, tak, ty nie umrzesz Szymonie... ty nie możesz umrzeć! Pójdziemy obie — rzucimy się do nóg starosty, rzucim się do nóg biskupa i senatorów... toż u nich serca nie z kamienia... i wy. wy czcigodny panie prosić za nami będziecie.

— Resztę życia poświęcę—rzekł Jarocki.—Powiedźcie mi panno, jak to być może, jaki powód, że łaskę królewską zniszczono?

— Odebrano wyrok przed chwilą podpisany przez króla. Mówią, że górale chcą odbić więźnia. Rozruch w mieście, żądają jego głowy.

Utopiła swoje dłonie we włosach i tak siadła z wzrokiem utkwionym w ziemię.

— My wyjdziemy z téj katowni — krzyczała Bzowska. — Ja moim głosem rozpaczy rozedrę uszy ludzkie. Pójdźcie, pójdźcie ze mną. Prowadźcie mnie do króla, do senatu!

Wszedł kat i dwóch oprawców.

— Pójdźcie! po cóż ta zwłoka?

— Już czas—rzekł kat.

— Oh, niech-że się kończy—jęknął Bzowski.

— Precz... precz od dziecka! Nie waż się dotknąć téj głowy... bo to królewska głowa. Puszczaj mnie nędzny... Oh, puszczajcie mnie, pójdę do nich, do króla!

Głowa jéj się trzęsła coraz bardziéj i obłęd ją ogarniał.

— Matko, bądź zdrowa!

— Synu!—krzyknęła straszliwie, obejmując go rękoma i cisnąc mocno do piersi.

— Ulitujcie się nad nią, nademną... Boże okrutny, czy tak wielką winą zgrzeszyłem, żeś mi taką karę zgotował?

— Matko nieszczęśliwa—rzekł Jarocki.

Była to chwila, na wspomnienie któréj i dziś jeszcze włosy mi dębem stają na głowie.

— Rozdzielcie ich—rzekł kat do pachołków.

— Nie dotykaj méj matki! Najdroższa, naj-

ukochańsza moja... oszczędź mi w godzinę śmierci téj rozpaczy i bólu. Tyś mężną... nie daj mi skonać wobec tłumów, śmiercią nędznika... pomnij. czem jestem... chcę umrzéć, jak bohater... Żegnaj mi droga... tam... tam na lepszym świecie.

Bzowska wciąż go trzymała w rękach, jak w kleszczach.

Wszedł podstarości.

— Pełń powinność—rzekł do kata.

— Ha, to on!—krzyknęła Bzowska.—Zabijasz dziecko i mnie razem. Ulituj się... jam tyle wycierpiała... nie zabieraj jedynéj mojéj pociechy... wszakże król mu przebaczył.

— Ale Rzplita potępiła. Precz z nim!

— Synu!

Padła martwa, głową o kamienną posadzkę.

Wyprowadzono Bzowskiego.

Salomeja dotąd milcząca, zerwała się, popatrzyła obłąkanym wzrokiem.

— Rzeczpospolita! Ha! ha! ha! ha! Oh. straszna ona, ta hydra z milionem serc i głów milionem... a w każdém sercu robak pychy i zemsty... a w każdéj głowie myśl tak mała, tak maluczka, że z tych milionów wielkiego człowieka nie zbudować. Czekajcie! czekajcie! ofiar jéj trzeba... Dorzucę im do tego, co tam wzięli w krzysztoforskim dworze... Czekajcie!

Potem obracając się do Bzowskiéj:

— Tyś zmartwychwstała matko... teraz ja się

w grób położę... wszakże to wszystko jedno... Czekajcie!

I wybiegła.

Mnie się obłęd chwytał.

Nie wiedziałem, gdzie biedz i kogo ratować.

Bzowska tknięta paraliżem dogorywała.

Wybiegłem za Salomeją.

Znikła—usłyszałem tylko wołanie:

— Na pomoc! ratujcie!

Wybiegłem z zamku furtą ku Wiśle.

Stała gromada ludzi, pokazując na wodzie punkt ciemny.

Dwie łódki rybackie goniły za nim.

Skoczyłem w Wisłę.

W głowie mi szumiało, biło młotami.

Słyszałem dzikie wrzaski Bzowskiej, rozpaczliwe słowa Bzowskiego, krzyk Salomei i nie wiem już nic więcéj.

Gdym przyszedł do przytomności, znalazłem się na Podgórzu.

Obok mnie zwłoki Salomei.

Tłumy ludu szły na Krzemionki.

Tam miała się odbywać egzekucya.

Między ludem słyszałem głosy oburzenia:

— Krew królewska! krew królewska! to hańba! odbijmy! uwolnijmy krew królewską!..

— Krew królewska na palu!

— Ratujcie! ratujcie krew królewską!— krzyknąłem do nich.

Lud mnie otoczył i podążyliśmy ku Krzemionkom.

Coraz ich więcej przyłączyło się do nas po drodze.

Byli zbrojni w kosy i siekiery.

Wtém na drodze od Mogilan i Pcimia, zaroiło się tłumem wielkim.

— Górale! górale!—krzyczano—idą z pomocą!

Był to rzeczywiście zastęp chłopstwa, który miał odbić Bzowskiego i uderzyć z nim na Kraków, a który posłużył potém za uniewinnienie staroście, że unieważnił królewską łaskę, prowadził go kulawy Grzela z Rzepnika — szło za nim całe Podhale.

Dragonija rozpędziła tłumy, choć z forsą wielką.

Znalazłem się na Krzemionkach.

Wystawiono tam troistą szubienicę.

Wbito ostrze na pal sosnowy.

Jedenaście chorągwi wojska okrążało plac, pod dowództwem onego niefortunnego Jordana, co umknął z pod Czorsztyna.

Nadjechały wozy.

W pierwszym stał Bzowski.

Był blady, jak chusta.

Spoglądał po tłumie zimno i surowo.

Niekiedy garbił się, jak gdyby go odwaga odstępowała—ale znów przypomniawszy sobie, prostował się.

Za nim na drugim wozie, jechali skrępowani: marszałek i bakałarz.

— Szymonie!—krzyknąłem.

Zwrócił głowę w tę stronę, dojrzał mnie i rzucił ręką znak pożegnania.

— Krew królewska! Nie dajmy ginąć krwi królewskiej!—wrzasnęły znów tłumy.

— Wrzód królewski!—ryknął jakiś głos w tłumie wojska.

Odczytano mu wyrok, którego spokojnie wysłuchał.

Lecz gdy go poprowadzono na plac tracenia, gdy ujrzał pal i szubienicę, cofnął się z przerażeniem, potem się prostując dumnie i wznosząc rękę w górę, rzekł:

— Tam tak było napisano. Witaj!

Kat nie umiał dobrze wbić pala, po kilka razy próbował weń nim uderzyć.

Polała się strugą krew.

Zakryłem oczy, padając na kolana.

Mówiłem drżącemi usty słowa psalmu: *Judica me domine quoniam ego...* *).

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.

Warszawa, Maj—Grudzień 1884.

---

*) Panie uczyń sąd o mnie, a tam ujrzysz moję niewinność...